

MAPIA CZESKA MACZYNSKA

DZIWACZNY
PRZYGODY

IMCI

PANIA JURA
BENDONSKIEGO

439

439

439

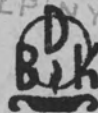
439

MARIA CZESKA-MĄCZYŃSKA

**Dziwaczne przygody
imci pana
Jura Bendońskiego**

Powieść na tle XV stulecia

EX LIBRIS
WSZOŁEK JÓZEF
OLPANY



1939

NAKŁADEM BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK
Ł O M Ż A

**BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄŻEK
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC**

KIEROWNIK LITERACKI: A. L. SZYMAŃSKI

**WARUNKI PRENUMERATY
z przesyłką pocztową:**

	w broszurze	w oprawie
kwartalnie	zł. 2.50	zł. 4.—
półrocznie	zł. 5.—	zł. 8.—
rocznie	zł. 10.—	zł. 16.—

Cena pojedynczego tomu: zł. 1, — w oprawie zł. 1.60

Redakcja i Admin. B. D. K.; Łomża, Okrzei 13



TOM XXXVII ŁOMŻA

**EX LIBRIS
WSZOLEK JÓZEF
OLPINY**

ROZDZIAŁ I.

Jak się pan Krzysztof ze śmiercią parał.

Pan Krzysztof Nałęcz Bendoński zachorzał nagle, ni stąd ni zowąd opuchły mu nogi, zadyszka przyszła i serca dygotanie, choroba z nóg go ścięła w parę dni. Organizm był silny, człowiek nie leciwy jeszcze a jednak wezwany ze Zgierza Efraim medykus, krew mu puściwszy i zadawszy dekokty rozmaite, otwarcie rzekł pani Tekli, iż żadnej nadziei nie ma a nie miarkował głosu i wyostrzony chorobą słuch pana Krzysztofa, pochwycił i głęboko w pamięci zakonotował rozmowę.

Nie było nadziei...

Runęło to na niego jak grom. Straszny żal, za żoną, dziećmi, życiem, trwoga o ich przyszłość, sercem szarpnęła, że rozdygotało się gorzej jeszcze jak po dekoktach Efraima.

Nie było nadziei...

A tam na dworze tak słońce świeciło radośnie, tak pachniały kwiaty wiśni i jabłoni... A w ziemi ciemno...

Br... wstrząsnął się pan Krzysztof i lży mu pod powiekami wezbrały, dwie ciężkie łzy...

A pani Tekli, w pierwszej chwili, zawiroowało jakimś szalonym tanem wszystko w

okół, gdy chwytając się kurczowo za róg stołu, patrzyła osłupiałymi oczyma w współczującą twarz Efraima. Ojca miało braknąć dzieciom nieletnim, żywiciela, jej samej przyjaciela drogiego, miłowanego silniej niżeli życie własne. O Jezus! Zdało się jej, że wybuchnie krzykiem rozpaczliwym, niepohamowanym łkaniem, a zdławiła je w sobie. Jeno serce w piersi ciężkie jej się stało, jak kamień.

— Długo jeszcze pożyje?

Pytanie spłynęło z pobladytch warg szeptem i szeptem odpowiedział tym razem Efraim.

— Co ja wiem, parę dni... tydzień może...

— I nijakiego ratunku nie ma?

Żyd ramiona podniósł wysoko:

— Człowiek nie poradzi. nerki zajęte, serce kiepskie. Dekokty jejmości zostawuję dawać o zachodzie i jak duszność będzie większa, pijawki przystawić, niech jeszcze ciągną, aleć krew gęsta, chora, ledwo się sączyła, gdy ją puszczał, nie wiele pomogą, jeno co ulgę przyniosą.

Zgarnął srebrniki i w uklonie się zgiął.

— Zagładniecie jeszcze?

— Czasu nie mam, tu i tak nie już nie poradzę, to i tak traf, że w te strony, do pana na Zgierz przyjechał, inaczej musiałby umierać, bez jakiegokolwiek pomocy, a tak, nu też umrze, ludzki los, ale się zrobiło, co można, więcej nikt nie poradzi.

Wysunął się z izby.

Tekla Bendońska patrzyła za nim smutnymi oczyma. potem krzyż święty zrobiła, do Boga o mężność całą duszą westchnęła i do izby w której małżonek leżał weszła, już z uśmiechem na wargach pobladytch.

Pan Krzysztof, też się już opanował i na uśmiech odpowiedział uśmiechem, ale ponad uśmiechami ust spotkały się ich oczy i wychyły w sobie cały ukrywany ból, całą głuchą rozpacz.

— Jać wiem, słyszałem — przyznał się pan Krzysztof.

— Wiesz...

— Usiądź podług mnie przyjacielu serdeczny, boć mi ciężko.

— I mnie, mój jegomość i mnie...

Wargi jej suche, gorące do jego ręki przylgnęły.

Cisza była, za oknem szumiały w wiosennego wiatru powiewie kwietne jabłonie i sypały białymi płatkami, jakby śniegiem.

— Pamiętasz Tekluś, jakośmy je sadzili, życie się wtedy zaczynało dla nas a ot i już... Mężnym trza być i z wolą Bożą zgodliwym.

Do niej to mówił czy do siebie, nie wiedział dobrze.

I dusze ich zatoneły w modlitwie, gorącej, bezsłownej, pełnej ufności, poddania i wiary.

A potem, pan Krzysztof po księdza posłać kazał, truchłę dębową u Piotra z Choin zamówić i ustawić na podsieni, by potem raptu nie było, z dziećmi się pożegnał, pobłogosławił i z rezygnacją już śmierci czekał.

Modliła się pani Tekla i czuwała po nocach, modliły chłopaki, a sześciu ich było, od podrostka Krzysztofa zaczynając a na Jasku sześciolatku kończąc, aleć nastrój żalobny nie może trwać wiecznie, życie ma swoje prawa. a one wdzierają się wszystkimi porami w on dom, na który śmierć swój cień rzuciła. Tydzień minął a pan Bendoński wbrew

przepowiedni Efraima i własnym przeczu-
ciom, żył jakoś.

Truchła dębowa stała na podsieniu i pan Krzysztof myślał o niej często, ale miał już ochotę wielką kazać ją na podstrysze wynieść.

Wielką też ochotę na miód miał, Efraim wprawdzie mówił, że w miodzie dla niego śmierć, ale czyż nie mówił, że dla niego i bez miodu koniec łada dzień? Wzdrygała się pani Tekla dać kluczy od piwnicy, aleć uległa w końcu, „niech się biedaczek rozweseli, na inksze myśli przyjdzie” i dała. Pan Krzysztof miód złocisty drzącą ręką do ust niósł i myślał sobie: „koniec będzie prędszy a mniej żałośliwy”, aleć jakoby mu sił przybyło, weselaj, jaśniej na świat spojrzał.

Przychodzili tymczasem krewni i nie krewni, bliscy i dalecy, każdy żałował i radził a miodu za kołnierz nie wylewał, aleć już praca szła, jako zwykle, jeno, że wracając z pola czy z boru, chłopcy na widok ojcowskiego domu poważnieli i wchodząc w próg, witali matkę niespokojnym pytaniem:

— Jak ta pan ojciec? żyw?

— Żyw — odpowiadała stale pani Tekla i w serce jej utrapione wstępowała słaba bardzo jeszcze, ale już nadzieja, że i wyżyje. Pomylił się sławny medykus i już, ino żeby apetyt wrócić zechciał i siły.

Krzysztof wychudły i poźółkły cieniem się zdał samego siebie, jeno, że fantazja była już w nim lepsza i myśl weselsza.

Przyszła do łóża krewniaka, nawet sam pan Stanisław Bendoński, nestor rodu Bendońskich, co pamięcią jeszcze do czasów Kazimierza Wielkiego sięgał i pan Przesław, pan wielce rzutki, który całą duszą w interesach

siedział, w wiecznych był rozjazdach po sądach, w zatargach z sąsiadami. Spryciarz nad spryciarze i teraz myślał już, jakoby to uczynić, by opiekunem sierot nieletnich zostać i profit jakowyś mieć.

Minęła wiosna, przyszło upalne, pełne życia lato, rozpachniały się słońcem rozgrzane bory sosnowe, rozwinęły macierzanki w kwiecie stojące, przez rozwarte okno szedł ożywczy dech puszczy podłódzkiej i życie niósł.

— Do cna śmierć o mnie zapomniała, — pomyślał jednego dnia pan Krzysztof i wraz dodał strapiony srodze: — Aleć i życie zapomniało... ani tam... ani tu... Czy też truchła jeszcze na podsieniu czeka? — A że pan Krzysztof za zdrowych czasów człek wielce krotochwilny był, więc zaczynała go bawić ta cała śmiertelna parada.

Dziękował Panu Bogu gorąco, za każdy dzień darowany, ale z niepokojem jeszcze poranki witał myśląc:

— Zali to mój ostatni może...

Chciał się też podnieść i sił spróbować, aleć rychło poznał, że się z łóża zwlec nie zdoła, wszystko było jakby jakieś obce, pożyczone, nie chciało słuchać nakazu jego woli. Życie może wracało, ale siły nie wracały i... wrócić nie miały.

Z trudem przyzwyczaił się pan Krzysztof do tego nowego życia, co się dla niego zamykało w obrębie izby i tego okna z widokiem na sad i sosnowe bory. Rano go chłopcy przynosili na fotel, podle okna stojący i tam spędzał dzień, słuchał brzęku pszczoł miód zbierających, pogwaru lasu i dusza oczyszczała mu się z powszednich win, szła gdzieś w bezkres i znajdowała ciszę i ukojenie.

Patrzył teraz na świat innymi oczyma, poważniej, głębiej i serce stało się w nim jako serce dziecka, ciche, proste, dobre, w potęgę Bożą ufające. Nie mógł już do pola iść, w sadzie pracować, polować w boru, jako niegdyś, ale jego myśl i wola rządziła i kierowała pracą, jego spojrzenie synów trzymało w rygorze, jego serdeczna pogwarka, wracała umęczonej pani Tekli odwagę i siłę.

Ten człowiek chory, duszą domu się stał i duszą osiedla, do niego schodzili się panowie bracia o poradę, on godził zwaśnionych, łagodził spory i zwolna radość mu do duszy wracała i pogoda, potrzebnym się czuł, potrzebnym, mimo niedoli swojej. Przyszła zima, śnieg biały opowił bór, na kominie bukowe płonęły drwa i wicher wył.

Przyszła wiosna i rozkwieciła świat.
I lata przeszły.

Posiwiła niegdyś ciemna czupryna pana Krzysztofa, pomarszczyła się jako jabłko na drzewie ostawione w przymrozki śliczna niegdyś twarzyczka pani Tekli. O dwóch najstarszych synach od bitwy pod Warną zaginął ślad, wróć? a może w niewoli, a może i ich śmierć zagarnęła, jako i młodocianego króla. Kazimierz Jagiellończyk miał objąć po bracie władanie, a jako, że wieści chodziły, iż ten ostatni żyw, jeno ranny gdzieś leży, więc zwlekał z przyjazdem z Litwy Kazimierz, bo się nie chciał w prawa braterskie wdzierać, nie mając pewnej wieści, zali brat zabity czy żyw. Zresztą pokochał litewskie bory, polowania, rozmiłował się w swobodzie i nie śpieszno mu było do polskiej korony.

A w bezpieczni czas, jako zwykle, zaczęły się swary i poswarki możnych, sąsiedzi za-

puszczali w głąb Polski zagony, niszcząc, rabując, uprowadzając ludzi i dobytek.

Echo tego wszystkiego jeno dochodziło do cichego dworku w podlódzkiej puszczy, tu jeno poswarki szły o wiana, o rolę, o kradzieże dokonywane w puszczy.

Grudzień zawitał mroźny, sosnowe bory pobielały okiścią, w mrocznej izbie płonęło łuczywo, przedły sąsiady len, turkotały kołowrotki, snuły się gadki, jako owe nici niewiadomo skąd, to znów śpiewy pieśni nabożnych leciały daleko, w ciemń nocy.

Przy kominie, pan Krzysztof siedział i drew bukowych od czasu do czasu dorzucał, myśl jego pracowała, snując się około przyszłości synów, jako ta nieć co się u wrzecion motała.

Bendońscy, herbu Nałęcz, nie byle kto. Nałęczem pieczętowały się w Polsce rody najpierwsze, aleć cała majętność pana Krzysztofa, to dymów siedm, jakoż ją między sześciu synów podzielić? Po tym jednym dymie na chłopaka? Dyć nędza!

Najmłodszemu wszystko ostawić, by osiedla nie rozdrabiać, a starsi niechaj we świecie chleba i sławy szukają. Janusz za rękodajnego do Opalińskich poszedł, Mściśław, w dobrach biskupich gajnym został, dwaj najstarsi w poczcie króla Władysława wraz z nim na zgubę poszli, teraz by trzeba jakoś Jura zabezpieczyć, boć mu i czas, a Jasiek na gospodarce ostanie.

Z dumą i zadowoleniem spojrzał pan Krzysztof na syna: rosły a gibki, ciemną czupryną dosięgał powały, w smagłej twarzy o rysach regularnych i pięknych płonęły czarne oczy jako dwie pochodnie i usta się śmiały

młode, purpurowe, dumne, usta Nałęczów. Chłop na schwał.

Uśmiechnął się pan Krzysztof.

I oto wszyscy z ojcowizny idą, jeden po drugim, jako te owoce dojrzale opadają z rodzimej gałęzi. Ścisnął mu serce żal. I pomyślał o truchle, co już tyle zim czekała na podstryszu, teraz by się jej nie lękał jako wtedy, człowiek pod wieczór życia idący, kładzie się w nią pewno z taką rozkoszą, jak człowiek pracą umęczony na łożu pada i myśli ostatkiem świadomości, z radością wielką — spoczną.

Syczą na kominie mokre drwa bukowe, pełzają po kłodzie ogniki, liżą ją złotymi językami, jakby z pieśczętą i zwolna zamieniają w popiół.

Ot życie...

— Jur!

Chłopak na wezwanie podskoczył, rzucając jednak z boku spojrzenie rozswawolone Zośce z Choin, co się śmiała do niego, jako się jarzębina czerwona do słońca śmieje, pyszniąc swoją krasą.

— Jur, pojedziesz acan na św. Łucję z sobolami do Poznania. Na św. Łucję w Poznaniu na sobole jarmark, zjeżdża się szlachta bogata, zjeżdżają kupcy z całej Polshczy prawie. Acan sobole sprzeda, listy polecające weźmie i może mu się uda, jako rękodajnemu na dwór Górków, lub którego z Opalińskich się dostać. Klejnotem się acan pieczętuje nie byle jakim, grzywny za sobole starczą na ekwipunek ucziwy, z tykami się nie bratać. Ojczyźnie milej i Kościołowi służyć w miarę sił. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, panie ojcie.

Oczy Jura Bendońskiego spoczęły na krasnej twarzyczce Zośki swojej i spóchnały.

— Z acana strzelec pierwszorzędnny, cenić się trza. Powiesz matce, żeby ci ekwipunek na drogę dała, sanki weźmiesz i siwego a Tomasza tyż. Osiedle musi przejść na Jaśka, jako, że najmłodszy jest, i z prawa mu przynależne.

— Panie ojcie...

— Cóż? Nie w smak ci droga?

— A Zośka? Nic z tego nie masz być?

— Juraś. Jak się bieda z biedą pobierze, toć jeno nędzę splodzi. A jakbym między ciebie i Jaśka osiedle rozdzielił, toć by po trzy dymy na jednego wypadły. A jak który ze starszych kaleką wróci?

— Prawdać, panie ojcie... ale...

— Słuchaj Jur. Prarodzie nasz, gdy w Puszczy Łęczyckiej osiedle założył, to cała Puszcza jego była, aleć potem synów miał osiemnastu, każdemu rolę wydzielił i las, ci synowie, znów synów mieli, córki, które wwianowano i ot, do czego doszło, prarodzie nasz Bąd był pan co klejnot miał i dla klejnotu oprawę, a my prawnuki jego, klejnot mamy aleć i nic więcej. Ot na Będoniu dzieściu Bendońskich siedzi, a każdy oprócz Stanisława i Przybysława, co po braciach dziedziczyli, biedę klepie.

— Aleć panie ojcie w Chojnach siedzi dziś dwudziestu ośmiu, a w Witkowicach piętnastu panów braci i chociaż są tacy, co na nich po jednym dymie wypada, jakoś żyją.

— Nie Nałęczu są! Szlachta, ale Bóg jeden wie czy z rodu klejnotna, czy jeno do

klejnotu dopuszczona. Pójdiesz we świat Jur, rozejrzysz się a będziesz miał wolę, powrócisz, ja ci nie zakazuję. Chcesz się obabić, twojać wola i twoja dola. Aleć wpierw światu się przyjrzyj, nie jedna Zośka na nim, nie jedna gładyzka. Dobra twego chcę, jako każdy ojciec dla syna miłego sercu, przyrodzoną życzliwość ma.

— Boru mi szkoda... — szepnął młody — i was.

— Boś poza borem jeszcze nic nie widział, a my, tobie ku światu droga, nam ku ziemi, tak zawdy bywało i nie nie przeinaczymy. Soboli się uzbierało, twojać zasługa, boć ty je podchodził, więc słusznie one i twoje.

— Do soroka mało co zbywa.

— Dwa bunty będzie?

— Będzie.

— Zbroje dla siebie i dla pacholika za to możesz mieć, konie nie gorsze, jako Nałęczowi przysłało. A jakowe jensze skóry są?

— Niedźwiedzich dwie, sarnich i jelenich dwa bunty, dzików sorok i szaraków ze dwa soroki.

— Za te co dostaniesz, to przez Tomasza do dom odeślesz. Zabierzesz ze sobą skóry z całego osiedla, ale spraw się dobrze, patrz żeby cię nie okpili i żebyś mi wstydu nie zrobił.

— Przecz?

— Żebyś się z byle kim nie zadawał, kompanii nie szukał, do winiarni i miodosytni nie zachodził, bo jak człek pałę zaleje, to i wszystkiego zapomni, wszystkiego się odkaże, wstydu i klejnotu i honoru.

— Jać przecie...

— Wiem. Aleć tu nad tobą moje i matczyne oko czuwało a tam, będziesz sobie pan. Aleć pamiętaj, chociaż rodzic nie widzi ani swojak żaden, Panu Bogu kiedyś ze wszystkiego trzeba sprawę zdać. Młodyś jest a młodość płocha jest i zastanowienia w sobie nie ma.

— Sprawię się dobrze.

— Daj to Bóg.

Młody i stary zapatrzyli się obaj w płonące bukowe drwa, tylko, że myśl pierwszego w pełń życia szła a drugiego, Bogu się korzyła modlitwą.

ROZDZIAŁ II.

„Baba z wozu koniom lżej”.

Szły gromadą, okutane w chusty, że im jeno nosy było widać od mrozu czerwone i oczy roześmiane. Księżyc świeci jasno, aleć droga przez las wiodąca do Choin, nie zasługiwała na nazwę drogi, były to raczej chrapy, krzewami drobnymi zarosłe, bagniaste, gdzie pod pokładem śniegu czało się bagno, sapowate, rozmiękle i chwytalo nogi. Trza było patrzeć dobrze, by nie ugrzęznąć, ale Jur szedł przodem, śmiało i pewnie przeskakiwał od krzaku do krzaku, a one za nim, czasem którejś noga w śniegu i błocie ugrzęzła, pisk, śmiech, dzwonił wtedy po lesie i echo budził w ogołoconym z liści gaju.

— Cichoście, wszystką zwierzyne wypłoszycie i polować nie będzie na co — śmiał się Jur.

— Cichoście, kiedyby Magdzie z Choin noga wlaźła w błoto i but się ostał. Ha! ha! Na bosaka teraz do Choin trzeba, a zima.

— Pierwszyna mi to, czy co?. Więcej boso gonię, jak w butach, ale buta szkoda, nowy był, pan ociec spierze za niedozór.

— Dziękuj Bogu, że się na bucie skończyło, gdybyś była sama wpadła, taka dziwa jak stodoła rozłożysta a ciężka, jak sakwa

a plebana, to byś była pewnikiem zapadła się, aż do piekła.

— A cóżem to czarownica?

— Kto ta wie, każda z was z diabłem trzyma. Mówią o tobie, że chłopcom lubczyku zadajesz i w miesięczne noce cię wodzi. Takiej strach.

— Strasznie się ta boisz!

— No dlatego, gdybyś była wpadła, nie byłbym cię i ratował, by się czarów ustrzec.

— Idź, idź Jur, po próżnemu gadasz. Jakbym czarownicą była, to bym sobie gębę, więcej podobną do ludzi wyczarowała a nie chodziła po tym Bożym świecie, taka ospowata i brzydka, jako ta noc. Nie dworuj.

A jemu zrobiło się żal brzydkiej dziewczyny, więc nagle zmienił ton i zapytał serdecznie.

— Kany żeś ten but zgubiła? Poszukam.

— A ot wedle tego krzaka, dziurem w śniegu wywalila, aż ziemię świętą widać.

— Nie dziwota, taka kolubryna!

— Nie strachasz się, że cię błoto wciągnie?

— Mnie?

Z za purpurowych warg, zęby białe, równe, ostre, błysnęły w uśmiechu. Jur na ziemię padł, jak długi i ręką w błocie szukał, ciężka, sapowata glina, oślizgłym chwytem lepiła mu palce, aleć na but natrafił i wyciągnął go, ciężki był od błota co się na nim nalepiło i do niego wlaźło.

— Jest, skórobicia ci oszczędziłem, Magdo.

— Strasznieś poczywy!

— Zawdy byłem.

— Juraś. — Zośka z Choin szła teraz obok niego mimo chust i baranicy, smukła i gibka. — Daj rękę, to ci obetrę zapaską.

— W śniegu umyję.

Wyszli teraz na lepszą drogę, bór spał, okiścią srebrny, trzeszczał pod nogami zmarznięty śnieg, a na ciemnym błękitnie nieba gwiazdy się jarzyły.

Świat był jak baśń.

I coś z tej baśni Bożej w dusze ludzkie szło. Ojciec mówił, że poza borem światu nie znam, a gdzież może być coś cudniejszego, jak taki bór śpiący w zimową noc? Kaniż znajdzie coś, co równie za duszę chwytą i że się człowiek jako dziecko małe czuje i chciałby Bogu na kolanach dziękować za ten biały cud wokół i za te oczy co go oglądają.

Ej chybaż nic cudniejszego być nie może nad ten bór, duszą doń przyrósł i z zalem myślał, że posłuszny ojcowskiej woli iść od niego musi i od niej...

Spojrzenie jego objęło ową dziewczęcą postać obok, a tak mu było dobrze z tym borem i z nią.

— Wiesz Zośka...

Nagły żal zdławił chłopcu głos.

— A co?

— Ze skórą do Poznania jadę, na świętołuński targ.

— O jej! Toś świata zobaczysz kawał.

— Nic ciekawym.

— Dziwnyś ty! oj! Żeby to tak na mnie padło, tożbym z radości chyba Choiny do góry nogami wywróciła. Co tam musi być na takim jarmarku cudowności różnych, strojów. Czego się tam nie napatrzysz. Szczęśliwyś Jur!

— Wcale jakoś tej szczęśliwości nie czuję.

— To poczujesz.

— Pan ociec chce, aby jako rękodajny na

dwór którego z wielmożów poznańskich poszedł. I cóż ty na to?

Spojrzała mu w oczy z nagle wzbudzoną uwagą.

— A cóż ja?!

Przez zaciśnięte wzruszeniem szczęki wyrzucił z trudem.

— I cóż ty?...

Wzruszyła ramionami:

— Nic.

— Nie będzie ci mnie żal?

— Niby... bez co.

— A no tak.

Spojrzał wstecz, dziewczęta gwarząc, szły za nimi blisko, a taką miał chętkę szaloną, nagle ten tobół chust idący obok niego, do piersi przygarnąć. Jako różę muszę być te usta i jako leśne poziomki świeże.

Szli dalej milcząc, wśród baśni zimowej nocy, jak dwoje dzieci zbłąkanych, aż wreszcie ujrzeni w dali, wśród boru, rozsypane światełka zaścianka w Choinach. I nagle ręka chłopaka zagarnęła w uścisk rączkę drobną, zziębniętą, od pracy twardą.

— Wrócę Zośko.

— Wróć...

— Będiesz czekała?

Zasmuciła się.

— A bo ja wiem... Jako pan ociec rozporządzi, nie moja wola.

— Tak, nie twoja wola... Aleć gdyby twoją była... Zośko?

Odwróciła oczy zmieszana, zawstydzona, tak gorącą, silną była ta młoda dłoń, co jej rękę ścisnęła zaboreczko, tak płonęły te oczy, piękne, czarne oczy.

Dziwaczne przygody

Zośka właściwie nie zastanawiała się nigdy dotąd nad możliwością małżeństwa z Jurym Bendońskim. Czekala woli rodzica i nie myślała o własnej; chłopaka lubiła, bo wesoty był i urodziwy ale czy to, co przyspieszało teraz bicie jej serca, miłowaniem było, czy jeno wstydem dziewczęcym, nie wiedziała. Odpowiedziała też szczerze:

— A bo ja wiem.

— Miłym ci?

Nalegał.

— Et, daj pokój Juraś, nie bałamuć, co ci ta z tego albo i mnie, we świat idziesz, nie jedną dziewczynę obaczysz, kto wie, która ci do serca przypadnie, a ja... Ja też nie wiem jak mną pan ociec roporządzi, ani, kto mi od Boga na towarzysza i przyjaciela przeznaczony.

— Królewicz, pozłocistą karocą zajedzie.

Drwił Jur, rękę jej puścił, swoją wsadził głęboko w kieszenie baranicy, był zły.

Dziewczyna głowę odrzuciła dumnie i w oczy mu spojrzała śmiało teraz:

— Szlachcianką jestem!

— Na jednym kominie!

— A ty na trzech.

Szli dalej milcząc, wreszcie Jur stanął.

— Bądź zdrowa.

A ona zdziwiła się samej sobie, bo się jej serce w piersi szarpnęło jak bólem.

— Pana ojca, trza było spytać, nie mnie — szepnęła.

— Po co? Tak, jako ty mówiłaś nie gada ten co miłuje, a twój ojciec na pieniądź łakomy.

— Okrutnie — przyznała cichutko.

— No. A Jur Bendoński klejnotny ale szarak, a ty widno złotogłowi czekasz i alten-

basów, strugów czy teletów, czekajże sobie. Z Bogiem ostań.

— Z Bogiem.

Odwróciła się żywo, może by ukryć łzy, co ją pod powiekami piekły i poszła w baśń zimowej nocy nie oglądając się.

A Jur patrzył za nią, gwiżdżąc przez zęby „Baba z woza, koniom lżej”, ale mu jakoś wcale lekko nie było, przeciwnie markotno i smutno, jak na pogrzebie.

Pożegnał się z resztą dziewcząt szybko i drogą powrotną ruszył.

Dziewuchy chichotały:

— Giez go jakowyś ukąsił jadowity.

— A bo mu Zośka dogryzła.

— Hale, tak zawdy na nią poziera, jak kot na słoninę.

— Zjadłby ci ją, zjadł, jeno co się nie da.

— Ocho Zośka dogryźć potrafi, jak chce. Ociec na jednym kominie siedzi, aleć staroście, by rzeknął: równym ci! A Zośka takż.

— Chłopaki ją same popsowały, bo gdzie się ruszy, to oni hurmem za nią, jakby to innych urodziwych nie było.

— Język ma jako szabla ostry, każdemu dotnie a chłopcy to lubią.

— Ot i Jurowi docięła, ale mu jakosi nie w smak poszło.

EX LIBRIS
JÓZEF
OLPINY

ROZDZIAŁ III.

Pomrozańskie zbójniki.

Powoli wlokły się sanie skórami ładowane, po wyboistej drodze. Mgła spadła w nocy, a teraz ruda, słońcem wschodzącym przesycona, rozstępowała się, ukazując bór cudny, biały, migotliwy. Wicher dał z północy ostry, przejmujący, niósł rozwiewne śniegu welony, strzepywał okiść z drzew. Nawet sanie Jura Bendońskiego omarzyły igielkami białymi, nawet baranię i czapy posiwiały, a gniadosz okół pyska wąsiska dostał białe, jakby mu było roków ze trzydzieści.

— Całą noc się tłuczemy a jeno bór i bór. Bies nas wodzi, czy co?!

Siedzący obok Jura, stary chłop o omarzłych wąsach, głową kiwał.

— Dyć może i wodzi.

— Ani śladu ludzkiego osiedla. Takbym spał, a jeść mi się chce. Powieki mi na oczy lecą, takim senny.

— Nie dajcie się, bo zamróz chwyci, i po was. Wytrzymajcie jeszcze ociupinkę, musi się i to skończyć, dojedziemy kanyś ku ludziom.

— Z woza zleźć, gałęzi uzbierać, ogienek grzeczny założyć i bodaj te kielbasy zagrzać.

co je pani matka do torby włożyła. Już mi to zimne jadło, kołkiem w gardle stoi.

— Dojedziemy do sadyb. Musi być gdzieś zajazd, albo i karczma, jeno w mgle nie widać. Wio gniady! A... che! I on by już spożywał, ledwo bokami robi. Oj, wodzi nas, wodzi, niech ręka Boska broni od jakowego nie-szczęścia. Powiem wam, że jak my nocą bez las jechali, to mi tak było, jakby wilki kanyś wyły.

— Wicher wyl.

— Daj Panie Jezu. Konisko zmęczone, to by nas bestyje łąco zjeść mogły, kosteczki nie ostawiając.

— Broń mam, walczyłbym, zwierz mi nie nowina.

— Łońskiego roku, w boru wilki całe weselisko zjadły.

— Popici byli na umór, to się dali.

— Ano juści, pijani byli.

Jur Bendoński napróżno wyteżał wzrok, w rudozłotej mgle spał tylko bór, jodły potężne tonęły w niej, że się zdawało, iż się zlewają z przestworzem, płatanina paproci, krzewów czernicowych stała się dołem srebrna od mrozu, iskrząca w promieniach słońca.

— Dym.

Lakonicznie rzucił stary Tomasz, wskazując suchym palcem na prawo, a koń też już zdaje się poczuł bliskość ludzkiego osiedla, bo nie zachęcany batem, ruszył nagle z kopyta.

— Gdzie?

— Ano tam, hen, na prawo. Widzicie?

— Widzę!

— Zajazd pewnikiem.

— Może i to być, coby robiła taka chata samotna, jakby zgubiona wśród boru. Aleć każe nam dać barszczu z rurą, jajecznicę albo bigosu, głodnym jak nieprzymierzając pies. A potem będę spał, bodaj na gołej ławie do jutra do rana.

— Ano wodziło, wodziło, aleć i przywiodło.

Sanki zatrzymały się przed domkiem drewnianym, ochędożny ganeczek przed nim podpierały dwa bombiaste słupy, wiechę zieloną, wiszącą nade drzwiami, wicherek kołysał. Małe, zamazane okienka nie pozwalały zajrzeć do wnętrza, ale z komina dym walił czarną, rozwichrzoną smugą i głodny żołądek Jura rozkoszował nadzieją.

— A — he! Jest tam kto?

Domostwo milczało obojętnie, nikt nie wyjrzał, nikt drzwi nie uchylił. Jur ze snu się wygramolił i podkutym butem uderzył w drzwi, aż jęknęło, jak jakaś żywa a sponiewierana istota.

— Jest tam kto?! Bo drzwi rozwalę.

— Cóż waść w takiej gorącej wodzie kąpany? Dyć otwieram. Drzwi waść rozwalić chce, gwałt niewieście samotnej czyniąc.

Z otwieranych drzwi buchnął gorący zapach piwnej polewki, poślaskotał podniebienie Jura. W izbie było mroczno, u komina paliło się łuczywo kapiąc żywicą, w żelaznym garze warzyła się znać potrawa dla bydła, ale Jur rozglądać się nie miał czasu całą bowiem jego uwagę pochłonęła stojąca przed nim niewiasta. Była i na co patrzeć, wysoka, rosła, w hajdawerach i jałowiczych butach, z koszulą białą na krajkę barwną u szyi związaną, w całej postaci nic nie miały kobiecego; gdyby nie usta młode, ka-

pryszne i delikatny rysunek owalu. Pod silnie zarysowaną brwią płonęły oczy czarne, ponure, przysłonięte ciężką powieką. Podparła się w boki i patrzyła na gościa ciekawie i niechętnie.

— Niech będzie pochwalony.

Przerwała mu.

— Waść tu po co?

— Tyż! Wiechę waćpani ma nad osiedlem, czy nie ma?

— Mam.

— Ano.

Jur baranicę zrzucił, gibki, smukły, głową dosięgał powąty, z czarnych oczu kobiety zniknęła niechęć, została ciekawość. Szybkie spojrzenie przesunęło się po świtce czarnej, czapie baraniej, zatrzymało się chwilę na sygnecie herbowym i kapryśne usta wyduły się pogardliwie, lekceważąco. Nie soból ci żaden ani lis, jeno zwykły szarak.

Wskazała stół.

— Rozgość się waść.

— Koniowi siana i owsa, mnie i mojemu człowiekowi barszczu z rurą i z jajami, albo polewki piwnej z serem. Przespąć się jest gdzie?

— Rozłóż se waść baranicę na ławie, to i łoże gotowe.

— Inkszego nie ma?

— Dla waści i to dobre, młody i na gołej ziemi śpi, jak zabity. Stajnie otworzyć?

— Juści!

Wyjrzała na dwór.

— Wjedźcie ta w ogrodzenie, stajnia otwarta, jeno kolek wyjmiecie.

Poszła do komina, rzuciła dREW, warzę zamieszała, dym snuł się po izbie i w gardle

dławił. Jur patrzył za nią, dziwnie inksza mu się zdała od wszystkich, znanych dotąd kobiet.

— Samiście na tym odludziu?

— Sama? Nie, mój jeno do boru poszedł dREW urąbać. Poglądacie na mnie, jakbyście hajdawery raz pierwszy w życiu widzieli.

— A bo i na niewieście, pierwszy raz widzę.

Zaśmiała się.

— Nawykłam i dobrze mi z nimi, silnam, za chłopą stanę, a tu jeno bór i luda złego dość, tak przezpieczniej. Zawieja, co?

— Straszecznie dmie, świata Bożego nie widać.

— Gdzieście jechali.

— Ku Poznaniowi.

— No toście i zbłądzili.

Spojrzała ku Jurowi z ukosa, bo pomyślała o targu na skóry i chcąc się upewnić, zaśmiała się nagle i utkwijwszy w nim zuchwale, czarne oczy, pyta:

— A cóż, jak wam drogi nie pokażę?

— Owa! prosto nōsa pojadę i zawdy, gdzieś ku ludziom trafię.

— Do pomrożańskich zbójników!

— Nie ułomek ze mnie, to się i zbójnikom nie dam.

Przymrużyła powieki.

— Skóry łakoma rzecz.

— Jurowi łyżka z polewką w powietrzu zawisnęła.

— A skąd jejmość wie, że ze skórąmi jadę?

— A wiem, i to wiem, że asan pierwszy raz we świat jedzie z ojcowskiego zaścianka. No prawda jest?

— Prawda.

W dłonie klasnęła.

— A no widzicie! Czarownica ze mnie, jak was zaczaruję, to ani do dom nie traficie ani we świat.

Machnął ręką.

— Pan ojciec dał mi kulę święconą.

— I miałby waść sumienie?

Z przekonaniem odpowiedział:

— Czarownicy nie żal, a nawet przed Panem Bogiem zasługa nie byle jaka.

— Chociażby była taka urodziwa, jako ja?

— Nie przypatrywałem się.

Przysunęła ku niemu swoją twarz urodną, w rumieńcach całą, o ustach rozchyłonych, wilgotnych i oczach omdlałych pod ciężką powieką, kuszących jak grzech.

— To waść patrz.

Jur spojrzał, w duchu pomyślał „bies mnie kusi czy co, aż oczy rwie” przeżegnał się, misę z polewką odsunął i... najspokojniej jadł dalej.

Po smagłej twarzy kobiety przesunęła się łuna, kapryśne usta drgnęły pogardliwie.

— Waść do klasztoru może!

— W przystojności i enocie mnie rodzicie chowali i uczyli jako grzech jest ciężki, niewiaśtom zamężnym w oczy zaglądać.

— No, no, kanyś to się cnota taka wysoka gnieździ?

— A w Będoniu.

Pobiegła ku drzwiom zwinna jak pacholik, roześmiana i zawołała w kierunku stajni.

— A chodźcie no do izby na polewkę.

Odpowiedział jej głęboki bas Tomasza.

Od konia się nie ruszę, przynieś jejmość tu.

— Słyszeliście nowinę! Jeszcze pacholkom będę usługiwała.

— Od konia się nie ruszę i już.

— Ja wam do stajni nie poniosę!

— Jak ta chcecie, mam chleb, to i głodem nie zamrę.

Uparciuch! Ten wasz pachół od konia odejść nie chce.

— Ostawcie, sam mu jedzenie zaniosę.

— Skór pilnuje, sobole pewnie wieziecie.

— Tyż!

— Myśliwiec z was?

W boru każdy myśliwiec, kto oko ma bystre i dobry cel, ale sobole w paści się chwytają, by skórki nie niszczyć.

— To skarby wieziecie.

— Dla ubogiego i grosz skarb.

— Pewnie, boczku wędzonego zagrzać?

— Miód lubicie?

— Nie pijący jestem.

— Ciel! ciel! Co się to za cnoty przednie w tym Będoniu gnieżdżą! Napijno się waść. Miód lipcowy, to tak jak lipcowe słońce, rozgrzeje i lato wam wyczaruje. Życie w nim.

Ale Jur pamiętny słowa danego ojcu przed odjazdem, że do kubków i szklanic zaglądać nie będzie, głową wstrząsnął.

— Dziękuję, powiedziałem już, jako nie pijący jestem.

— Toć was w klatce zamknąć a po jarmarkach obwozić! Co z was za chłop? Miód! wigor kościom daje a sercu fantazję i radość. Pan ojciec nie widzi. — Zaśmiała się uragliwie i z flaszki pękatej do cynowego pucharka lała złocisty miód, wabiąc go purpurą ust młodych. — Przypiję do was a potem wy, despektu mi chyba nie uczynicie, by pogardzić.

Jur się zarumienił, jak dziewczyna, nie przyzwyczajony był do takiego zachowania

ze strony kobiety, a piękna karczmarka kuśliła dalej.

— No prawda! Nie odmówicie. Zobaczycie, innym się wam wyda świat i ludzie na nim. W zimowy ranek macierzanki się wam rozpachną, jak wiosną w boru.

I kto wie, kto byłby zwyciężył, bo piękne były oczy i patrzeć umiały, gdyby nagle w rozwartych drzwiach nie ukazała się postać potworna, w górnej połowie ciała nad podziw rozrosła, osadzona na krótkich, krzywych, kabłąkowatych nogach. Na karku grubym spoczywała głowa o rudej strzesze włosów rozczochranych i twarzy strasznej, dziwnej, jak maska potępieńca, blizny stare i nowe pokrywały ją siecią, wydatne usta sine były i spękane, przeglądały z za nich w uśmiechu zęby żółte, ostre, silnie osadzone w tych szczękach rozwiniętych potężnie. Ponure oczy spoczęły na Jurze spojrzeniem, pod którego siłą, dreszcz mu się przesunął po plecach.

— Tom ci wlaź! — pomyślał Jur z niepokojem — jak ona nie czarownica, to już on na pewno z piekła rodem. Krucicę trza mieć w pogotowiu i jeno koń wypocznie ruszać dalej.

— Jaga.

Kobieta spojrzała, uśmiech zgasł na ustach rozchylonych.

— A co?

— Świetlicę otwórz, łoże nagotuj, wraz zajedzie kupiec jakowyś, co w zadną drogę zgubił, konie i ludzie pomęczeni, ledwo się to wlecze, spotkałem ich i drogę do nas pokazałem. Bigosu przedniego ugotować trza, jako wiesz...

Czarne oczy kobiety rozbłysły krwawo. —

jak oczy wileczy — pomyślał Jur. A potworny karzeł do stołu podszedł.

- Waść z daleka?
- Z daleka.
- A dokąd droga prowadzi?
- We świat.
- Służby waść szuka?
- Samem sobie pan.
- Waść nie nazbyt rozmowny, to i źle, bo człek powinien być mowny a kot łowny.
- Nie wszyscy wedle jednej miary stworzeni.

Było coś w tym człeku dziwnym, co wprost wstrętem napelniało Jura, nie mógł patrzeć na tę twarz szpetną, która wyglądała jak gdyby na niej diabli siekali kotlety, odwrócił się więc bokiem i przez małe szybki okienka patrzył na drogę. Wjeżdżały właśnie w ogrodzenie sanie ładowne, fartuchami ze skór kryte a za nimi jechały saneczki misterne, zaprężone w dwa pyszne ogiery, dygocące całe muzyką dzwonek, niedźwiedziami wysłane, siedział w nich starzec o rysach ostrych i brodzie jak śnieg białej, a obok niego młodzieniaszek może dwudziestoletni.

— Ruszno się Jaga.

Kobieta do progu szła i kłaniając się przesadnie nisko, rzuciła pozdrowienie, które dziwnie zabrzmiało w jej drwiąco uśmiechniętych ustach.

— Gość w dom, Bóg w dom, witajcie panie.

Stary jegomość wszedł, otrzepując śnieg z futrzanego tołuba i czapy sobolowej. Jur patrzył na niego z podziwem. Nigdy jeszcze

nie widział stroju równie bogatego. Gdy nieznajomy rozpiął futrzany tołub pozostał w sukni długiej, futrem oszytej, czarnej po wierzchu, o spodzie mieniącym się srebrzysto, na rapciach srebrnych zwieszał się miecz, na szyi miał łańcuch złoty, na palcach rąk pierścienie tak bogate, że za jeden możnaby chyba fortunę nie gorszą kupić. Szare, uważne oczy przybysza przesunęły się po gospodzie, spoczęły z zainteresowaniem na potwornej postaci karła, na derodnej gospodyni a wreszcie na młodej a szlachetnej twarzy Jura Bendońskiego... Dziwnie niesamowitą zdała mu się gospoda, z prawdziwą też przyjemnością dojrzał drugiego, zapewne, jako on zbłąkanego podróżnego, poszedł więc do Jura i wyciągając do niego prawicę rzucił:

— Herman Helt jestem, kupiec ze sławetnego miasta Poznania.

— Jur Nałęcz Bendoński.

— Nałecz klejnot przedni, czołem waszmości. — Do gospodyni się zwrócił. — Dla pacholków proszę bigosu nawarzyć i po kwarcie miodu na każdego.

— A jegomości czym usłużyć można?

— Ja mam swój podróżny sepecik, jeno przespać się gdzieś chciałbym, bom i zdrony okrutnie.

— Wraz łożę nagotuję.

Ów młody chłopiec, jak się okazało, sekretarz pana Helta, zakrzętnął się, by stół nakryć, wyjął naczynia srebrne, zdobne przedziwnie, przygrzał kury pieczone, wino reńskie, złote jak bursztyn, kielichy kryształowe nalał.

— W ręce waszmości.

Przypił do Jura starzec, chłopak się za-

czerwienił, ale pomny słowa danego ojcu przed wyjazdem, odmówił, z apetytem natomiast niezgorszym zjadał kury i szynki. Gawęda szła o tym i owym, o handlu i polityce, i ani spostrzegli jak w okienkach drobnych rozpalila się luna zachodu.

— Czas spocząć, jutro, jak Bóg da do czekać, pojedziemy dalej razem, bo jedna nam wypada droga a w kompanii bezpieczniej.

Pan Helt z sekretarzem do świetlicy weszli, Jur baranicę swoją zwinął i pod głowę sobie podłożył i zaraz prawie zasnął, ale broń nie odpasał, usnął, trzymając szablę w garści, a krucicę przyciskając do boków.

— Dziwny ci ma posmak ten bigos, grzybami go czuć, czy zielskiem jakowymś, człek głodny a w gardle mu staje.

— Jużci, że smakowny nie jest.

Pachołcy pana Helta przytwierdzili staremu Tomaszowi.

Gospodyni wsparta o drzwi szopy, patrzyła, jak jedli.

— Jeszcze wam nie smakowity, samam warzyła, samam doglądała, królewiczowi możnaby na stół nieść, a palce by lizał.

Spojrzenie jej obejmowało furi ładowne, jakgdyby przebić chciało opony skórzanych fartuchów i nacieszyć się ich zawartością, to znów, niespokojne, śledziło opróżniające się misy i dzbany cynowe. Dolewała, śmiała się, zaglądała głęboko w oczy młodszych pachołków, bez rumieńca odpowiadała na trefne żarty starszych.

Czasem tylko, czarne oczy rozbłyśkały gniewnie ale zaraz załotnie śmiały się usta.

A w miarę jak ubywało zawartości w misach i dzbanach, senność dziwna, przemożna, niepokonana ogarniać poczęła ludzi. Kiwali się tam i sam, przecierali ociężałe powieki, usiłowali spełnić rozkaz pana i czuwać przy wozach na zmianę, ale senność była od ich woli silniejsza.

A gospodyni wciąż stała w progu, patrzyła na to ich borykanie się z ogarniającą sennością, słuchała postękiwania, w pół przytomnych już i uśmiech okrutny, uśmiech zbrodniczego zadowolenia wykrzywił jej młode usta.

Obalili się jeden na drugiego, zmożeni wreszcie tym snem dziwnym, ciężkim, sinawe wargi z trudem chwytaly powietrze, rzęziło w piersiach, w gardłach.

Na ustach kobiety nagle uśmiech zgasł a z rozszerzonych źrenic wyrzało przerażenie, rżeniu pachołków odpowiadały konie tupotem niespokojnym, szarpały się u żłobów, usiłując zerwać łańcuchy, jakiś zimny dech zda się stajnią wionął, dech śmierci. Jaga krzyknęła, zdało się jej, że coś patrzy ku niej z mroku: jakieś oczy wytrzeszczone, straszne, że coś ją gna, jak oszalała, ze stajni wybiegła, w izbie oparła się o piec dysząc ciężko.

Potworny karzeł spojrzał ku niej pytająco:

— Pojedli?

Padł szept zgłuszony w mrok izby.

Skinęła głową.

— Szkoda jeno, że tym tam, nie można było zadać blekotu, nie naszego nie jedli, ani nie pili. Ano trza sobie inaczej poradzić. — A temu młodemu wysypała?

— Wysypałam.

Kłamała.

Karzeł siedział skulony, patrzył w ogień, czekał aż posną lepiej, po jego bliznami porwanej twarzy igrał blask łuczywa i czynił ją jeszcze wstrętniejszą.

Kobieta patrzyła w tę twarz, myślała, porównywała, wzrok jej przenosił się z rysów karła, na smagłą, młodzieńczą, tak bardzo urodziwą twarz Jura.

Ot, życie.

Marne życie.

Jagę coś w gardle ścisnęło, jak żal. Tyż coś! Ona i Innisław byli może ostatnimi wyznawcami starej wiary, to ich złączyło, matka Jagi знаła się na ziołach, na czarach, córce tę znajomość niesamowitą zostawiła i nie nawiść do tych co obalili starych bogów, poświęciła ją niegdyś diabłu na rozstajnych drogach, rzuciwszy wpół oszalałą lękiem, pijaną miodem w parną noc czerwcową, szatanowi na oblubienicę. I przyszło złe, w ową noc obłądną i wzięło ją sobie na własność.

A potem przyszedł Innisław, władze miał nad nią dziwną, szła za nim przez życie wierna, jak pies i dopiero dziś zbudził się w niej jakiś ślad buntu, myśl, że mogło być inaczej i nie zadała młodemu blekotu.

Nie mogła jakoś, nie mogła, ona co tyle razy była już współniczką zbrodni. I teraz myślała, że gdy Innisław do komory pójdzie, rozbudzi Jura, nie żeby się ratował, ale by ją od potwornego karła uwolnił.

Spotkała oczy Innisława, ponure, groźne i zimno przejęło ją na wskroś.

Podniósł się z ławy.

— No, to siedź tu a tam ja już zrobię, jako zwykle.

Wstrząsnęła się.

— ~~Strach~~ mi czegoś.

— Głupiaś, drugi raz się może w życiu nie zdarzyć taka gratka, fury ładowne, Bóg wie jakowymi skarbami, ze wschodu przecie wracają, broń pewno wiozą i jedwabie.

Stuliła ramiona:

— Strach mi.

— Głupiaś, serce jeno w człowieku mglisz niepotrzebnie.

Patrzyła rozszerzonymi grozą oczyma, jak cicho rozwarły się drzwi do alkierza i karzeł wpelznął tam na czworakach, jak olbrzymi kot.

Znów się jej zdało, jako tam w stajni, że coś przez szybę wygląda, jakaś potworna a jednak znana głowa:

Lęk ten szalony, obłądny lęk.

A w alkierzu cisza.

Nic, ani szmeru.

O Światowidzie!

ROZDZIAŁ IV.

Niesamowita noc.

— Jezus! Maryja!

Jur zerwał się na równe nogi, z ręką na szabli, po karczmie dzwoniło jeszcze echo ochryplego krzyku o ratunek, charkot człowieka duszonego dochodził z alkierza, rozpaczliwej walki pogłosy.

Jur szablę wyciągnął i w stronę alkierza się rzucił, ale nagle ramiona czyjeś nogi mu oplotły, usiłując go obalić tym chwytem, nie tyle mocnym co niespodziewanym.

— Cicho! waść to nic.

— Człeka mordują!

— To nic, przywidziało się waści.

— Puść!

— Ostaniesz.

— Puść, bo łeb rozwalę.

— Ostaniesz, niewieście krzywdy nie zrobisz.

Szept kobiety spieszny był, zgłuszony, a tam w alkierzu charkot coraz słabszy.

Jur bez namysłu już miał szablą w ową głowę czarnymi warkoczami oplecioną, co mu do nóg lgnęła i hamowała krok.

Jęk, ramiona się rozwarły i Jur do alkierza runął.

Chwila to była, jeden potężny cios zadany całą siłą młodego ramienia rozplątał czaszkę Karla aż do kręgu, Karla co przysiadł na ofierze, jak pajak. Krzyk, śmiercią zdławiony w poczęciu, niekształtna bryła ciała spadła ciężko na dyle podłogi, bluzgając fontanną krwi.

Jeszcze chwilę kabłąkowate nogi kopały podłogę i darły ziemię zakrzywione spazmem konania palce, ale Jur już tego nie widział, wrócił do izby karczemnej po światło. Potknął się za progiem o ciało pięknej karczmarki.

Żywe czy trup?

Pochylił się nad nią, w upadku uderzyła skronią o kant dębowego stołu, żyła, słaby oddech podnosił pierś, a krew ściekała kropkami na śnieżną biel koszuli i stygła.

A w oczach, w tych oczach półotwartych był straszny wyraz, umizg w nich był, umizg upiorzycy.

Jur porwał łuczywo i stągiew z wodą, do alkierza wrócił, w pierw tamtych ratować trzeba, zbójca ma czas, bo choćby z niej i dusza wyszła, toć i nie wielka szkoda, rozumował. Z trudem jeno docucił się pana Helta. Starzec patrzył na swego wybawcę i na kadłub Karla, równie błędnymi oczyma, gardło miał opuchnięte od silnego chwytu rąk zbójnickich, czerwone i czarne kręgi wirowały a osłabienie było tak wielkie, że i kroku postąpić nie mógł. Jur przypomniał sobie o winie w sepecie, ale równocześnie przyszedł mu na myśl sekretarz, więc z niepokojem zbliżył się do łóżka, przekonany, że nowy jakiś a straszliwy obraz przedstawi się jego oczom, ale zagrzebanego w betach znalazł Kon-

rada Plaitena, z głową schowaną w poduszkach, z uszami zatkniętymi, trzęsącego się ze strachu jak w febrze.

— To waść cały?!

Zdziwił się Jur, usiłując go przewrócić twarzą do izbicy, ale przerażony chłopak z całych sił trzymał się poduszek i łóżka, wrzeszcząc w niebogłose, polecał duszę swoją wszystkim świętym, mieszał polskie i niemieckie wyrazy. Jurowi nie do śmiechu było a przecież z trudem się tylko powstrzymywał, patrząc na kopaninę tych chudych nóg, na rozpaczliwą obronę nie zagrożonego niczym żywota.

— Rozbudź się waść, to ja Bendoński.

— Herr Jezu ratuj, zbój może tyż.

— Cichożże waść, nikt tu na waćpanową duszę nie łakomy. Zbójnicy już nie żyją. Ubieraj się waść, do stajni musimy iść pacholików rozbudzić. Pan Helt, zasłabł bardzo, wino trza wyjąć a ja nie wiem gdzie klucze od sepetu.

— Ubieraj się Konrad!

Głos kupca ochrypły ale nakazujący, podziałał na Plaitena, jak kubek wody, zdecydował się nareszcie na przewrócenie na wznak, na otwarcie powiek, wreszcie widząc, że mu jednak naprawdę nie nie grozi, wylazł z betów, drżący, nagi, hajdawerów włożyć nie mógł, bo mu z rąk się wymykały, jak żywe. A tu pan Helt skrzepił się o tyle, że zapytał sucho, jak sędzia:

— Konrad, słyszałeś wszystko?

— Słyszałem, dotąd mnie trzęsie.

— I udawałeś, że śpisz?

— A cóż ja mogłem począć sam jeden, przeciw takiej kupie.

— Przeciw jakiej kupie?

— Ano zbójników było całe mrowie.

— Widział waść?

— Bez dziurę w betach.

— Ten jeden co tu leży, z ręki pana Bendońskiego uśmiercon był, a waćpanowi strach w oczach troił.

Plaiten spojrział na rozwaloną na poły głowę i przysiadł, bo na ten widok, tak go coś zemdliło kolo serca, że i patrzeć nie mógł.

Trzymaj waść hajdawery bo leć! — huknął pan Helt i do Jura się zwrócił, dziękując mu w gorących słowach za pomoc. Mimo podeszłego wieku i dopiero co przebytych tarapatów pan Helt skrzepił się już o tyle, że Jurowi do stajni towarzyszyć postanowił i zbierał się śpiesznie. Plaiten rozplakał się jak dziecko, wstyd mu było i lękał się, że się ubrać nie zdoła, że pójda bez niego do stajni a on zostanie sam z trupem i oszaleje chyba.

Pan Helt patrzył na niego pogardliwie, ale w końcu i on się zlitował i nalał mu wina.

— Pij asan a przestań lamentować, jak baba, bo naprawdę cierpliwości zbęde. A cóż karczmarka? — przypomniał sobie nagle.

— A no leży w izbie szynkowej, do cna o niej zabaczyłem, obłapiła mnie za nogi i nie puszczała, więc ją nieco zmacałem bez łeb— tłumaczył trochę zawstydzony owym mocowaniem się z babą, Jur Bendoński.

— Żywie?

— Kto ją ta wie, wpierw was zratować chciałem, gdy się do izby po łuczywo i wodę wracałem, żyła jeszcze, bo dychała, aleć teraz, kto ją ta wie?

— Pójdźmyż obaczyć.

Weszli do izby, krwawy blask łuczywa padł na białą nieruchomą twarz zbójnicy, na oczy szkliste z bezmierną grozą wpatrzone w przestrzeń.

— Skończyła, niech się Bóg zlituje nad jej grzeszną duszą, wygląda jakby złego dojrzała w ostatniej chwili.

— Może i dojrzała. Zdaje mi się że tej twarzy zapomnieć nie zdołam — szepnął Jur.

— W waćpanowym wieku szybko się zapomina, sama sobie winna, nikt na nią nie nastawał. A teraz chodźmy do stajni pobudzimy pacholików, niech tych nieszczęśników uprzątną a o świtanie w drogę. Zbrzydła mi ta karczma do cna.

Wyszli, mroźny wichur rzucił im w twarz lodowate igielki zmarzłego śniegu, zimnem przejął do kości.

— Chłopcy a czuwacie tam!

Nawoływał pan Helt, odpowiedział mu wichur jęk i cisza.

— Pospali czy co?

Za panem Heltem i Jurem włókł się Plaiten, w hajdawerach tylko, drząc z zimna i przebytego strachu, nie mógł zapanować nad sobą, zęby mu dzwoniły, trzęsły się nogi.

Jur rozwarł drzwi do stajni, przywitało ich rżenie koni przeciągłe i żalosne.

Jur łuczywem poświecił.

— Śpią.

— Czuwać powinni byli, podpili. Jakem Helt nie daruję!

— Wstawać!

Głos starca zagrział potężnie a oni, ani drgnęli.

— Popici jak bydlęta, ot służba najemna,

jeden ze strachu w mysią dziurę by się schował, drudzy się popijają do nieprzytomności.

— Rusz no się ty!

Jur pierwszego z brzegu pacholka za ramię pochwycił, szarpnął nim, wrzeszcząc mu do ucha.

— Wstawaj!

Ale ramię opadło a ręka, którą Jur dotknął ciężka i zimna opadła bezwolnie.

— Jezus Maryja!

— A co waść?

— Pobici, czy co, niechno jegomość poświeci, bliżej, bliżej...

Blask łuczywa padł na twarz zczerniałą, zastygłą w wieczystym śnie.

Milczeli.

Straszny, blady lęk chwycił ich serca szponami trwogi. Kolejno świecili w twarze martwe, ciche, sinymi plamami pokryte, przy ostatniej, Jur się na kolana osunął i ryknął:

— Tomek! Bójże się Chrystusa Pana! Tomek!

Ale Tomek leżał z uśmiechem przymarzłym do starczej twarzy, jak inni martwy i nieruchomy.

— Potruli ich — szepnął pan Helt i zdąwszy czapkę z siwej głowy uklęknął pośród trupów i złożywszy ręce powtarzał spokojnym, podniesionym głosem:

— Wieczne odpocznienie racz dać duszom, tych niewinnie pomordowanych, wiernych sług o Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci, aż na wieki, wieków. Amen.

Na dworze wichur wyl, chybotął drzwiami stajni, jakgdyby ktoś napraszał się wejścia.

ROZDZIAŁ V.

Dworzyszcze w Woli.

— Ziem zmarzła na kość, nie sposób w niej grobu wykopać, łopata pękła a ziem nie ustąpiła.

Jur otarł pot z uznojonego czoła a stylisko odłamane w kąt izby rzucił. Pan Helt zamyślony po karczmie chodził, skończyć z tym jakoś trzeba było, nieboszczyków w ziemi pochować, zasłużyli sobie chociaż na to służbą wierną i śmiercią, jakoż ich teraz niepogrzebanych zostawić, by się wilki zwlekły i ciała rozszarpane po borze rozniosły.

— Ja myślę...

— Mów waść, chętnie rady posłucham, jak dobra.

— Konie ze stajni wyprowadzić, wszystkie one trupy, ułożyć przystojnie i podpalić. Zgorzeją i będą pogrzebani jako dawniej dzia-dowie nasi.

— Racja jest, dowcip waść bystry ma. Niech waść siada, radbym z nim pogadać, a dotąd czasu nie było. Mówił mi waść wczora, że ze skórą do Poznania jedzie.

— Ano tak, aleć teraz, gdy Tomek zabito, to i sam nie wiem jako uczynić, do dom wracać, czy jechać dalej.

— Po cóż do dom wracać?

— Pacholka inszego wziąć, bo pan ojciec nakazał z Poznania sanie, pacholka i pieniądze za skóry z osiedla, soboli wyjąwszy, do dom przesłać a tak, kimże posłę?

Sprzął na niego pan Helt życzliwie, bo podobał mu się coraz więcej, ten młodzieniaszek waleczny a skromny.

— O to już waść się nie frasuj, mam ci ja służby zaufanej dość i chętnie ci człowiekiem pewnym wygodzę, co do dom sanie i pieniądze odstawi. A co waść dalej zamierzał?

— Służby jakowejś poszukać, na dwór jakiego wielmożę się dostać, szlachcic klejnotny jestem, strzelec niechwalący się przedni a rycerka sercu najbliższa.

Pan Helt spojrział w młodą smagłą twarz uważnie i uśmiechnął się.

— A wie waść o tym, że rękodajny nawet dworzanin, zawdy jeno sługą jest, tyle jeno, co barwy pańskiej nie nosi.

— Każdy człowiek komuś służyć musi. Ojciec święty a Panu Bogu służy.

— Prawdać jest ale służba, służbie nie równa, jako i pan, panu. Dworska służba, to czasu pokoju, jeno obijaczka, pijatyka, Sodomia i Gomora dla duszy a rzemiosło rycerskie, co tak waści wabi, to tyż, jako się komu wydaje. Dla mnie ono raczej próżniactwem, niżeli rzemiosłem jest, każde inne rzemiosło coś tworzy, coś buduje, to jedno jeno obala.

— Wiary świętej broni i kraju, gdyby nie ono, proszę jegomości, dawnoby bisurmanie do Polski wleźli i do swojego księżycza nam się modlić kazali. Krew i żywot za innych

dać, toć przecie największe co człowiek uczynić może.

— Tuk... krew i żywot...

Kupiec umilknął, myślał może, że i praca codzienna, praca wytrwała a uczciwa, krajowi i Bogu miłą być musi, więcej jeszcze od ofiary żywota ale w słowach Jura była racja, młodemu chrześcijaństwu potrzebna była więcej tarcza z ludzkich piersi i szabli.

— Pojedziemy razem, poznamy się bliżej, pomyślimy nad przyszłością waćpanową, człek stary jestem i życie znam a wdzięczność ci jestem winien młodzieniaszku, bo gdyby nie ty, ziemię bym gryzł.

— Nie uczynilem tego dla wdzięczności, dla każdego byłbym to zrobił, jako że człek człowiekowi powinien iść ku pomocy.

— Pięknie, ale tak się właśnie złożyło, iż ja owej pomocy potrzebujący byłem. W Poznaniu zajedziecie waść do mnie, zjazd na święto Lucki, jarmark wielki narodu multum, rozejrzysz się waść i wspólnie coś obmyślimy. Skórami się waści nie frasuj, moja głowa, sprzedam je waści, bo by cię łącno oszukać mogli. Gdzież jest Plaiten?

— Poszedł po wodę, by coś ugotować.

— Dobry, uczciwy człek i zdolny, jeno tchórzami podszyty, w niebezpieczeństwie pod pierzynę wlicie aho nogom zaufa. Niechaj waść uczyni jako zamierzał, konie wypoczęły, może przed nocą do traktu dojedziemy. Do starosty należałoby dać znać, chocia nam kupcom, samosąd przysługiwuje nad zbójnikiem, co się na nas porwał.

Jur zawołał Plaitena i zabrali się żwawo do roboty, wyprowadzili konie, zaprzęgli sanie, na zrąbanych w borze jodlowych gałę-

ziach ułożyli zwłoki pacholców szeregiem, a zbójnicką parę u ich stóp. Pierwszy to raz Jur widział śmierć, tak zbliiska, pierwszy raz był jej sprawcą, smutek go jakiś przejął dogłębny i radby już był, ową niesamowitą karczmę, jak najdalej zostawić za sobą.

To też gdy wreszcie, podłożone pod zrąb stajni gałęzie i słoma buchnęły płomieniem, gdy we mgnieniu prawie, wysuszone mrozem bierwiona stanęły w ogniu a konie ruszyły rżąc żałośliwie, zdawało się Jurowi, iż to wszystko minione snem było, chaotycznym, bezładnym strasznym snem raczej, niżeli rzeczywistością.

Powozic trzeba było nader ostrożnie, by sprzężone razem sanie, nie zaczęły się gdzie i nie wyróciły na leśnych wykrotach. Aby jeno ruszyć dalej, myślał Jur, kanyś przecie do ludzi zajedziemy i pan Helt, postara się o najemników do swoich sań. Odjechawszy trochę, Jur wstrzymał jednak konie i patrzył na płonącą stajnię, z odkrytą głową, szepcząc pacierze i nagle drgnął. Dobiegło go wycie przejmujące, rozpaczliwe. Przypomnił sobie, że wedle stajni pies był na łańcuchu, głuche przeraźliwe wycie dobiegało teraz, jako jedyny głos życia w osiedlu.

Biedne psisko.

Jur konie do drzewa przywiązał i nawrócił, żał mu było zostawić psa na pastwę płomieni, lub na mękę powolnego z głodu konania, i dziwne, wspaniałe wilczur, jak gdyby przeczuł, iż człowiek ratunek niesie, położył mu się skomlać cicho, żałośliwie u nóg. Jur, łańcuch odpiął, gwizdnął, pies poszedł za nim posłusznie, jeno grzbiet mu się zjeżył a szeroko rozwarłe nozdrza dyszały głośno i ciężko.

— To ci pierwsza zdobycz, myślał Jur — ano z psem weselej będzie, poszedł ci za mną jak za swoim, trza mu kielbasy z sakwy dać, na utrwalenie przyjaźni.

Poszukał i rękę z wonnym specjałem do psa wyciągnął, białe, ostre zęby wzięły ją ostrożnie, choć łakomie, by ręki nie skaleczyć. Jur lekko po grzbiecie dłonią przeszedł.

— Jakoż cię zwać psino?

I przypomniało mu się ojcowskie osiedle i towarzysz jego młodzieńczych wybryków, olbrzymi, zaśliniony Zagraj.

— Zagraj, cię będę wołał, Zagraj, pamiętaj.

Konie ruszyły, za saniami powłókł się pies, z ogonem wtłoczonym między nogi, z najeżoną sierścią ale się powłókł.

Przez gałęzie drzew długo jeszcze świeciła luna pożaru, znać objął całe osiedle na pustkowiu.

Po dwóch dniach kopania się przez śniegi i bory, zajęchały sanie przed modrzewiowy dwór, pańska to jakaś była rezydencja, bo dworzyszcze było obronne, fosą i wałem otoczone, czterema wieżami strażniczymi opatrzone a w głębi widać było dwór drewniany ale na piętro podciągnięty o dachy jaskrawo na czerwony kolor malowanym i oknach do kaplicy zdaje się przynależnych, misternie rzeźbionych i opatrzonych kolorowymi, w ołów oprawnymi szybkami. Poza nim spał sad rozległy i dymiły chłopskie chałupy, tak śniegiem zawiane, że jeno po smugach dymu poznać było można, gdzie tkwiły. Na dźwięk dzwonek u sanek pana Heltowych, wrotny z okienka nad dzwierzami siwą wychylił głowę.

— Niech będzie pochwalony pan nasz Jezus Chrystus.

Przywitał go zdjawszy czapkę pan Helt. — Na wieki, wieków. Amen. Zdalekaście panie?

— Kupiec jestem, ze wschodu jadę i o nocleg dla siebie i kompanii uprzejmie proszę.

— W ten moment wrota otworzę, tylko psy na łańcuch pójda.

— Czyje to dworzyszcze?

— Woła pana Herburtowa.

— Pan doma?

— Nie, pan w podróży, doma jeno starszy pan i jejmość, dziadowie jegomości.

— No, psy już na łańcuchach, wjeżdżajcie.

Potrzebną była ta ostrożność, bo gdy sanie wjechały w podwórze powstało takie ujadanie psiarni, że zdawało się, że bębni w uszach popękają. Rej wodził piskliwy głosik białej pudlicy, co rozkraczona szeroko, jak gniewliwa gospodyni na ganku się rozparła i ujadła jakby ją ze skóry obdzierali, a z podwórza wtórował głęboki bas legawców, wilków, wyźłów, chrapliwe, zajadłe warkotanie jamników, znać zwierzyły obcego psa i protestowały przeciw najazdowi głośno a zgoła niegościnnie. A Zagraj wkulił się pod sanie i siedział tam cichy, skurczony z najeżoną sierścią i tylko czasem z za podniesionych gniewliwie warg błyskały zęby białe, ostre, jak w złym uśmiechu.

— Pocieszka, do nogi!

Odwolał ktoś z głębi dworu rozwrzeszczaną pudlicę, potoczyła się w głąb sieni, jak śniegowa kula i jeszcze długo dochodziło jej krótkie, piskliwe ujadanie.

Na środku podwórza stał znać jeden ze starszych dworzan. jegomość siwawy, z włosami na starą modę ciasno w warkocz zaplecionymi i upiętymi wokół głowy, zleciała się wraz i chmara służby żeńskiej i męskiej. Gadalі coś wszyscy. gadał pan Helt i wszystko tonęło w psim ujadaniu. Niesposób się było dogadać.

Wreszcie, jeden ze sług konie za uzdę ujął i skierował się z nimi do stajni za dworzyszczem, a pana Helta, drugi, gestami, w głąb domu prosił.

Psia zaś muzyka trwała dalej, cichła na mgnienie, ale potem znowu rozlegał się chrapliwy głos ogara i koncert rozpoczynał się na nowo, ze zdwojoną siłą.

W godzinę później, gdy Jur w pokoju pana Heltowym umył się i oczyścił z drogi, wszedł sługa i zaprosił ich na wieczerzę do izby stołowej.

Sala to była olbrzymia, ciągnąca się wzdłuż całego frontu dworzyszczu o sześciu oknach, z oknami nie z błony, ani z zielonkowatego szkła krajowego, jeno rżniętego pięknie, szkła weneckiego. Jur, co dotąd nigdy poza rodzinny zaścianek nie wyrżał, a mieszkanie proboszcza w Łodzi zdawało mu się szczytem wygody i zbytku, zdziwionymi wodził oczyma po ścianach zdobnych atlasowymi szpalerami, wschodnimi kobiercami. Zwierciadła w Będoniu nie było, szlachcianki przierzerały się w wodzie, albo w szybcie, chłopcy tego nie znali, więc i teraz, Jur nie orientował się we wielkości sali, bo mu ją w bezmiar powiększały weneckie, po ścianach wiszące zwierciadła.

I nagle, gdy oczy od kobierczyków zaścielających podłogę podniósł, dojrzał tuż przed sobą młodzieniaszka wysokiego, roste go, w skórzniach i szarej czamarze, jako mu się bacznie przypatrywał, a za nim pana Helta rozmawiającego z siwusięńkim jegomościem i wysokiego księdza. Ukłonił się Jur nisko i zdziwił niepomalu, że i ów młodzieniec równie głębokim odpowiedział ukłonem, aż mu czarna czupryna na oczy zleciała, jako i jemu.

A tu wkrąg niego buchnął śmiech, śmiał się mały, siwy staruszek w kitlu jedwabnym, pasem fódzkim związanym, chichotała cichutko starowinka z twarzą rumianą w bramce z pereł, huczał basem jakiś szlachcic rozłożysty i on dworzanin, co ich pierwszy powitał w podwórzu, nawet na poważnej twarzy pana Heltowej i młodej księdza kapelana uśmiech był, jeno ten smagły chłopak naprzeciwno nie śmiał się, jeno patrzył zdziwionymi, jako Jur oczyma.

Jurowi się zdało, że poza nim ktoś stoi, oglądał się i przeraził.

— Cóż to jest?

Jest w izbie dwóch panów Heltów, dwóch staruszków w kitlu, dwie babcie w bramce z pereł, czterech rubasznych szlachciców, nawet dwóch kapelanów, a wszystko to bractwo śmieje się a śmieje, aż dziaduś czerwony już jest, jako wyloty u kontusza dworzan, a babci lży jako perły po zwiedłych policzkach cieką.

— Śpię czy, co?

— Diabeł ze mną figle jakowe wyprawuje, nic nie piłem a w oczach się dwoi.

Jur oczy przetał a ten, naprzeciwno też.

— Drwi czy zwady szuka?

Krew uderzyła do twarzy Bendońskiemu, pewno dlatego się tak wszyscy zaśmiewają, że on młodzieniaszek naprzeciwko wszystko powtarza, co on, Jur, uczyni.

— Czekajno waść! Dworować z siebie nie dam, jakem Bendoński!

Taka to gościnność! Taka w Polsce uczciwość.

Będzie siekanina.

Ręka mu już do szabli leci a rozognione oczy świecą dziko. A tamten do szabli też.

— Jezusie! zwierciadło mi rozwali!

Pokłada się ze śmiechu staruszek.

— Opamiętajże się waść — dźwięczy mu nad uchem, wśród niemilkącego śmiechu tamtych, głos pana Heltowy. — Dyć to jeno szkło jest a ten, tam, naprzeciwko, to waści, własne odbicie, własny konterfekt. Popatrzże waść, widzisz przecież i mnie i jegomość pana Herburt. Szkło we Wenecji, tak misternie wyrabiane, że wszystko odbija. Ot spójrz waść, z drugiej strony jeno drzewo i ściana.

— Diabelskie jakoweś figle...

Mruknął Jur zawstydzony swoim niefortunnym występem, ale jeszcze zeżem patrząc w zwierciadło, zali to naprawdę jest jako pan Helt mówi.

Jegomość pan Herburt, aże na krześle przysiadł i ocierając zażawione powieki czerwonym fularem, mówił dusząc się jeszcze śmiechem:

— Ano to nam acan krotochwilę sprawił. Niepamiętne czasy, żebym się tak ześmiał, aż, panie dziejku, flaki bołą.

— Imci pan Jur Nałęcz Bendoński.

Prezentował roześmianemu towarzystwu

pan Helt. Staruszka rękę wyciągnęła, drobną, malusieńką rączkę obładowaną pierścieniami i uśmiechnęła się pocziwie.

— Waćpan daruje, żeśmy się śmiali, aleć waćpan nawet pojęcia nie ma, jakie to było zabawne.

— A bodaj cię lichu wzięło kochasiu, coś ty miał za minę, rozcupurzył się, jak młody kogut, jenom się bał, że mi zwierciadło rozsiekasz na kawałki.

— Nie widziałem nigdy zwierciadła, a siebie też nie oglądałem—rozchmurzył się Jur.— Bo i gdzie? Doma to nawet kobiety jeno w wodzie się przeglądają, a dla chłopca wstyd, mizdrzyć się jak dziewczyna, tom się i nie widział.

— Jużem się dawno tak nie ześmiał, aż w boku kłuje. Siadajże, panie dziejku, siadaj. A prawda, byłbym zapomniał z tej uciechy, żeśmy jeszcze Boga nie chwalili i nie podziękowali mu za Jego dary.

Ksiądz kapelan modlitwę odmówił, stół krzyżem przeżegnał i wszyscy zasiedli. Jur usiadł koło Plaitena i pilnie uważał, by go znowu jaki diabelski wymysł na śmiech nie naraził. Dziwiło go zresztą wszystko, począwszy od pułapu misternie w kasetony rzeźbionego, od broni kosztownej, rozwieszonych na kobiercach do tej białej jak śnieg serwet, co stół zaścielała i tych pucharów i kubków rozmaitej wielkości i kształtu, co całym szeregami przed każdym biesiadnikiem stały.

Patrzył w podziwie na nadproża cudnie rzeźbione, na kominek, na którym wesoło płonęły drwa bukowe, strzelając radośnie, a jednak nie napełniając dymem komnaty, na kon-

Dziwaczne przygody

terfekty po ścianach, jakby ludzi żywych je-
no nagle w bezruchu zastygłych.

A potem spoglądał na staruszkę w kitlu
i na babcię i powoli opuszczało go pierwot-
ne zakłopotanie.

Podano potrawy, wnieśli je słudzy na
srebrnych półmiskach, danie było jakoweś
dziwaczne, mięsiwo szarym zawieszistym so-
sem podlane i cukrem grubo osypane a tak
korzenne, że Jur przestał się dziwić owej
wielkiej ilości kubków i szklanic, bowiem kto
jadł to i pić musiał, by on pożar powstają-
cy w przelyku jakoś ugasić. Dobre to ta nie
jest, myślał Jur, ej gdyby tak skopowiny ka-
wałek albo boczek, jako doma bywało.

Gardło piecze... a pan ociec pić zabro-
nił, wyjął nóż i widelec z za cholewy, bo
choć w pańskim domu domowym podano
sztućce a gościom jeno talerze, bo nakrycie
każdy w bucie nosił.

Pan Helt opowiadał o swoich podróżach,
o przygodzie jaka ich spotkała i w gorących
słowach sławił dzielność Jura. Teraz to chłop
naprawdę się zawstydził, więcej jeszcze,
jak po owej przygodzie z lustrem, bo wszys-
cy patrzyli na niego, tak jakoś dobrze i poczi-
wie, jak patrzą ludzie dobrzy, wzruszeni
czyjaś dzielnością, więc spuścił głowę nad
talerzem i jadł, zmiatał w zakłopotaniu całą
tę górę mięsiwa, jaką mu staruszkę własno-
ręcznie na talerz nałożyła.

— Ten ci ma spust — myślał pan Herburt,
obserwując swojego gościa, ale przypomniały
mu się młode lata, kiedy to po dwanaście
zrazów z kaszą na jedno zjadał posiedzenie
i uśmiechnął się życzliwie pod wąsem, tym
bardziej, że smagła twarz chłopaka przypo-

minała mu ogromnie dawno niewidzianego a
bardzo kochanego krewniaka, Jerzego Opa-
lińskiego. Zdziwiło go jednak, iż młodzie-
niaszek owo mięsiwo korzenne zajada nie nie
pijąc, więc przypił do niego. — Zdrowie wasz-
mości panie Bendoński, iżeś tak dzielnie w
opresji stawał.

Jur splonął, trudno mu było odmówić uro-
dziwej ładze, jeszcze trudniej siwowłosemu
panu Herburtowi, gdy doń rękę z kielichem
wyciągał, jego własne wnosząc zdrowie, a
przecież pragnął ojcę słowa dotrzymać, bo
cóż wart szlachcie, co z gęby cholewę robi.
Spojrzał więc rozpaczliwie w stronę pana
Helta a ten wraz zrozumiał o co mu idzie
i z pomocą pospieszył.

— Pan Bendoński przed wyjazdem z do-
mu, rodzicielowi słowo dał, iż pić żadnych
trunków nie będzie, toć już sami zdrowie
wychylimy, by go z onego pięknego postano-
wienia nie naruszać.

— Trudno go będzie waści dotrzymać,
trudno. — Pan Herburt głową siwą trząst. —
Chłop powinien być i do wypitki i do wy-
bitki, jako się patrzy.

— A przecie dobrze jest nie pić, gdybym
był w karczmie pił, to byłbym spał tak,
iżbym się nawet na huk gromów nie rozbu-
dził, a cóż dopiero na pana Heltowe wołanie.

— Abo by byli waści tyż blekotu zadali
i byłbyś spał na wieki.

— Bodaj cię lichu wzięło kochasiu, na pa-
stelnika ci iść.

— Aleć ja zawdy mówię, picie w miarę
fantazję w człowieku trzyma.

— Kiedy właśnie o tę miarę trudno, mój
jegomość — zabrała głos pani Herburtowa. —

Dla jednego kielich miarą a dla drugiego gąsior. A choć się z czupryny kurzy i nogi płaczą, zawdy ci każdy powie, że pił w miarę.

Zaśmiał się staruszek i na jejmość spojrzął tak czule, jak może i przed wiekiem patrzył.

— Kasieńka ma rację. Kasieńka, głowę nie od parady na karku nosi, zawdy mówięm.

— A niech jegomość wieprzowiny tyle nie je, bo będzie go w żywocie gniotła.

— Kiedy, bo dobra.

— A potem się będzie jegomość do rana z boku na bok przewracał i wzdychał.

— To do jejmości.

— Despetnik z jegomościa.

— No, no wiem, że niewiastom ani tłuste potrawy, ani tłuste koncepta nie w smak.

— A żeby jegomość wiedział. A dlatego wielce panu Bendońskiemu chwałę jego wstrzeмиęźliwość, bo kto do kieliszka zagląda, to zły bez niego gada. Pan Bóg ową abstynencję pocziwają waści wynagrodzi.

— Na dzieciach.

Zachichotał pan Herbut, bo po korzennej wieprzowinie miodu za kołnierz nie wylewał i podochocony był już dobrze.

Jur zadowolony był, że się wieczerza ku końcowi miała, bo go w gardle jak ogniem paliły owe potrawy pieprzne. Dwaj rękodajni dworzanie weszli z długim kilkometrowym ręcznikiem i z misą wody, goście ręce myli i obcierali.

— Może i ja kiedyś będę tak z ręcznikiem posługiwał, pomyślał Jur i markotno mu się stało.

— Kto ma wolę to do kaplicy, na modlit-

wę wieczorną prosimy — zwrócił się do gości ksiądz kapelan.

A oto już dworzanin świecę woskową ze stołu wziął i poszedł przodem, przez sień obszerną, słabo oświetloną i schody, rozwarły się drzwi kaplicy i z wnętrza uderzyła łuna światła i muzyka organów.

Ktoś grał, grał tak cudnie, że Jur chłonał tę pierwszy raz w życiu słyszaną muzykę, jak objawienie.

Zdawało mu się, że o świtanie letniego dnia borem swoim umiłowanym idzie, że to wietrzyk gra w gałęziach drzew i ptaki się budzą radosne, rozszczebiotane. Zdawało mu się, że woń macierzanek czuje i jodeł słońcem rozgrzanych. A przez on bór słońcem złocisty, rosą pachnący, idzie ku niemu z ołtarza tonącego w powodzi światła śliczna, drobna postać Bożego dziecięcia i błogosławi.

I cisza mu w duszy staje, jako w borze w dzień upalny, letni o południu.

Wszystkie pragnienia, marzenia, porywy, rozplywają się w ekstazy pełnej modlitwie.

Tak trwać, życie zapomnąć, siebie zapomnąć, tak trwać.

Aniołowie ci to grają, czy ludzie?

Tak cudnie, cudnie.

Lzy mu pod powiekami wezbrały i płynęły. Nie wstydził się ich, niech płyną.

A pan Helt, stojąc oparty o drewnianą poręcz rzeźbionej bogato ławki, patrzył w rozmodloną młodą twarz Jura, widział wyraz ekstazy w jego szeroko rozwartych w ołtarz wlepionych oczach i myślał:

— Jeżeli z tego młodzieniaszka dworzania będzie, tedym się raz pierwszy w życiu na towarze nie poznał.

EX LIBRIS
WSZOŁEK JÓZEF
OLPINY

ROZDZIAŁ VI.

Ofka...

Dom rozwierał okiennice, jak człowiek oczy zaspane, leniwie i powoli. A dom to był okazały, w samym rynku, cały z czerwonej cegły pięknie zbudowany, z widokiem na plac targowy i ratusz, który się rozsiadł w pośrodku, jak poznański mieszczanin, świadomy swojej godności.

Wrota rozwarły się i zamknęły szybko, jak usta ziewające nagle, ręką przysłonięte, ktoś wybiegł, dziewczuszka jakaś młoda i zgrabna, biegła już tak o szarym świtanu do świętej Magdaleny na pierwszą Mszę świętą, dwa złote warkocze leciały za nią. W tołubku była futrzanym i w czapeczce tak głęboko na twarz zasuniętej, iż się widziało jeno koniec noska, czerwonego od mrozu.

Okno na pięterku rozwarło się nagle, wychyliła się przez nie jejmość leciwa, tuszy okazałej i huknęła w dół, wcale nie niewieścim organem głosu:

— Ofka!

Biegająca podniosła głowę i zatrzymała się.

— Ofka, a nie siedz tak długo, jako zwykle.

— Czemu?

— Wczora, gdyś już spała, przyjechał kon-

ny, jegomość pana Helta można się spodziewać dziś ku południowi.

— Dziad wraca—ucieszyła się dziewczynka. — Dyć Panu Bogu podziękuję z całego serca, takam ci ja i niespokojna była o niego. Z Bogiem pani Strutzlowa.

— Z Bogiem.

— Dziad wraca! — para ramion młodych objęła kolosalną figurę jejmość pani Agaty Strutzlowej, cnej wdowy po pisarzu w firmie Helt i syn i przytuliła się do jej twarzy twarzyczka różowa, śliczna, ciepłem snu jeszcze owiana, o oczach figlarnych i ustach, dzieciennie w podkówkę wygiętych.

— W kominie zapisać, że Basia już wstała! Może Basia też do kościoła idzie, za powrót dziada podziękować Bogu.

— Mróz!

— Ojej, żeby nosek nie odleciał. Wstyd!

— Właśnie się wstydam, ale ja tak zimna nie lubię.

— Piecuch z waćpanny. Przyodziejże się a idź, ksiądz Tomasz pewno jeszcze ze Mszą nie wyszedł, doleczisz.

— Nie dolecę.

— Ech! z tobą gadać, toby człowiek cierpliwości zbyt.

— A jejmość pójdiesz?

— Dziś? Co mam tyle roboty, by dziada waćpanny godnie przyjąć i zakąski jakoweś i pierniki przygotować, by było co jutro do miodu podać, gdy się kupcy schodzić zaczną by go powitać. Czeladzi śniadanie trza dać, palenia w piecach przypilnować, na rynek iść, zakupy poczynić. Któż to wszystko zrobi? Juści, nie ty porcelanko.

— A kto ma się ubrać, wianeczek sobie i Ofce upleść, kryski wyprasować, ach?

— Jużbyś ta mogła, bodaj na pacierz do kościoła wstąpić.

— Straszny mróz.

— Tyś Basiu strasznie leniwa, jak gdyby nie pana Heltowa wnuczka.

— Właśnie dlatego, bo jak za mnie wszystko robią to i ja nie mam co.

— Kurze bodaj zetrzeź, Ofka to zawdy wszędzie jest, Ofka biedusia to zawdy każdemu pomoże.

— Ech! Ofka!...

Zaperzyła się pani Strutłowa:

— A cóż se to Basia myśli, że Basia urodziwa a ona biedusia jako ten maszkaron to już ona popychadłem ma być domą a ty jakby księżniczką jakową?! A ja ci mówię Basiu, jakem Strutłowa, gdybym ja kawalerem była a dali mi was do wyboru, to bym ona słodką dziecinę moją wybrała a nie ciebie.

— O jej, ja bym też takowego kawalera nie chciała! — zaśmiała się Baśka — Co by mu trzy podbródki u brody wisały. Jakem Heltówna!

— Nie podrzeźniaj! A że Ofka taka jest, jak jest, to ci powiem prawdę, twojać wina, boście się obie bawiły w czeladnej i tyś na nią z psoty garnek z wrzątkiem obaliła, nie chcący, boś ty miała czwarty roczek a ona trzy, aleć za twoją przyczyną się to stało. Dziad wasz zakazował o tym mówić, ale dla czego nie masz wiedzieć. Wiedz.

— Za moją przyczyną?...

Baśka Heltówna zbladła, odstąpiła o krok a jej wspaniałe, czarne oczy z takim bolesnym zdziwieniem patrzyły w twarz imci pa-

ni Agaty, jakby ją raz pierwszy w życiu widziała. A jejmość przeraziła się trochę, że się wygadała i rozczzerwieniła się tak, że w obramowaniu białego czepca wyglądała, jak jakowys gigantycznych wymiarów pomidor.

— Basia bo zawdy człowieka do pasji doprowadzi.

— Więc to Ofka przeze mnie...

— No, no, cóż Basi usta w podkówkę leca, stało się, to się i nie odstanie. Aleć nie ma Basia co z Ofki dworować i nosa zadziierać, ino ją miłować należy i sercem wynagrodzić ową krzywdę, która się stała z Basinej przyczyny.

— Jak to było?

— Ano tak! Jegomość pan Helt młodszy, wyjechał wtedy właśnie w ową podróż do Turcji, z której już nie wrócił, przepadł jak kamień w wodę. Matka wasza była wtedy jeszcze w pełni sił i urody i was dwie było w domu, dwa rozkoszne dzieciaki, ty czarne diablątko i Ofka złotowłosa, błękitnooka, jak aniołek. Pamiętam, stałam wtedy wedle stołu i krajałam chleb dla czeladzi, a wyście uganiały, obłapywały się, wywracały a śmiechu było, pisku, że niech Pan Bóg broni i nagle krzyk. A że mi serce w piersi stanęło, odwracam się a tu wyście wywaliły baniak z warzą dla bydła, tyś uskoczyła ale Ofka... et gadać się nie chce, bez trzy tygodnie była między życiem a śmiercią i kto wie czy nie lepiej... — Jejmość urwała, bo ją wzruszenie tak za gardło chwyciło, że ani rusz nie mogła gadać dalej.

— I wtedy zaniewidziała?

Pytanie padło z drżących, bladych ust Baśki.

— Dyć wtedy.

Młoda dziewczyna pochyliła się nagle i ucałowała pulchną rękę gospodyni.

— Co też znowu Basia wyprawuje!?

— Dziękuję jejmości.

— Za co!?

— Że mi jejmość powiedziała, bom nie raz dla Ofki niedobłą była, wynosiłam się ze swoją urodą, bo mi też i nigdy bez myślnawet nie przeszło, że ona, że ona... przeze mnie właśnie.

— No, no Basiu, takie już i przeznaczenie było. Najeżdżała się jejmość, macierz wasza, po lekarzach, po znachorach, jedni nie poradzili i drudzy, nie. Gdy opuchlina zeszła, oczy czyste zostały, jeno niewidome a twarz, jak jedna blizna. Teraz to już wygląda, urodziwa nie jest, ale chociaż już ludziom nie straszna. Ale wtedy... Chryste Panie, rana to była, jedna krwawa rana, co się człowiek na ona dziecinę nieszczęsną popatrzył, to go taka żałość za serce chwytala, że jeno się a płakać. Et, co.

— I nigdy już nie widziała?

— Z początku to ta jeszcze, jak pod światło stała, to cienie widziała, potem i to ustąpiło. Może ta nie bardzo biedactwo nieszczęście swoje czuje, bo w domu każdy kąt zna i rusza się po nim tak śmiało, jakby widziała, do kościołów też trafi i wszędy w Poznaniu drogę znajdzie. Pokrzywdził ją Pan Jezus na ciele, ale za to duszą przeczystą wynagrodził.

— Pani Strutzlowa! — Drzwi się nagle rozwarły i wpadła dziewczka młoda, bujnie rozrosła. — Dyć wszyscy na polewkę czekają a jejmość jeszcze w nderaku!

Spojrzała pani Strutzlowa na spódnice i ujrzawszy, że to istotnie spodówka była z czerwonego kamlotu, w bystre koła białe, za głowę się porwała a raczej za czepiec kolosalnych wymiarów, co ją pokrywał.

— O Jezu! Dyć prawda. Jak baba język rozpuści, to nikiel ten młyn, ani rusz zatrzymać. Skoczno Jagnięś na jednej nodze i przynies mi wierzchówkę, tę czarną, nie sposób iść ku ludziom tak pstrokato.

— A gdzie wisi?

— A tam gdzie zawdy, sama już idę, dar-mozjady z was, a jak potrzeba żadnej wyre-ki. A chleb z pod runy przynieś i masło. Ta, kanyż lecis, latawico zatracona, wysłuchajże co mówię, masło, to w białym glinia-ku, z tasiemką na uszku, czegoż jeszcze stoisz i gębę otwierasz jak bramę Chwaliszewską. Jejmość pani Agata dawno już poszła, ale dźwięczny jej organ, grzmiał w coraz to innych częściach domu.

A Baśka Heltówna u okna stała, patrzyła jak miejskie pacholki ustawiały wagę, jak na palik wyciągali chorągiew targową, jak zwol-na plac wypełniał się barwną ciżbą ludzi i gwarem, patrzyła jednak oczyma, które nie widziały, nie mogła się jeszcze bowiem otrząs-nać z wrażenia, jakie na niej wywarły sło-wa Strutzlowej.

— Dziaduś! Dziaduś!

Dwie smukłe postacie zawisły u szyi pa-na Helta, zcałowywały zamróz z siwych wąsów.

— Zdroweście dziewczuszki? Zdrowe?

— A juści.

— Nic się ważnego nie przydarzyło?

— Nic.

— A przywiózł nam dziaduś jakowegoś gościńca?

Wyrwało się Baśce, zaśmiał się starzec:

— Jeszczem się z futra nie rozdział a ta już gościńca se szuka. Ano spójrz, przywiozłem wam w gościńcu, kawalera grzecznego, dobrze urodzonego, co byście miały dla kogo na luteńce grać a przyśpiewywać. Imci pana Jura Bendońskiego herbu Nałęcz, przywiozłem wam kozy.

Baśka Heltówna wychyliła się ciekawie z za ramienia dziada i spojrzenie jej czarnych oczów spotkało się ze wzrokiem Jura, spłonęła jak mak polny, bo tyle było w tych płomienistych, śmiałych żrenicach podziwu dla jej urody, tyle zachwytu. Na Ofkę spojrzał jeno mimochodem, jej drobna twarzyczka o nierównej cerze i ustach zbyt szerokich nie pociągała, za to uroda Baśki wydała mu się wprost cudem. Nigdy jeszcze nie widział równie pięknej dziewczyny. Zośka z Choin urodziwa była, ale przy tej, toć luczycwo przy słońcu. A strojna była w same jedwabie a koronki i woń od niej szła jakby od łąki kwietnej, lipcowym słońcem ogrzanej. Wiedział już Jur od pana Helta o nieszczęściu Ofki, wiedział o urodzie Basi, ale nie wystawiał jej sobie taką, jaką ujrzał. Prawdę mówiąc, to nawet nie usiłował wywołać przypuszczalnego obrazu wnuczek pana Helto- wych, starzec gadał, on słuchał, zazwyczaj wieczorami, na postoj, w pół śpiąc już. Było dość czasu do gadania i do słuchania i przelewały się te historie przeżyć rozmaitych, opowieści o krajach dalekich, o ludziach inkszych, o miastach bajecznych

w wiecznym słońcu skapanych, drażniąc wyobraźnię, wabiąc.

A człowiek jeno w zaścianku tkwił i badał czy kiedy świata kawaleczek chociaż zobaczy... ze smutkiem myślał wtedy Jur. Wiedział też, że dziad pana Helta przywędrował do Polski wraz z Tomaszem Guben i założył w Poznaniu dom towarowy, przywozili ze wschodu z Chorazimu i Stambułu tkaniny jedwabne, kobierczyki, broń, wonności z Filipopolu, jeździli za kryształami do Włoch, za srebrami i obrazami do Niemiec, sprowadzali towary z Gdańska. A wszystkie one podróże odbywały się zimą, bo drogi wtedy bywały najlepsze. Wiosną, powodzie bywały straszliwe, latem, drogi wielkimi ulewami popsute, pełne były dziur i wyboi, jesienią przychodziły błota, konie w nich można było ochwacić a wozy połamać, jedna zima, śniegami zawsze obfita, dawała możliwość względnie wygodnego i szybkiego podróżowania. Jeździło się rozstawionymi koniami albo też zamieniało się po drodze co nie przychodziło trudno, bo każdy prawie szlachcic w koniach się miłował i stadninę hodował.

Pan Helt roztaczał przed chłopcem barwny obraz kupieckiego życia, opowiadał przygody rozmaite ze swego długiego a wielce urozmaiconego żywota. Powiedział też Jurowi jako Baśka ma już upatrzonego, chociaż o tym jeszcze nie wie, ale on ci jej już przeznaczył. Upatrzył chłopaka nie zbyt urodziwego wprawdzie, ale kupca pierwszej gildy, młodszego syna bogatego Rydta, co domy towarowe w Poznaniu ma i w Gdańsku i własną flotyllę na Bałtyku. Zleją się dwa nazwiska, dwie firmy, dwie ambicje. Trudno,

potomka męskiego nie ostawi. chyba, żeby cudem jakimś Wilhelm żył, co w onej tureckiej wyprawie po jedwabie takędyś bez śladu zginął. Aleć szukając zaginionego starszy pan Helt całą Turcję azjatycką zjeździł i nigdzie nic takowego nie słyszał, co by na ślad jakiś naprowadzić mogło. Jak kamień w wodę.

Otóż ten co Baškę pojmie, bo Ofka to już chyba w panieństwie żywota dokona, nazwisko musi wziąć i cały kupieckiego domu splendor i dorobek.

— „Nie dla psa kielbasa, nie dla kota spyрка” — pomyślał więc teraz Jur, wspomniawszy opowiadanie pana Heltowe i przyrzekł się teraz z kolei Ofce, z tym trwożnym zaciekawieniem, jakie zazwyczaj w ludziach wywołuje kalectwo drugich.

— Od tyłu zupełnie urodziwa, jeno z przodu wielce szwankuje. Skonstatował, bo i rzeczywiście Ofka wysoka, smukła, odwrócona plecami, miała śliczną linię ramion i włosy długie, koloru żółtej pszenicy a tak grube, że we dwie garście ledwie by się było objęło te spuszczone warkocze, ale z przodu bledziutka twarzyczka, pokryta czerwonymi plamami, szerokie usta i smutne, nieruchome oczy przejmowały grozą. I nie widziało się już rąk prześlicznych, jakgdyby w alabastrze toczonych, ni kształtów, tak bardzo powabnych, nieszczęście zacierało te wdzięki, zacierało zupełnie.

Po południowym posiłku, obfitym a skromnym, w sali, w której bogaty przepych dziwił Jura, gdy już pan Helt wszystkie przygody swoje opowiedział dokładnie a dziewczęta i jejmość pani Strutzlowa, nad śmiercią

pachółków spłakały się gruntownie, zwrócił się do młodszej wnuczki i głaszcząc ją pieśczołliwie po jasnych warkoczach prosił:

— Zaśpiewaj mi co Ofka, zatęskniłem już do twojego śpiewania a asan pan Bendoński tyż rad posłucha, jako, że i jest czego.

A ciemna dziewczeczka po luteńkę poszła, po luteńkę strojną mnogością wstęg różnobarwnych i cichutko uderzyła w struny.

Krótki dzień zimowy za oknami gasł i wszystko osnuwał mrokiem, tonęły już w liliiowej mgłę wieżycy kościołów i dachy domów, zasnuwał mrok kąty stołowej komnaty. Przygasły barwy adziamskich kobiercy i stref adamaszkowych, w mroku bielą cudna twarzyczka Baški, przytulona do dziadkowych kolan i potężny czepiec pani Strutzlowej oraz śnieżna broda pana Helta.

Dzień gasł.

Jakiś nastrój łagodnego smutku drżał przestrzeni, gdy przepiękny altowy głos napęlił komnaty:

Do Ciebie Panie,
tęsknię w dzień i noc
Tyś moja siła,
wytrwanie i moc.
Tyś moja tarcza,
obrona i straż.
W sereu mym ołtarz,
w duszy kościół masz.
Do Ciebie Panie
tęsknię w dzień i noc,
Tyś moja siła,
wytrwanie i moc.

— Coś wesołego Ofko! coś wesołego! — prosiła Baška.

A pieśniarka posłusznie zamieniła nagle poważny dźwięk lutni, na swawolny, czaił

EX LIBRIS
WSZOLEK JOZEF
OLPINY

się w nim śmiech dziewczęcy i młodego życia tęsknota.

Śnią mi się czasem jakieś usta,
śni mi się czasem czarny wąs
i myśl mnie wtedy wabi pusta,
by rzucić lutnię i iść w płas.

Hej ktoś się śmieje,
stroj firleje,
szablicą brzęczy,
podłoga jęczy.

Zdejm ostrogi mości panie,
Skoro pragniesz iść w płasanie,
depcesz nogi, panie drogi
depcesz nogi! Depcesz nogi!

Hej ktoś się śmieje,
stroj firleje,
szablicą brzęczy,
podłoga jęczy.

Pójdź luteńko, siądźmy sobie,
co nam obu czarny wąs;
Pójdź luteńko, powiem tobie,
Łza mi bliższa, niżli płas.

Urwała nagle i odchyliwszy w tył głowę
złotą, śpiewała znowu z dziecięcą pustotą

Przywiózł nam dziaduś, gościniec z drogi,
obcego człeka przywiózł nam z drogi.
Poszukaj jeno dziadku w sepecie,
może gościniec inkszy znajdziecie.
Gość bardzo miły i sercu drogi,
bo cię zratował z opresji srogi,
aleć w sepecie, aleć w sepecie
inkszy gościniec dziadu znajdziecie.

— Ale! A cóż byś ty na ten przykład
chciała dziewczusko miła: kanak czy manele,
jedwab z Kaszmiru, czy wonności z Filipopolu?

Daj mi dziadku kwiatów woń,
przyśni mi się ogród z róż,
przyśni mi się kwietna dłoń,
daj mi dziadku duszę róż.

— A zgadłaś kochanko, bo ci przywozłem wonności.

— A jak tam było dziadku, mów, to po tym to ujrzę twoimi oczyma.

— Niebo błękitne, pamiętasz je jeszcze?

— Pamiętam.

— I słońce, taka moc słońca.

— Ciepłego, radosnego słońca.

— Tak i krzewy róż, kędy spojrzeć jeno olbrzymie pole kwitnących róż, białe, purpurowe, wszystkie w kwiecie i wszystkie w słońcu. A słowiki dzwonią chórem, śpiewają może na cześć słońca i róż.

— Albo na cześć tego, który je stworzył i onego piękna bezmiar.

— Zapewne, otóż idą robotnicy i niewolni, w półnady, smagli, tym słońcem opaleni na brąz i do olbrzymich koszów zbierają płatki kwiatów. Kwiaty umierają a woń ich żyje i gdy otworzysz ten flakon, to ci nagle zapachną wszystkie róże, jako w on słoneczny dzień letni.

— O, jak to dobrze dziadku! jak to dobrze!

Rzuciła luteńkę i w dłonie klasnęła radośnie, złociste warkocze omotały szyję staremu.

Ona jednak pomimo całego swojego niezszczęścia, potrafiła się tak radośnie śmiać i tak cudownie śpiewać i serca ludzkie cieszyć, dziwna dziewczeczka — myślał Jur.

— Przynieś mi ten sepet, co stał w bokówce i światło wnieść. — Nakazał pan Helt pacholikowi, co oparty o drzwi, rozkazów czekał. I znalazł się w sepecie bogaty kanak dla Baški i czepiec zlotolity dla jejmości i dla każdego ze służby podarek jakowys a

i Jurowi dostał się w udziale bogaty sztylet włoskiej roboty. Cudnaż to była broń i chłopakowi oczy się zaśmiały do niej.

I zapomniał Jur pieśni Ofki, gdy Baśka Heltówna kanak z diamentów i pereł przed zwierciadłem zapięła i zwróciła ku niemu oczy świetliste, radosne, pytające:

— Widziałeś urodziwszą?

EX LIBRIS
WSZOLEK JÓZEF
OLPINY

ROZDZIAŁ VII.

Dziwna propozycja.

Wczesnym rankiem wyszedł Jur z domu, by się po obcym mieście pogapić, do kościołów wstąpić, a wreszcie list pana ojca, do brata Antoniego w Dominikańskim klasztorze oddać.

Wszystko gapienia było godne, na placu targowym stawiano już budy na święto Łucki targ, Poznań cały stroił się odświętnie, bielono domy, boć to po świętej Łucji godne święta nie daleko, izbice się bieli a dusze czyści. Uwijali się po ulicach ludzie strojnie nie byle jako, raz wraz ktoś sobolową czapą migał i kitą z piór. Suche dni nadchodziły, ściagała się do miasta moc drobnej szlachty szukającej służby u wielmożów, widać było skórznie w domu ścibane i hełmy z lipowego lyka plecione, kogucim piórem z fantazją przybrane, przesuwali się żydzi w jedwabnych bekieszach z lisimi czapami i kołnierza-
mi, w pantoflach czarnych na białych pończochach, z żółtą łatą na plecach, gwoili odróżnienia od ludzi, inkszej rasy, czasem przesunął się i Moskwicin co z bogatym ładunkiem futer zjechał i Holender w pludrach szerokich i płaszczu fałdzystym co z klejnotami przywędrował. Niewiast po ulicach by-

ło mało, gdzieś mignęła szubka strojna, buzia mrozem wyciąłowana, kołpaczek z obramowaniem z soboli albo chustka i baranica. A wtedy Jur oczy spuszczał, bo zawdy dziwną czuł niepewność na widok niewiasty, lepiej diabłu zejść z drogi, myślał i patrzył w bok.

A niejedne oczy spoglądały ciekawie i żalotnie na chłopaka smukłego jak topola i urodziwego bardzo, a szczególnie Niemkinie wpijały w niego swoje oczy niebieskie, pytające:

— Tyś co zacz?

Ale, że Jur w bok patrzył, to i nie widział.

Wstąpił Jur do kościoła św. Magdaleny, co wysoką, smukłą wieżą, hen! w błękity wystrzelał. Ostrołukowe sklepienie lekko rzucone nad trójdzielną nawą, tak było wyniosłe, że zdało się, iż liliowa mgła czai się tam w górze i łuki spowija. W kościele było ciemnowo, przez drobne, barwne, w ołów poprawne szybki, sączyła się w ten mrok tęcza barw, w baśniowym świetle nurzała wszystko, konała na kamiennych taflach posadzki. W rzeźbionych bogato ławkach, po lewej stronie kościoła modliły się niewiasty, po prawej mężczyźni.

Jur uklęknął i zatonął w modlitwie, a była to modlitwa tak czysta jeszcze i szczerą, jakgdyby płynęła z duszy dziecka. Nagle drgnął, z chóru płynęła muzyka organów i cudny, altowy głos niewieści śpiewał łacińską pieśń z taką pełnią porywającej wiary, iż każde serce chyba musiał wzruszyć, każdą ośwładać duszę.

Ofka Heltówna.

Głos kołysał, koł. pociechę zsyłał, radość.

po jasnym szlaku pieśni wiódł duchy do Boga.

Ciemny słowik, biedny ciemny słowik.

Żal dogłębny przejął serce Jura nad niedolą dziewczeczki, bo oto tak hojnie rozdawała dary ze skarbu swego serca, a sama należała do nieszczęśliwych, do wydziedziczonych. Jak to musi być strasznie, wiecznie, jeno noc, ciemną noc mieć w okół siebie. Za życia w grobie być.

Ni słońca, ni ludzi, ni miłowania.

Nie!

Jedyny promień w tej ciemności, to ta wielka wiara, która w jej głosie dzwięczy, miłowanie do tego Boga, który ją tak ciężko doświadczył, odbierając wzrok.

Piękna to musi być dusza, piękna nad podziw.

Śpiew zamilknął, ostatni ton drżał jeszcze chwilę przestrzenia i zgasł a Jurowi się zdało, że w kościele mroczniej się stało i smutniej, gdy to anielskie zamilknęło śpiewanie.

Zatopiony w modlitwie, zasłuchany w pieśni, Jur nie widział, że jakiś jegomość dostojnie ubrany przyglądał mu się ciekawie, natarczywie, że z ławki wyszedł i przykleknął w podległość, oczu zeń nie spuszczaając.

A msza św. dobiegła końca, raz jeszcze na chórze zaśpiewał słowik ociemniały.

Cisza.

Światła u wielkiego ołtarza gasły, jedno po drugim, aż i ostatnie spłótno.

Ludzie poczęli wychodzić, tłocząc się w bramie, jak gdyby każdy kościół możliwie najrychlej opuścić pragnął. Jur wyszedł jeden z ostatnich, nie spiesząc mu było, za

nim wyszedł ów jegomość z waszecia ubrany i gdy Jur rozpytywał jakowegoś mieszczanina, przepytął się ni stąd, ni zowąd.

— Waść wybacz, że go tak na drodze halutuję, aleć sprawa pilna a zwłoki nie cierpiąca.

— Waść się pewnie pomylił w personie, boć obcy jestem i spraw tu nie mam żadnych.

— Nie pomyliłem się. Waść podobny jak dwie krople wody, do świętej pamięci Jerzego Opalińskiego, bratańca księdza biskupa, odkryłem to, jeszcze w kościele będąc i postanowiłem rozmówić się z waścią. Czy wolno wiedzieć z kim mam honor? Ja jestem Ksawery Wąsowicz, herbu Nałęcz, dworzanin i krewniak księdza biskupa poznańskiego Andrzeja z Bnina Opalińskiego.

— Jur Nałęcz Bendoński.

— Takóż Nałęcz! Cieszę się niewymownie, że na godną personę trafiłem a może i na krewniaka. Waść tu zrodzony?

— Nie, w Bendoniu, gdzie pan ojciec osiedle ma.

— To pewno ze skórami do Poznania?

— Zgadłeś waść i jakowej służby szukać, na dworze możnego pana, boć nas doma dużo, a łańów mało.

— Jako i u nas bywało. Zwykła dola drobnej szlachty, aleć mógł bym może i w tym waści pomocnym być, bo to dziwne waści z naszym nieboszczykiem podobieństwo. Może wstąpimy, winiarnię tu ma imci pan Maciek Kostyra, ma wina włoskie i reńskie, wyborowe. Mówię waści.

— Nie pijący jestem.

Jegomość oczy na niego wybałuszyl, jakby jakowąś personę niesamowitą dojrzał.

— No, no... To chodź waść bodaj na flaki gorące, przednio je pan Maciej przyrządza, z pieprzem, z majeranem, aż ślinka idzie a jakoś tak na ulicy, nie godzi się opowiadać sprawy, która delikatnej natury jest.

Weszli razem po trzech schodach w dół, do piwniczki ciemnej i dusznej. Na otwartym płomieniu, którego czerwony refleks złocił mocne, łukowe sklepienie i ławy kamienne, warzyło się jadlo, a smakowity zapach flaków z czosnkiem i majerankiem, oraz pieczonego na rożnach drobiu, pałasotał mile podniebienie wchodzących. W obszernej piwnicy prawie pusto było, jakowys młody panek w oczekiwaniu na zamówione koguty, nad szklanicą miodu drzemał i dwóch kupców w aksamitnych płaszczach, popijając wino, dobijało interesu. Przy ogniu królowała niewiasta tak okazała, że zdawało się, iż jedna z beczek stulitrowych ożyła i toczy się na dwóch nóżkach. Pani Maćkowa to była, sławna na cały Poznań z swej tuszy oraz z przedniego przyprawiania flaków i drobiu z rożna. W czerwonym świetle ogniska promieniała jej twarz, księżycowi w pełni podobna, miłym uśmiechem, a warzecha w jej ręce trzymana była tak dostojnie, jak berło przez królowę jaką. Pan Wąsowicz był tu snadź gościem częstym i mile widzianym, bo uśmiech pani Maćkowej stał się jeszcze promienniejszy, a z za szeregu beczek, spoczywających na legarach, wybiegła mała ruchliwa figurka Maćka Kostyry. Zacierając ręce, biegł do wchodzących gości, usiłując daremnie swoją śmiejącą twarz zmusić do żalosnego grymasu.

— No to ci nieszczęście prawdziwe, w tak

młodym wieku. Tak, to tak, na tym świecie, człek żyje jeno dotąd dopóki nie umrze. Miodkiem usłużyć, kogutem, czy flaków porcja?

W tej chwili spojrzenie pana Maćka padło na urodziwą twarz Jura Bendońskiego i odskoczył w tył przerażony.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— Żyjący konterfekt nieboszczyka, prawda? — z dumą oświadczył pan Wąsowicz. — Właśniem od dwóch dni łaził, głowił się a szukał, aż tu dziś w kościele św. Magdaleny patrzę, i oczom nie wierzę, jakby on wstał z truchły. A to pan Bendoński herbu Nałęcz. Siadajże waść, wraz z nami, pani Maćkowa flaków nałoży na misę, specjalów mówię waści nie flaków. A dla mnie miodu panie Macieju, bom strapiiony srodze, więc duszę pokrzepić trzeba.

Zasiedli na karczemnej ławie, gospodarz wraz dzbany cynowe postawił na stole i misy onych flaków sławetnych oraz chleb pszenny, biały, pulchny, co się wprost o jedzenie prosił.

— Jedzże waszmość, a ja ci odrazu wyłożę moją sprawę, w bawelnę nie owijając.

— Słucham waści.

— Otóż śmierć okrutna, wyrwała w kwiecie wieku i splendoru, bratańca księdza biskupa, Jerzego Opalińskiego, z koła żyjących w wieku waćpanowym i waćpanowej urody. I ja od dwóch dni szukam kogoś do św. pamięci Jerzego podobnego, co by na pogrzebie personę nieboszczyka udawał i należeć nie mogłem.

— Jakto personę nieboszczyka udawał?

— Zwyczaj jest takowy we wielkich rodach, że za truchłą z nieboszczykiem, jedzie na koniu osoba do niego podobna, jako zmarłego żyjący konterfekt i tej ostatniej posługi nikt nie odmawia, boć grzech by to był ciężki. Chodzi jednak i o to, żeby osoba była nie tylko podobna ale i godna, bo przecież byle jakowego obwiesia do takowej funkcji zaszczytnej dopuścić nie sposób. Otóż nieboszczyk czeka, czeka już czwarty dzień, co rano ksiądz biskup pyta — Ma Wąsowicz kogo? — A ja, ze wstydem ręce rozkładam i znowu jak oszalały po Poznaniu latam. Luda się tyle zjechało na święto Łucki jarmark a nikogo, chocia od biedy podobnego. Aż nareszcie waćpan. Jak waść tę przysługę odda nieboszczykowi to sobie waść zaskarbi względny Opalińskiego, może się i miejsce jakoweś znajdzie na dworze jego Eminencji lub pana kasztelana, bo wdzięczni będą waszmości. No jakoż? Zgoda panie Bendoński?

Jur się zawahał, ale możność dostania się na dwór Opalińskich pokusą była wielką, ród ci to był jeden z najpierwszych w Wielkopolsce. Okazję należało chwycić za włosy. Więc i Jur położył dłoń na wyciągniętej ku niemu, potężnej jak łopata, prawicy pana Wąsowicza. Ten się ucieszył wielce.

— Oj szkoda, że waść niepijący, dyć bym reńskiego postawił albo i małmazi. Ślub jakowys?

— Ślub.

— A no to i namawiać trudno, gdy się Panu Bogu coś obieca, to i dotrzymać należy. Pójdzie waść ze mną teraz do księdza biskupa, przedstawię waści. A pojutrze wczesnym

rankiem zgłosi się waść do mnie, do biskupiego pałacu. Zapyta waść o starszego dworzanina Nałęcz Wąsowicza, to zaraz waści do mnie zaprowadzą. Pogrzeb tyż od nas będzie, bo panicz u nas zmarł.

— Nagle?

— E gdzie ta, chorzał i chorzał, po Włochach go wozili, nad morze, diabeł wie nie gdzie. W końcu zachciało mu się do dom wracać, wrócił. No i zimy nie przetrzymał, gasł, aż zgasł. Bardzo go ksiądz biskup miłował, bo chłopiec był urodziwy, pobożny nad pojęcie i żeby był Pan Jezus zdrowie dał, też byłby pewnikiem sukienkę duchowną przywdział i do wysokich dostojęństw w kościele doszedł.

— Kiedyż pogrzeb? — wmieszał się pan Maciek.

— A no pojutrze, od dziewiątej rano się pewnie zacznie.

— Wielga będzie parada?

— Juści pańskie dziecko, pogrzeb jak się patrzy, jak Poznań, Poznaniem, takiego nie było, a na wszystko moja głowa. Niech waść przyjdzie zobaczyć, księży samych będzie ze trzy setki. No, ale komu w drogę, temu czas, akurat księdza biskupa doma najdzie-my, bo już po Mszy świętej, to na śniadanie wrócił.

Szli dość szybko, w stronę biskupiego pałacu, mieszczącego się w części zamku królewskiego. Imci pan Wąsowicz człek wygadany i obyty w świecie, opowiadał Jurowi barwnie o wszystkich osobliwościach miasta, zwracał uwagę na ważniejsze budowle. Znaleźli się wreszcie przed pałacem, czarne cho-

ragwie powiewały nad bramą na znak żałoby, a w jej szeroko otwartych wierzejach stali dwaj czarno ubrani dworzanie, olbrzymiego wzrostu o marsowo pięknych twarzach.

— Chcesz waś nieboszczyka obaczyć?

Jur skinął głową, ciekawy bowiem był, jak wygląda ten, którego mu pojutrze udawać przyjdzie. Pan Wąsowicz wszedł cicho, na palcach, do obszernej, kirem wybitej komnaty. Uderzył Jura blask świec, woń kwiatów i śpiew księży, modlących się po dwóch stronach truchły.

A truchła metalowa, gwoździami złotymi nabijana, tonęła w powodzi jodłowych gałązek i ciętych cieplarnianych kwiatów. Jur spojrział i zobaczył twarz do swojej tak bardzo podobną, iż wstecz się cofnął przerażony, jeno, że ta twarz biała była, jak gdyby w marmurze kowana, wychudła i sinymi były usta lekko rozchylone.

— Żem się też namówić dał — pomyślał z nagłym żalem Jur.

— Toć to jakbym ja sam, jeno schorowany wielce, na marach leżał. — I on, co bez trwogi niedźwiedzia podchodził, na wilki szedł, odczuł raz pierwszy dreszcz lęku.

Wpatrzył się w twarz nieboszczyka i spojrzenia od niej oderwać nie mógł, przykuwała go wyrazem znużenia i wielkiego spokoju. Zauważył nad łukiem ciemno zarysowanych brwi sinawo czerwoną plamę i takąż koło ucha.

— Już mu i do ziemi czas, przecz jeszcze czekają. I przypomniały mu się pogrzeby w Bendoniu, proste truchły na wozie, a za nim najbliżsi jeno. A tu parada taka, komu to potrzebne i na co? Nie mógł zrozumieć.

Imci pan Wąsowicz pociągnął Jura za rękę i przeszli do prywatnych komnat. Został go Wąsowicz w pokoju ze słonecznym na ogród cały w śniegu widokiem. Wpadało słońce przez okno szerokie i kładło się jasną plamą na kobierceach zaścietających podłogę, rozpalając, ożywiając barwy.

Na środku izby stał stół dębowy i młody kleryk, pochylony nad atlasem białym, misternie malował farbami litery łacińskie. Gdy Wąsowicz wszedł, oderwał na chwilę oczy od roboty, na pozdrowienie, pozdrowieniem odpowiedział i znowu jeno pracą był zajęty, jak gdyby Jura w komnacie nie było.

— Poczekasz tu waść chwilę.

Imci pan Wąsowicz zastukał i na palcach do sąsiedniej izbicy się wsunął. Jur stał w pośrodku pokoju i rozglądał się ciekawie. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały drewniane, pełne ksiąg bogato oprawnych, świecących złoceniami grzbietów, leżały zwoje pergaminowe, z lakowymi pieczęciami zwisającymi na sznurach jedwabnych. Życia by nie stało na czytanie, myślał Jur. Z kolei dojrzał pod oknem klęcznik, szkarłatnym pluszem obity a nad nim wizerunek Chrystusa na krzyżu, w kości rzeźbiony, zwisała na piersi martwa głowa o przepięknym wyrazie ziemskiego spokoju.

— I to też ręka ludzka dokonała — myślał Jur i zbożny zachwyt przepełnił mu wrażliwą na piękno duszę.

Kleryk malował. Jur patrzył z ciekawością, jak smukłe palce ostrożnie pędzlem wodzily a powstawały, pod nim arabskie, wielce misterne litery. Na górze owego brytu

atłasowego, znajdowały się wymalowane barwne herby Opalińskich.

— Daruje frater, do czego służyć będzie, to cudne malowanie? — Nie mógł wstrzymać ciekawości Jur.

Po młodzieńczej twarzy braciszka przesunął się uśmiech.

Konkluzja ci to jest żałobna, sławiąc ród i opiewająca dzieje zmarłego, krótka tym razem, boć i żywot skąpo Pan Jezus odmierzył. Zawiesza się ona konkluzję w kościele, na wieczną rzecz pamiątkę.

— A jak frater umrze, to też mu takową konkluzję wypiszą?

— Mnie? Sługą w Chrystusie jestem, jednym z tych co jeno im łopata konkluzję pisze. A wie waść w gruncie rzeczy, to się kiedyś i ten atlas w proch rozpadnie, i ja co na nim owe litery maluję i pamięć tego którego utrzymać pragną, wszystko jeno proch.

— Duch ludzki żywie.

— Tak, ale ten o konkluzję, co mu ją tu wypiszemy nie dba, jeno o niebieską.

Nie dokończył, bo z sąsiedniej komnaty drzwi się uchyliły i palec inaci pana Wąsowicza na Jura kiwnął.

— Księdza biskupa w rękę trzeba pocałować, eminencją nazywać i odpowiadać jeno gdy zapyta — szepnął mu na pożegnanie frater.

Ksiądz Biskup, Andrzej z Bnina Opaliński, był to jeszcze mężczyzna w pełni sił, rośli, wysoki, nosił na potężnym karku dumną głowę patrycjusza. Szare, chłodne w wyrazie, oczy spoglądały z za lekko przymrużonych powiek, w twarz Jura uważnie, przeświadczało. Jur podaną rękę ucałował, była

to ręka smukła, biała, starannie pielęgnowana, wrażliwa w dotknięciu, jak aksamit miękka.

— A co, przesadziłem, eminencjo?

— Nie, podobieństwo zaprawdę, uderzające.

— Z uczciwej rodziny Bendońskich z Bendonii, Nałęczem się także pieczętują.

Lekceważący półuśmiech, podniósł kąciaki silnie zarysowanych ust księdza Biskupa, na to kuzynostwo.

— Mówił mi Wąsowicz, że się waść podejmie, zmarłego przedwcześnie, a nam wielce miłego bratanka. na pogrzebie reprezentować, czymże się waści za oną przysługę, wywdziękzyć można?

Jur się zarumienił, Andrzej z Bnina pomyślał z żalem, czemu te rumieńce zdrowe, młodzieńcze, na tamtej nie rozkwitły twarzy, nużyło go, bolało to podobieństwo.

— Wasza eminencjo, przyjechałem do Poznania służby jakowej na pańskim dworze szukać.

— Acha...

Ksiądz biskup wygolony podbródek dłonią potarł, szare oczy zatrzymały się na Jurze długo, uważnie.

— Zobaczmy. Waść piśmienny? Łacinę zna?

— Piśmienny jestem, aleć łacina, jest dla mnie... łacina.

— Uczyl się waść gdzie?

— U pana ojca doma i u stryja, co szkół nieco liznął, za młodych lat.

— Co waść doma robił?

— W gospodarce ojcu pomagał, polował.

— Waść strzela dobrze?

— Nie chwalący się, światło u świecy zagaszę i muchę latającą u pułapu trafię.

— Zobaczmy, narazie wielce waści obligowany jestem za jego chęć współludziału w pogrzebie. Gdzie waść stanął?

— U jegomość pana Helta.

W chłodnych oczach błysnęło zdziwienie:

— U Helta?

— Widzi eminencja to i świadectwo najlepsze, jegomość pan Helt by byle hołysza nie gościł — wtracił Wąsowicz.

— Prawdać jest! A skąd waść zna pana Helta?

— Wyświadczyłem mu pewną przysługę w podróży, potem jechaliśmy razem i pan Helt gościł mi ofiarował, póki czego nie znajdę odpowiedniego.

— No, więc zobaczmy się jutro, nie, jutro będę tym wszystkim zbyt zmaltretowany. drugiego dnia po pogrzebie zgłosi się waść do Wąsowicza a on go do mnie wprowadzi. Z Bogiem.

Jur rękę opartą o rzeźbioną poręcz fotelu ucałował.

Ksiądz biskup patrzył za nim chwilę a potem głowę pochylił. Może mu co znajdzie... może. Gdzieś w dobrach, bo tu bym jego widoku nie zniósł, za bardzo tamtego miłowalem.

ROZDZIAŁ VIII.

Jako Jur Bendoński nieboszczyka udawał.

Wczesnym już rankiem w dniu pogrzebu, zgłosił się Jur u imci pana Wąsowicza. Cekał tam już na niego balwierz sławetny Marcin Korytko, obywatel miasta Poznania i posiadiciel domku na Grobli. W mig mu zarzucił płótno białe na ramiona, na krześle usadowił i z zawodową wprawą golić zaczął, potem jakowąś szminkę rozrobił i natarł Jurowi twarz, piekło to nieprzyjemnie, jeszcze pędzelkiem cienie pod oczami głębił, jakoweś kreski porobił, chwilami odstępował o krok, oczy mrużył, patrzył na swoje dzieło i w rezultacie, snadź ze swojej pracy mocno zadowolony, gwizdał wesoło jak szpak.

— Gotowy — oświadczył wreszcie i ręce zatarł — jakby waść cztery dni w truchle leżał, jakim Korytko.

Potem z pomocą, milczącego jakoś dzisiaj, pana Wąsowicza, przybrał się Jur w wspniany strój z czarnego aksamitu i płaszcz takiż, cały sobolami podbity, lekko na ramionach na srebrne guzy spięty.

— Spójrz waść toć to jakby sam nieboszczyk nasz z truchły wstał.

Jur w zwierciadło spojrzał, przypomniawszy mu się własne odbicie w Woli widziane, peł-

ne siły, zdrowia, urody, to co teraz patrzyło ku niemu ze zwierciadła była to śmiertelna zjawa, od której dreszcz lęku przesunął mu się od kręgosłupa ku biodrom i wewnętrznym przejął dygotem. Błada maska, upiorna twarz umrzyka, wyłaniała się ku niemu z zwierciadła, do zmarłego panięcia, tak przerażająco podobna, iż Jur bezwiednie prawie, cofnął się o krok.

On to? Czy ja?

Jeno, że tamten miał oczy zamknięte, a tu płonęły w pociemnionych oczodołach, młode, czarne, życia spragnione, przerażeniem rozszerzone źrenice. To życie śmierć zobaczyło w zwierciadle.

I przypomniawszy się Jurowi, jako pan Helt, głową wstrząsnął niechętnie, gdy mu Jur opowiedział o swojej nowej przygodzie, a w cudnych oczach Baški odbiło się przerażenie.

— Jezusie i nie boi się waść?

— Czego?

— Żeby waści za sobą nie pociągnął?

— Koniec zawdy przyjsć musi — odrzucił.

Aleć coraz bardziej żałował, że się namówić dał, nie uspokoiło go nawet śpiewanie Ofki, a gdy noc nadeszła, on, co zazwyczaj zasypiał zaraz, gdy głowę na czymś położył, zasnąć nie mógł. Prawda, że nawykły był do łoża twardego, do poduszki z siana i przykrycia ze skór, a tu, w tych niemieckich pierzynach, co się na łóżku piętrzyły, białe jako śnieg i jako on miękkie i pierwszego dnia zasnąć nie mógł. Za miękką mu było, za ciepło. Hej! niema jak latem w borze, na macierzankach kwitnących jak się to spi! Zagraj pod łóżko się wtrynił i zadowolony z

ciepłego kąta, rozwalony wygodnie, chrapał, jęczał, stękał, nikiel jaka dusza pokutująca.

Pierwszy raz w życiu Jur długo zasnąć nie mógł i dziwił się niezmiernie, że w nocy tak się godziny strasznie powoli wloką, tak powoli, żeby jednej na pół dnia starczyło. Chwilami miał ochotę pierzyny opuścić i położyć się obok smacznie śpiącego Zagraja, ale żał mu trochę było tych betów, miło się w nich leżało, nie ma co.

Ale niesamowite jęki Zagraja i własne niezbyt wesołe myśli, tak go w końcu wyrzuciły z równowagi, że zmacał but i z całej siły śmignął go pod łóżko. Aleć Zagrajowi ten niespodziewany cios wyrwał jeno zgłuszone wycie, wycie przez sen, które rozlegając się w ciszy nocnej, przypomniawszy Jurowi karczmę, rozbójników, trupy. Zaczął więc zdrowaśki odmawiać za dusze zmarłych i wreszcie nie usłyszał już otrąbywanej przez stróżów nocnych godziny, spał i wtórował Zagrajowi chrapaniem.

A teraz patrzyła ku niemu ze zwierciadła, śmiertelna maska własnej twarzy i budziła w wspomnieniu echo Basinego głosu:

— Żeby waści za sobą nie pociągnął.

Ech przecież mu nic złego nie robię, jeno przysługę, za cóżby mnie on miał krzywdę czynić?

— Waść pojedzie zaraz za truchłą na nieboszczykowski koniu — przywrócił go do rzeczywistości, głos imci pana Wąsowicza. — O spójrz waść właśnie go przyprowadza stajenny. Drogi to koń, arab czystej krwi, sprowadził go dla syna pan kasztelan aże z Egiptu.

Jur oderwał oczy od zwierciadła i ku oknu poszedł, uśmiech mimowolny na ustach zadrał i zaploneły oczy, bo stajenny wiódł konia złoto-gniadego, cudnej maści arabezyka. Pod cienką jak jedwab skórą widać było jakoby grały mięśnie, bogata złocista grzywa, w pukle misterne trefiona opadała, aż ku ziemi dotykał wspaniale utrzymany ogon. Chłopcy stajenni przybierali konia w żałobny strój, w kapę czarną oszytą lamą srebrną i w uprząż z kitą czarnych piór nad czołem.

— O psia para! — zafrasował się pan Wąsowicz — żem też waści nie prosił, by wczoraj konia spróbował, dzika bestia i jeden panicz na niej jeździł. Niechże waść teraz chociaż spróbuje, jeno na Boga ostrożnie, by wypadku jakiego nie było.

— Każdy koń da się opanować, jeno trzeba go umieć podejść, by pana nad sobą poczuł,

— A no próbuj waść.

Jur nie dał sobie polecenia dwa razy powtarzać, za chwilę już na podwórzu stał. Koń poczuwszy znać szaty pana, zarżał radośnie i pysk ku niemu wyciągnął, jakby czekając pieszczoty, ale gdy Jur lekko dłonią po wyciągniętym karku płaśnął, koń poznał obcego, nagłym rzutem głowę cofnął i chrapać zaczął złowrogo.

— Poznał, że to nie panicz.

— Zwierz a człowieka zna i oszukać się nie da.

— Ostrożnie!

Jur już w siodle siedział. Koń się wspiął, zdało się, że się lada chwila na grzbiet obali i jeźdźca sobą przygniecie, ale kolana, jak żelazne kleszcze, ścisnęły mu boki, a silna ręka usiłowała zmusić do posłuszeństwa.

— Tyż łeb od parady na karku noszę! — złościł się pan Wąsowicz. — Trza było waści wczora konia zaprezentować a nie teraz dopiero. Zleci, Jezus Maryja!... Zleci... Trzymajże się waść, przez Bóg miły, bo jak w śnieg plaśniesz, to delije możesz zniszczyć i kark łacno skrócić.

Jur nie słyszał, całym wysiłkiem woli i mięśni usiłował zwyciężyć konia, a koń czynił wszystko, by pozbyć się nieznanego jeźdźca. W jakimś szalonym wykrętnym galopie oblecieli podwórze, lada chwila zdało się, że śmiały jeździec o bruk czaszkę roztrzaska albo się o występy murów rozbije wraz z koniem. Patrzącym dech w piersiach zaparło, wykrzykniki, urywane uwagi, krzyżowały się w przestrzeni.

— Zleci!

— Utrzymaj się! O Jezu!

Ale wreszcie koń zaczynał słuchać woli jeźdźcy, spocony: drżący całym ciałem, dygocący każdym fibrem, szedł coraz równiej, coraz wolniej, coraz spokojniej. Przekrzywiły się pióra, od pyska spadała krwawa piana w płatach na śnieg, ale poddał już swoją wolę: woli tymczasowego pana, nie próbował już oporu, ni buntu, nie miał na niego sił.

Ale i Jur się zmęczył i w nim drżał każdy nerw i on pokryty był potem. Zatrzymał konia i pragnął pot z przyzwyczajenia otrzeć rękawem, gdy posłyszał dwa przerażone wykrzykniki.

— Delija!

— Uważaj waść przez Chrystusa Pana, bo cały mój malunek zetrzesz z kretesem. I tak na czole trochę popuściło.

Zaśmiał się Jur, tak zabawną była, trwoż-

nego o swoje malowidło, mina mistrza Marcina. Rzucili się stłudzy, by koniowi strój żałobny poprawić, bo pęk piór przekrzywił się zupełnie.

Czas już i był.

Z głębi biskupiego pałacu, dochodził śpiew księży, czyjś płacz przejmujący, to pewnie matka płakała zamykano truchłę. Na drodze ustawił się już kondukt żałobny, dzień był chmurny, mglisty, tą rudą czerwoną mgłą, co wszystkie dymy ku ziemi tłoczy i w powietrzu się wlecząc smutkiem, tęsknicą i dusze ludzkie mota wbrew woli.

Nigdy jeszcze Jur nie widział takiej masy księży i ludu. Ku czci biskupiego bratanka wystąpiły wszystkie zakony miejscowe i cała kapituła poznańska i gnieźnieńska. Jur, ze swojego konia, który zajął w pochodzie miejsce tuż za wozem żałobnym, zaprzężonym w ośm koni rasy neapolitańskiej, widział cały ten szereg nieskończenie długi, połyskujący światłami gromnic, tonący gdzieś w mgłę starych murów, jak pochód duchów niewyraźnie znaczących się tylko. Za Jurem jechał rycerz w zbroiocy cały, z kopią pochyloną na znak żałoby, z zapuszczoną na twarz przyłbicą a dalej szło sześć dziewczeczek szlacheckich w bieli, niosąc mirtowy bukiet na poduszce, jako, że ten, który zmarł, śmierć miał jeno za oblubienicę jedyną. A potem rodzina, dworzanie wszyscy w żałobie i nieprzeliczone mrowie ludu. Cały Poznań wyległ na drogi, bo leży już w naturze ludzkiej, że lubi patrzeć na wszelkiego rodzaju widowiska.

Ksiądz biskup Andrzej z Bnina Opaliński prowadził kondukt, spojrzenie jego z truchły

padło na twarz Jura i cofnęło się przerażone. Uderzyły dzwony, zerwała się ich melodia nagle i wstrząsnęła powietrzem, jak żalność potężna, dogłębna, wstrząsająca, lecąca do stóp Boga skargą człowieka, iż śmierć stworzył.

Jur jechał jak we śnie, koń gdy wyniesiono truchłą zarżał żałośliwie a teraz szedł posłusznie, krok za krokiem. Płynął śpiew księży, łkały dzwony, to znowu litanie ludu. Kołysała się trumna na wozie przybranym festonami zieleni, kiru i srebrnej lamy a Jur pod powiekami miał wid własnej twarzy, tej maski bladej śmiertelnie, temu tam, w truchle, tak bliźniaczo podobnej.

Godziny trwał ten pochód czy wieki, Jur nie zdawał sobie sprawy, zatracił poczucie czasu, jak zwolna zaczął zatracać, poczucie własnej osobowości.

Ja to, czy czy on spoczywa w onej truchle? Jemu, czy mnie śpiewają księża, grają dzwony?

Dla mnie, czy dla niego życie się kończy?

Zadudniło pod kopytami konia, to wniesiono już truchłą do kościoła świętej Magdaleny i ustawiono ją w pośrodku, wśród niezliczonej ilości gorejących świec, na wspałym castrum doloris, a posadzka kościoła dźwięczała głucho pod kopytami Jurowego konia i oto pan Wąsowicz, wziął konia za uzdę i ustawił go po prawicy zwłok, po lewicy zajął zaś miejsce, on rycerz z zamkniętą przyłbicą. *)

*) Taki był zwyczaj w wieku XV — XVI w Polsce przy pogrzebach królewskich, a następnie i możniejszego rycerstwa. Dziś jest nie do pomyślenia to wjeżdżanie konno do kościoła, ale w dawnych wiekach było tolerowane.

Dwoje chłopiat w czerni, pochwyciło konia przy uzdzie. Ropoczał się obrzęd żałobny; dym kadzidel, śpiew księży wypełnił rozgorzałą światłami nawę, ciasno było i duszno.

Jur trwał nieruchomo na koniu, który jakgdyby przeczuwając, że panu swemu ostatnią oddaje posługę, stał z pochyłoną ku truchle głową i jedno od czasu do czasu rozdymał nozdrza, jakgdyby wietrząc, a po jego jedwabistej skórze przebiegały dreszcze i grały pod nią mięśnie.

Spojrzenie Jura błdziło po gotyckim sklepieniu nawy i wracało zawsze do owej truchły pokrytej kirem i do srebrzystej postaci rycerza po drugiej stronie.

Godzina wlokła się za godziną, bolały plecy od tej pozycji nieruchomej, znużenie jakieś przemożne zaczęło ogarniać ciało, spijać myśl, ssać przytomność.

I nagle zdawało się Jurowi, że gdyby on rycerz po drugiej stronie odchylił przyłbicę, to wyjrzałaby ku niemu maska własnej twarzy, oczyma, które nie widzą.

Umilkł śpiew, ucichły organy.

Nieruchomy dotąd rycerz wzniósł kopię, złamał przy drzewcu i rzucił do stóp katafalku, obalając się równocześnie wraz z koniem z takim strasznym chrzęstem zbroicy, iż zdało się, że piorun uderzył. **)

Tego już nie zniosły naprężone od tylu godzin nerwy Jura i on zsunął się nagle ze swojego rumaka, na szczęście w ramiona pana Wąsowicza, który stojąc tuż, podskoczył

**) Ten upadek z konia przy trumnie zmarłego rycerza należał do ceremoniału pogrzebowego dawnych wieków.

mu na ratunek, gdy dojrzał, że się słania w kulbace. Koń przerażony upadkiem jeźdźca uskoczył w bok i byłby może nie mało w tłoku uczynił spustoszenia, gdyby nie owe pacholeta, co mu zwisły u uizziennicy, hamując.

Z trudem pan Wąsowicz torował sobie drogę w tłumie, Jur był ciężki a pan Wąsowicz, człek już leciwy, aleć mu wnet skoczono na pomoc i wyniesiono Bendońskiego przed kościół.

Ktoś mu rozerwał żupan, ktoś drugi skrobie i pierś śniegiem tarł. Jur otworzył oczy, bo zdawało mu się, że go jakaś dłoń lodowatą za pierś chwyta, po serce sięga, dech dławi.

Jezus Maryja!

Zamknął powieki w lęku, boć waliły się wieże św. Magdaleny, a cały Poznań dygotał w obłądnym tanie.

ROZDZIAŁ IX.

Majaki i rzeczywistość.

Głowił się pan Wąsowicz, gdzie zemdłego przenieść. Księdzu biskupowi chorego pakować, kłopot by był, do braci szpitalnych chyba odstawić, aleć nim decyzję powziął, przecisnął się przez tłum Herman Helt i spokojnie oznajmił:

— Mój gość i do mnie należy zająć się nim.

Ucieszył się pan Wąsowicz szczerze:

— Zemgliło go pewnie, bo zaduch i gorąca nienawykły, tak nieruchomo trwać. Wyleży się, prześni to i odwietrzeje.

— Ludzie się gapią jak na widowisko, pomóż mi waść zabrać go stąd.

— Zaraz jeno się uroczystość skończy, przyślę księdza doktora Godziembę. Hej moi panowie, pomóżcie który przenieść pana brata, do jegomość pana Heltowego domu.

Ofiarowało się kilku mieszczan i zdjawszy z Jura sobolową delię, położyli go na niej, pan Wąsowicz szedł obok, nie tyle z troskliwości ile, by się ona delia kosztowna, kany nie zgubiła.

Chorym zajęła się Strutzlowa i Ofka, Baśka ujrzawszy oną twarz śmiertelnie bladą, krzyknęła i uciekła. Strutzlowa z Ofką uścieliły łóżko, rozebrały chorego, napoiły winem gorącym z korzeniami, by zamróz z niego wyszedł, omyły twarz ze szminki. Jur dygotał w febrze, odzyskiwał przytomność, by tracić ją znowu, wrażenia ostatnich dni przelewały się w pamięci, motały chaotycznie. Pani Agata do swoich zajęć poszła, w izdebce chorego została jeno Ofka i Zagraj. Ciemna dziewczynka zmieniała okłady z lodu. Zagraj skulony u nóg jej leżał i skomlał cicho. Nad wieczorem, z polecenia księdza biskupa, zjawił się ksiądz kanonik Godziemba, co medycynę we Włoszech studiował i wiedzą swoją słynął daleko. Staruszek był to siwiuteńki, ciężarem wieku pochylony o błękitnych, rozradowanych oczach dziecka, co wszystkiemu się cieszą, do wszystkiego śmieją. Zapalenie płuc skonstatował, pijawki przystawił, wino z korzeniami dawać kazał i słoninę topioną z mlekiem. Ofkę po twarzyczce pobladłej poglaskał.

— Nie sumuj się waćpanna, ozdrowieje. A cóż twoje oczęta biedne?

— Jakie i były ojciec wielebny.

— Ni dźbła światła?

— Ni dźbła...

Staruszek się zamyślił;

— W rękach Boskich wszystko, może i ty jeszcze ozdrowiejesz dziecino miła, jeno wiarę trzeba silną mieć i Panu Jezusowi ze wszystkim zaufać, jako ojcu najlepszemu.

— Jać ufam.

— Wiem, słyszę zawdy, jako u Marii Magdaleny, jako ten słowik wyśpiewujesz, aż się

serce w człowieku raduje i płacze wraz z tobą. Wielki ci pan Jezus dar dał a ty go, jako się patrzy, ku chwale Bożej używasz.

Raz jeszcze nad chorym się pochylił, w jego twarz urodną, od gorączki rozpaloną i w oczy błyszczące zaglądał.

— Jakoż mu na imię?

— Jur.

— Juraś, jako się mamy, co?

Chory się uśmiechnął:

— Dobrze, muzyka kanyś gra, aż się dusza raduje, na piec wyleźli i grają, a ja se pod jabłonią do słoneczka ligam i dobrze mi. Słoneczko grzeje.

— Obróć no się do ściany kochanie i śpij teraz, boć się pod jabłonią dobrze śpi.

Błysk świadomości rozświetlił rozgorzałe oczy:

— A wyście kto?

— Nie poznajesz?

— Nie, obcyście mi.

— Ksiądz jestem, medykus, słuchać mnie trzeba i tej dziewczuszki dobrej, co tu przy tobie czuwa.

— Acha. A gdzie jest tamta? Tamta, królowna?

— Królowne, widzisz, zaglądają do chorych ino od wielkiej parady. Jakoś też twojej królownie?

— Zośka, czy Baśka.

— Podwoiło ci się jakoś. Śpij.

Ksiądz Godziemba wyszedł, obiecawszy zajrzeć do dnia. Ofka na noc przy chorym została, miała przyjąć pani Agata od północy, aleć się jej tak spało, że można ją było z betami na mróz wynieść, a byłaby spała dalej.

EX LIBRIS
WSZOLEK JOZEF
OLPINY

Ofka czuwała, podawała choremu mleko i nagle odczuła, jak jego rozpalona dłoń chwyciła jej rękę i przytrzymała. Nie cofnęła jej, ogarnęła ją rozkoszna słodycz nieznanego uczucia, co radosne jest aż do bólu.

A Jur rękę do ust przytulił, zdało mu się bowiem, że to Zośka z Choin chyli ku niemu swoją twarzyczkę roześmianą i pytał:

— I dobrze ci?

— Dobrze.

Spłynęło szeptem z ust Ofki, a z pod powiek potoczyły się łzy.

— Ostaniesz się przy mnie, prawda?

Ofka milczała, wszak ci to była innej należna, kradziona pieśczęta, jej nikt tak w życiu nie zapyta, nikt.

Jurowi tymczasem rumiana twarzyczka Zośki rozwijała się w gorączkowym marzeniu i dojrzał Baśkę w kanaku z pereł i jej oczy dumno rozradowane, pytające.

— Zośka ty, czy Baśka, czy kto?

— Ofka.

Rzuciła szorstko, by przerwać czar.

Znać nie pamiętał, bo ręką machnął zniercierpliwiony, ale jej ręki nie puścił, do czoła ją sobie przytulił i usnął.

A Ofka nadśłuchiwała jego niespokojnego oddechu, a gdy się jej zdało, że spokojnie śpi, ostrożnie cofnęła rękę.

I nagle ogarnęło ją pragnienie, by go zobaczyć dotknąć jego oczu, ust, dotknąć i spamiętać ich kształt. Pochyliła się nad łóżkiem i drobne jej ręce spoczęły na jego twarzy, przesunęły się po włosach, czole, zapamiętały linię brwi, jedwab rzęs, dotknęły ust gorączką spalonych, ogarnęły owal.

Tak, teraz nie był to już dla niej czło-

wiek obcy, mogła w marzeniu wyobrazić sobie już tę twarz, odczuła ją i zapamiętała. I zapamiętała dotknięcie tych ust gorących na swojej dłoni, i ten spazm szczęścia, co serce chwycił.

Rankiem, za ledwo się drzwi zamknęły za księdzem kanonikiem Godziemką, który stosownie do obietnicy zajrzał do dnia i uspokoił pana Helta, że narazie niebezpieczeństwa nie ma, serce zdrowe, organizm silny, to i przetrzyma, wtoczyła się do izby pani Strutziowa a za nią drobna, zwiędła starowinka o kiju. Z pod chusty głęboko na twarz nasuniętej widać było ostro zarysowany nos, linię bezzębnych, zapadniętych warg i oczy przejmujące w wyrazie bystre, uważne.

Chłopak był przytomniejszy, więc się na widok tych dwóch starych niewiast zachnął zniercierpliwiony, tak mu się dobrze leżało po odejściu księdza, w hoku mniej kłuło, rzeźwiej było i pogodniej, nie zwiadywała mu się zjawia własnej, śmiertelnie ladej twarzy, co ku niemu wyjrzała ze zwierciadła i nie przesładowała go swoją obecnością gdzie jeno spojrział, zdawało mu się, że patrzy w ową twarz drugą, zielonawą, martwą, straszną.

Mnie, czy jego pochowali?

Nie mógł znaleźć odpowiedzi, na to pytanie, aleć nad ranem majaki się rozwinęły i widział jeno twarzyczkę Ofki odchyloną w tył, od snu, który ją zmógł wreszcie, zarumienioną. Czuwała przy mnie całą noc, jak ona dobra, pomyślał przytomnie. I teraz myślał, iż to ona wchodzi, a dojrzał jakowąś wiedźmę starą, co mu w twarz patrzyła z uwagą dziwną.

Starucha o kiju, chudą rękę położyła mu na czole i w oczy zajrzała głęboko:

— Nie ci nie będzie sokołiku, mój trójzielem cię okadzę, chorobę zamówię, do tygodnia zdrów będziesz, jak ryba. Medykus był?

— Był — usiłowała swój potężny głos zniżyć do szeptu Strutziłowa.

— Ksiądz biskup posłał księdza kanonika Godziembę, wczora był i dziś mówił, że zapalenie, pijawki przedstawił, aleć wy czynicie swoje matko Katarzyno, wy ta wiedząca a siła wasza nie od złego, jeno od dobrego.

— Juści, juści...

Zbliżyła się do komina, na bukowe drwa rzuciła, mruczając coś niezrozumiale, garść ziela, raz, drugi, trzeci, wonny dym napelnił izbę i przyprowadził Jura o atak kaszlu.

W mgłę dymu zdawała się starucha wyższą, chustka jej z ramion opadła i widział Jur jej warkocz biały, długą kosą na plecy owisły. Szła ku niemu w smugach dymu, patrząc w oczy, a było w tych źrenicach coś, co przykuwało i Jur, mimo chęci odwrócić się nie mógł.

Pochyliła się nad nim:

— Gdzie was boli?

— W lewym boku, wydychnąć nie da.

— Zamówię wam a ustanie, mnie wszelka choroba słucha.

Zachnął się.

— Nie chce!

— Nie bój się, krzywdy ci nie zrobię, sokołiku.

— Ja się bać? tyż!

— No, no spokojnym bądź jeno.

Rozgorzałe gorączką oczy Jura szukały

Ofki, odeszła, potrzebowała spoczynku, coś mu mówiło, że gdyby tu była, nie pozwoliłaby go męczyć, dym go drażnił, dusił atak kaszlu, a te dwie stare niewiasty, wciąż jeno dorzucały ziela na ogień. Najlepiej byłoby z łóżka się porwać i obie za drzwi wyrzucić, czuł jednak, że nie zdoła, a spojrzenie szarych oczu znachorki świdrowało mu w mózgu do bólu, odbierało siłę, pętało wolę.

Monotonny, znużony głos snuł się ponad nim:

— Różyczku, gościczku, czyś ty do słońca czy od powietrza, od wilgoci czy od złego oka, w imię Chrystusa Pana, w imię Matki Jego dziewicy Maryi, w imię wszystkich świętych, rozkazuję tobie idź na pustynię. Zczeźnij jako ta rosa o poranku, rozsyp się jako ta mgła o świtanu.

Zdrowaś Maryja łaskiś pełna, Pan z Tobą.

Jur nagłym wybuchem woli na łóżku usiadł i rękę, co mu się na piersi oparła, odtrącił.

— Gusłów waszych i czarów nie potrzebuję. Nie chcę, słyszycie. Czary to, nie więcej!

— Zły bez ciebie mówi, co się świętego imienia lęka, czekaj jeno do trzech razy zamówię, to i ustanie.

— Różyczku, gościczku...

— Psem was wypędzę, jako mi Bóg miły, na siwe włosy wasze niezważając. Zagraj!

Pies wypełznął z pod łóżka, gdzie się schował, warcząc nieprzyjaźnie za wejściem dwóch kobiet, teraz zaś zawołany przez pannę, wysunął swój groźny łeb, szczerząc ostre zęby z za warg podniesionych. Sierść mu się zjeżyła na grzbiecie, aleć szedł ku znachorce warcząc wrogo.

— Odwołaj waść psa.
 — Idźcie, to odwołam.
 — Jezusie, opamiętaj się waść, dyć to dla waścinego dobra — lamentowała Strutziowa.
 — Jużem się opamiętał, dym mnie dusi, bodaj was! Zagraj!

— Bierz!
 Pisk, wrzask, obie niewiasty zemknęły, jeno znachorka zostawiła kawałek chustki w zębach Zagraja.

Jur się śmiał rozbawiony, aleć go wnet porwał atak febry i kaszlu.

— Skąd tu tyle dymu?

Przywrócił mu świadomość znowu mierzchnąca, zdziwiony głos Ofki. Wróciła niosąc mu mleko.

— Z babskiej głupoty — mruknął Jur dusząc się kaszlem: — Jejmość pani Strutziowa przeprowadziła znachorkę jakąś, a ja je obie Zagrajem przepędziłem.

Zaśmiała się Ofka.

— Okno trza otworzyć, bo waści ten dym zadusi, ale niech waść wprzód i głowę pod pierzynę schowa, boć mroźno. A to waść z kretesem przypadnie w łaskach pani Agaty, taki jej despekt zrobić.

— A niech ta, zresztą, to wszystkiemu waćpanna winna.

— Ja?

— A któż? Nie trza mnie było ostawić samego.

— Wypij waść mleko.

— Dyć kazała mi panna z głową pod pierzynę się schować, jakoż pod pierzyną mleko pić?

— No to niech waść zaczeka aż zamkne ale i gadać nie wolno.

— Strasznie waćpanna sroga. Jak ksiądz kanonik powiedział, przetrzymam?

— Powiedział, że wszystko dobrze.

— I to tyż dobrze, że mnie kaszel dusi i febra trzęsie a przez okno zagłada znowu ta twarz, moja twarz, jeno zielona, straszna trupia. On to, czy ja? Czego on tu chce, po mnie idzie, czy co? Zamknij waćpanna okno.

— Już, leż spokojnie.

— Nie mogę, zima trzęsie, oczy pieką.

— Wina z korzeniami przyniosę.

— Nie odchodź, rękę mi daj, tak mi jakoś lepiej.

Przytulił czoło do jej dłoni, czuła jak w nim tętna szalały, czuła, jak dygotał cały w ataku zimnicy i ogrom niepokoju wkładał się w jej serce.

Sama nie wiedziała, skąd przyszła jej na myśl piosenka, którą matki usypiały dzieci i zaczęła ją śpiewać cicho, monotennie, kładąc w nią całą słodycz swego cudownie pięknego głosu:

Spij kochanie już,
 czarne oczka zmrzu,
 Niech cię chroni,
 Niech cię broni,
 Twój aniołek stróż!
 Niech cię chroni,
 Niech cię broni,
 Twój aniołek stróż!

A Jura ten głos miękki, melodyjny kołysał, uspokajał, kładł się na wzburzonych nerwach, jak ręka matki dalekiej, pieszczotą. Ustąpił lek, rozwiała się groza, przez zamknięte szyby okienne nie wglądała już ohydna maska, jeno jasne świeciło słońce i kład-

to się snopem promieni na głowie dziewczynki.

— Waćpanna go nie wpuścisz.

— Nie.

— Śpiewaj jeszcze, zda mi się, że w bo-
rze a wiatr, wiosenny wiatr, w gałęziach po-
szum czyni i życie niesie.

— I znowu słodki głos dziewczynki dźwię-
czał piosenką u kołyszek śpiewaną i koił.

Minęło kilka dni. Jur przytomność tracił
coraz częściej. ksiądz kanonik leki dawał, aleć
coś smutniały jego zawdy rozradowane oczy,
złe było, mogło być jeszcze gorzej, nie był
pewny swojego chorego. Pan Helt, zasmu-
cony, zaglądał kilka razy dziennie do izdeb-
ki swego młodego gościa, aleć święto Łucki
targ wrzał w całej pełni i o czasu chwilę by-
ło trudno. Wpadała czasem Baśka, pochyła-
ła się nad chorym, z dreszczem grozy słu-
chała jego majaków i uciekała spiesźnie, zo-
stawiając po sobie woń róż. A Jurowi się
wtedy śniło, że to w ogródku matki róże
kwitną.

Pani Strutziowa z Ofką zmieniały się w
dozorowaniu chorego, jeno że pierwszą Za-
graj warczeniem witał a drugą radosnym
skowytem.

— Dziś się rozstrzygnie... tak... albo tak... —
mówił, odchodząc ksiądz Godziemba, ale snadź
wielkiej nadziei nie miał, bo się Strutziowej
w sieniach pytał, zali gromnicę mają i kazał
po siebie posłać gdyby się pogorszyło. Je-
gomość pan Helt, wino z piwnicy wyciągnął,
które tam jeszcze wstawił praszczur, leżało
może ze sto lat, aż pleśnią gąsior obrósł. Gła-
dząc młodszą wnuczkę po złocistych warko-
czach, usiłował żartować:

— Dajno tu tego wina kubek. Ofko, a oba-
czysz, zmarłego by na nogi postawiło.

I Ofka dała, jak zwykle rękę jej do czo-
ła przytulił, bezwiednym ruchem dziecka szu-
kając ulgi i opieki.

A ona... W niej dusza zamierała z lęku,
słuchała jego chrapliwego oddechu, czuła bu-
chający od niego żar. Po winie sen przyszedł,
z początku niespokojny, potem coraz głębszy,
spokojniejszy.

Zali tak zaśnie na wieki?

O Jezu! Jezu!

Skądże ci on nagle taki drogi, tak nad
wszystko miłowany. Skądże ten ból sercem
szarpiący, ta trwoga. Och, gdybyż mu choć
przez mgwienie w twarz spojrzeć, zali cień
śmierci na niej, czy życia powrót?

Chłodniejszą się jej zda jego ręka.

Zali to chłód śmierci, czy jeno gorączka
go opuściła.

A w okół nic, jeno noc, czarna wieczna
noc.

Tak rozpaczliwie czuje dziś Ofka swoją
niedolę, tak pierwszy raz kalectwa ogrom ją
przytłaczał.

Płyną łzy.

A ręka w jej dłoni mokra jest od potu,
a ręka w jej dłoni nie pali już jak płomień.

Godziny mijają, wloką się jak w nieskoń-
czoność.

— No, jakże tam?

Zasnął.

Baśka wsunęła się ostrożnie i objęła sio-
strę ramieniem, oczy jej spoczęły na twarzy
chorego.

— Ale się poci, we wodzie cały leży, to
i wyżyje.

— O Boże! Boże! dobry — modliła się w duchu Ofka. — Dziękuję ci! W tej chwili Jur otworzył oczy i to pierwsze, zupełnie przytomne spojrzenie, padło na cudną twarzyczkę Baški Heltówny. Ofka szybko cofnęła rękę, nie zauważył nawet, a jej ręka tak ścierpła, iż jej prawie nie czuła.

Żyje, żyje, żyć będzie!

Radość olbrzymia przepoiła serce i przedostała się na zewnątrz łzami.

Jur w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć ani gdzie jest, ani co mu było, słaby jeno się czuł ogromnie i senny jeszcze.

— Jakoż się waść czuje — zadzwonił głosik Baški.

— A co mi było?

— Zachorzał waść na zapalenie jakoweś i strachu nam waść wszystkim narobił, niech ręka Boska broni.

— Śpij waść dalej — prosiła Ofka. — Wi na się jeszcze napij i śpij. Wypił posłusznie i zapadł w sen.

A teraz, gdy już cień śmierci przestał się czaić w izbie, zaofiarowała się Baška.

— Idź, spocznij Ofko, prześpij się i ty, dyć gorzej od niego wyglądasz, ja se robotkę przyniosę i posiedzę dokąd nie wrócisz. Zawahała się Ofka, ale słyszała jego równy, spokojny oddech i lęk ustąpił zupełnie, natomiast odezwały się owe noce niespane zmęczeniem bez granic, czuła, że poprostu z nóg leci.

Wysunęła się cicho, jak cień.

Do zdrowia wracał, do życia, nie tu już po niej.

I gdy nad wieczorem Jur znowu otworzył oczy, to spotkał świetliste źrenice Baški Heltówny.

EX LIBRIS
WSZCŁEK JOZEF
OLPINY

ROZDZIAŁ X.

Zrękowiny.

Przeszły godne święta, raz pierwszy w nie zwłókl się Jur z łóżka, aleć mu już z każdym dniem sił przybywało i ochoty do życia i z każdym dniem bardziej dokuczała mu bezczynność. To przecież nie było życie, w izbie cieplej siedzieć, Ofczynych pieśni słuchać, przekomarzać się z Bašką, w kości grać z panem Heltem i patrzeć na biały śnieg za oknem... Na on biały śnieg! Doma o takim czasie, dziki po śniegu tropił, na wilki obławy bywały, na gronostaje paście zastawiał, za szarakami uganiał a teraz ksiądz kanonik nosa na pole wystawić nie pozwolił przed wiosną, jeno siedź jak w karczerze.

— Hej! na konia sięść, z wichrem polecieć w przegony, z mroźnym zimowym wichrem, wraz by ochota do życia wróciła i fantazja. A tak...

Zagraj też zleniwił, kto wie czy jakowa pociecha z niego będzie, jeno kąta ciepłego patrzy i strawy obfitej, boki mu się wypasły a na karku porobiły łądy. Wieprza niedługo z psa zrobić takim karmieniem — myślał Jur.

Z nudów zaczął się od Plaitena rachunków uczyć, z nudów w pisaniu i czytaniu ćwiczyć,

bo taki długi zdał mu się każdy dzień, nija-ki. Dziś Matki Boskiej Gromnicznej, wicher dał i śnieg sypał wielkimi, białymi płatami. Jur u okna stał i na rynek patrzył, wracali ludzie z kościoła, szli ostrożnie, po małuśku, zapalone gromnice ogarniając dłońmi, by ich wiatr nie zgasił i snuł się ten korowód światła w półmroku zimowego dnia, nasuwając myśl o śmierci, co na każdego z nas gdzieś czyha zatajona.

A oto i Baśka z Ofką wracają. Baśka gromnicę niesie, przystanąła w progu i stanawszy na palcach, krzyż wypaliła na osadzie drzwi. Idzie wkrąg po domu, przez wszystkie drzwi, obeszła stajnie i obory, izby mieszkalne, strychy i piwnice i raz jeszcze przez bramę wchodową na dwór wyszła, by za progiem głośno odmówić modlitwę, światło zgasić i ze zgaszonym powrócić. Jur pierwszy raz widział w jej cudnej twarzyczce ten wyraz głębokiego skupienia, a w jej czarnych oczach zadumę. Przeszła ze światłem mimo, nie spojrzawszy ku niemu, z oczyma utkwionymi w dal. Jakby nie ta co zawdy. Cosi jej jest... ale co?

Ofki zapytać.

Ale Ofka za panią Strutziową do kuchni poszła, ciasta rozmaite gotować, bo tańce miały dziś być, w pana Heltowym domu, gwoli uciechy dla młodych.

Za oknami wicher wyl i roznosił tumany śniegu, w kominach lkały pogłosy dziwne, jakgdyby dusze się skarżyły potępieńcze.

Jur w stołowej, obok komina usiadł i patrzył w płomień. Zagraj u nóg mu się skulił.

Leciały gdzieś myśli daleko i wracały, jak ptaki spłoszone.

Oj, żebyż już wiosna! Głupstwa człowiekowi jeno do głowy idą, bez to próżnowanie.

Nie zauważył, że Baśka przyszła, aż ponad nim zadzwonił jej głosik pieściwy:

— O czym waść myśli?

— O tym, że się tu rozpróżniacze do cna.

— O niczym więcej?

— O niczym.

— Wie waść?

— Co?

Długie rzęsy przesłoniły oczy.

— Wie waść co dziś u nas ma być?

— Tany.

— Zrękowiny, dziad chcą mnie wydać za młodszego Ridta.

Milczał, zapomniał o tym do krzty, a ot, przyszło. Bezwiednie bukowe polano do ognia dorzucił i zęby ściał.

— Aleć ja nie chcę, nie chcę, za nie!

— Dlaczego?

Zdawało mu się, że to ktoś obcy przemówił, tak obcym wydał mu się ton własnego głosu.

— Nie miłuję go, wstrętny mi jest, z tą swoją piegowatą gębą! Rudzioch taki — wybuchnęła.

— Ale jeżeli taka jest wola pana Helto-
wa, toć trzeba.

— Waść wiedział o tym?

— Dawno już jegomość pan Helt mi powiedział, jako to małżeństwo w projekcie ma, jeszcze zanim poznałem waćpannę. Człek ma być bogaty, dobry, jeno, że urodziwy to ta nie jest.

— Na miły Bóg przestań waść! Ślepys jako Ofka, czy co? — Twarz dłońmi zastoniła a ramiona trzęsły się jej od płaczu.

Drgnął: skoczyć, ramionami ją objąć, przytulić, te oczy cudne, łez pełne wycalować. I co?

Szarak na trzech kominach.

Pochylił głowę.

— Może mi widzieć nie wolno. Od jego-
mości pana Helta tyle doznałem dobroci, że
mi nie wolno niewdzięcznością płacić. Zresz-
tą, coż ja? W przyszłości dworzanin, rękodajny, wiszący całe życie u pańskiej kłamki.

Prawdać jest... pomyślała Baśka i lży sta-
ły się mniej gwałtowne.

Wicher w kominie łkał.

Lubię ją, pomyślał Jur, lubię, jak cudny
kwiat, co mi na drodze wyrósł i olśnione
oczy krasą barw kusi.

Ale... Czyż to miłowanie?

Ot, teraz ramionami bym ją ogarnął, przy-
tulił, jako dziecko ukołysał, jako siostrę zmar-
twioną pocieszał, aleć czy to miłowanie? Gdy
na nią patrzę droga mi jest i bliska i miła,
aleć gdy jej nie widzę nie tęsknię za nią, nie
usiłuję wywołać wspomnieniem, przepada mi
z życia i z pamięci, jako i Zośka z Choin
kanyś przepadła do cna.

Gdy widzę przy niej rudą głowę Mateu-
sza Ridta i tę jego gębę piegami osypaną, jak
strucla na godne święta makiem, toć mi za-
zdrość. Siłą, mocą wstrzymywać się muszę,
by mu jakowego dyshonoru nie uczynić, aleć...
czy to miłowanie?

Takie, jakie ojca łączyło i matkę?

Takie co to na całe życie ma starczyć?

Na drugim świecie w jedno połączyć?

Chyba, że nie.

Kraska, jest kraska, aż oczy rwie i zmy-
sły nęci... aleć.

A Baśka właśnie lży otarła końcem ko-
ronkowego fartuszka, w jej cudnych czarnych
oczach zaduma i smutek ustąpiły miejsca ja-
kowejś myśli mściwej, co uśmiechem wykrzy-
wiła usta i swawolą rozjaśniła źrenice.

Takiś to! To ja ci tu będę lży lała, a ty
nie? Poczekaj!

Myślisz, że o ciebie stoję? Właśnie, jak
pies o piątą nogę.

Siedzi wedle komina i w ogień się gapi,
a ognia w nim ani za grosz.

Czekajże ty!

Zaśmiała się nagle odchylając w tył gło-
wę, zaśmiała tak radośnie i beztroskliwie, że
Jur na równe nogi się porwał, zdumiony nie-
spodziewaną przemianą.

— Waćpanna có?!

— Ano naprzykrzyło mi się płkanie, to
się i śmieję. Wielkie zmartwienie ostać żo-
ną najbogatszego w Polsce mieszczanina?
Dziad słuszność ma i waćpan tyż, co ta w
mężu po urodzie, jeno utrapienie by za inny-
mi nie latał, a tak wystarczy, żem ci ja uro-
dna. Patrzy wać jakby myślał, że od siebie
gadam, aleć ja właśnie do rozumu przyszedłem
i już. A waćpanowi dziwno?

— A no, że tak można we mgnieniu od
płakania do śmiechu, a od zmartwienia do
uciechy.

— A bo to warto było płakać? Powiedz
wać sam, kogo? Czego?

Jur się zmieszał, patrzył w jej twarzycz-
kę roześmianą i w jej oczy gniewne, aleć coś
jak radość wstawiała mu w duszy, nie, to nie
ta, teraz już na pewno wiedział, że to nie ta.

Z tą, życie całe toć by było piekło.

Poweselał i słuchał już z uśmiechem, co się błakał wokół ust młodych, lekceważeniem.

A Baśka szarpała nerwowo koronki fartucha i coraz bardziej wypadła z równowagi, drażniła ją ta twarz młoda nagle spokojna, gdy ona pragnęła ją widzieć bolesną i smutną, drażnił uśmiech tych ust i oczu czarnych, obojętny wyraz. Czula, że weszła na fałszywą drogę, że coraz bardziej traci w jego oczach a nie zyskuje i brnęła głębiej.

— Mateusz Ridt klejnotami mnie obsypie, choć sam nie klejnotny, aleć co z klejnotu, gdy bieda z za niego zęby szczyrzy. Sam waść przyzna.

— Jak komu, ja bym mego nie oddał za wszystkie skarby Mateusza Ridta.

— A za moje?

Zaśmiała się zalotnie Baśka, rzucając mu spojrzenie z pod rzęs.

Wzruszył ramionami.

— Waćpanna sama jest klejnotem, to niczyjego klejnotu nie potrzebuje, a tymbardziej mego, jeno bogatej oprawy.

— Pewnie!

— Waćpanna daruje, że ją samą ostawię, aleć słaby jeszcze jestem i zmęczyłem się. Zagraj chodź.

Sklonił się jej i ku drzwiom skierował.

— Jur.

Pobiegło za nim ciche, błagalne.

— Jur.

Zadźwięczało rozpaczą.

Szarpnęło nim, udał jednak, że nie dosłyszał i odszedł. A Baśka Heltówna, twarzyczkę koronką fartucha zakryła i szlochała.

— Cóż ci to dziecińko?

Ręka dziada na jej ciemnych spoczęła war-koczach pieszczotliwie, wszedł i zobaczywszy ją płaczącą, zrobiło mu się jej żal.

— Cóż ci to dziecińko, co?

— Ech nie.

— Przecież, może cię projektowane małżeństwo z Mateuszem Ridtem mierzi. Powiedz, dziad nie kat, przemocą ci woli nie narzuci.

— Nie miłowany ci on, aleć to ta nie, posłuszna będę pana dziada woli, jako, że wiem iż jedno dobro moje ma na względzie.

— Wierz mi dziecko, że jeno twoje dobro. No więc jak nie bez to, to czegoż te piękne oczeta płakały?

A w pięknych oczach przesunął się zły błysk i zgaśł pod szybko spuszczonej rzęs cieniem.

— POCO wam ta wiedzieć, panie dziadziu, smutek by wam z tego jeno był, jako i mnie.

— Czemuż to?

— Et...

— Powiedz no Baśka, nie kręć jako zwykle, dokuczył ci kto?

— Dokuczył, juści że dokuczył, nie była bym wam mówiła panie dziadziu, aleć kiedyście mnie zastali płaczącą, toć i powiem. Imci pan Bendoński oczy do mnie robi, komplimenty gada, spokoju nie daje.

Zaśmiał się pan Helt.

— No toć jeszcze nie grzech, chłopak młody a waćpanna urodziwa nad miarę, to mu się w głowie zawróciło.

Suche oczy, tarła fartuszkciem i śledziła z za koronki wyraz twarzy dziada.

Zły to człek, na cnotę niewieścią okrutnie łakomy.

— Hym...

Ręka spoczywająca pieszczotliwie na jej warkoczach opadła, w twarzy pana Helta niedowierzanie było, podejrzliwie na wnuczkę spojrział. Wiedział, że równie przewrotna jest, jak i urodziwa i żądał sobie wduszy pytanie: Kto łąga?

Jura, zdawało mu się, że poznał dobrze, nie mógł uwierzyć, by chłopak za jego plecami do wnuczki mu się uśmiegał czy na jej cnotę nastawał i niewdzięcznością za dobro doznane płacił.

— Aleć Baśka!

Hym, nie pięknie coś.

I przypomniało mu się, jako oczy Baśki chłopca kusily nieraz, jako się do niego śmiały zalotnie.

— A mnie się widziało, żeś mu krzywa nie była?

— Ja?!

— No...

— Przywidziało się wam, panie dziadziu.

— No... no, może i przywidziało. Jak chcesz, to się z Bendońskim rozmówię i uszu natrę za te zaloty niewczesne.

Przeraziła się.

— Jać mu już sama nagadałam, co się zmieści i myślę, jako się już więcej zaczęć mnie nie ośmieli.

— Hym... a cóż z Ridtem?

— Jako pana dziadzia wola, nie ten, to inny zawdy musi to przyjść na człowieka.

Do ręki mu się pochyliła pokornie i do kuchni uciekała.

Pan Helt westchnął: kłamliwa jest, jako i Wilhelm był za młodych lat. Po chwili

wahania poszedł jednak w stronę pokoju swego młodego gościa.

— Diabeł by ta z babami do ładu doszedł — myślał — aleć i ten smyk młody swoje dostanie.

Wszedł do izdebki z gniewnym marszem na czole, Jur z nad pisania podniósł ku niemu pogodne, śmiałe żrenice.

— Kulasy ta jeszcze, aleć ta już idzie.

— Pokażno waść. No wcale, wcale, to właśnie chorowanie waści na coś przydało, a ja tu właśnie do waści, na gawędę.

Krzesełło sobie przysunął i wedle pieca usiadł.

— Zrękowiny dzisiaj będą doma, Baśki z Mateuszem Ridtem.

Mówił wyciągając do ognia ręce i pilnie obserwując minę Jura.

— Mówiła mi przed chwilą jejmość panna Barbara.

— Odpowiedź padła swobodnie i bez cienia jakowegoś zmieszania patrzyły oczy Jura.

O Baśka, coś znowu bokiem wedle prawdy przeszła — pomyślał pan Helt — łacniej bym uwierzył, że ona kusila nie on. A jako, że człek był rozważny, więc postanowił niepewny temat ominąć.

— Jakże się waść czuje?

— Prawie, że już tak zdrowy, jako dawniej. Jeno mi się już przykrzy okrutnie, człowiek bez pracy, to naprawdę nieszczęsny jest, dnie takie długie i tak ich trudno zapłacić, a w nocy sen od człowieka ucieka, bo jakoż ma przyjść, gdy człowiek jeno doma siedzi, nie zmęczy się, nie pracuje, z życiem za bary nie bierze. Przykro mi też, że tak jegomości załogą w domu leżą tyle miesięcy i nawet nie wiem, jak się ja jegomości

za wszystko odwzięcę. Tak mi tu jest, żeby i w domu lepiej być nie mogło.

— Nie myśl waść o tym, zdrowiej. Człek człękowi zawdy w opresji pomagać powinien, waść mi pomógł swego czasu, no teraz ja waści. kwiła byka za indyka i koniec.

— Ja we długu jegomości zawdy ostanę. Jur się pochylił i w rękę pana Helta pocałował.

— No... no... Aleć pogadajmy teraz o przyszłości, mówił mi ksiądz kanonik Godziemba, na marginesie mówiąc, wielki przyjaciel waszmości, że ksiądz biskup, często o waćpanowe zdrowie pytał i kazał się waści zgłosić, gdy wyzdrowiejesz. Pan to możny, prawy, kapłan cnotliwy, służba u niego dobra i zaena. Aleć ja do waćpana z inną przyszedłem propozycją. Według królewskiego dekretu mieszczaństwo może skupować ziemię, jako i szlachta, otóż grosiwa uciulało się dość, a teraz trafia mi się do nabycia posiadłość ziemska, co w zastawie u mnie była, proponuje mi właściciel do kupna za dopłatą. Otóż jeżeli by to doszło do skutku, ja gospodarowaniem zajmować się nie mam czasu, ani się, prawdę mówiąc, nie znam na tym. Mateusz Ridt, takoz nie tego. Nasz interes tak jest rozgałęziony i tyle zabiera czasu, że ledwo zdołamy podolać pracy. Aleć umyśliłem, że dla Ofki, kiedyś gdy mnie nie stanie, życie na wsi byłoby najlepszym. Dla klasztoru gwoli swemu nieszczęściu pójść nie może, w małżeństwo jej nikt nie pojmie, bo jakoż ciemnej gospodarstwo prowadzić, dzieci chować. Umyśliłem se więc, że to dla niej byłby najlepszy takowy kącik na odludziu. Trzeba mi więc kogoś tam osadzić, co bym mu mógł, jako so-

bie samemu zaufać, co by dla mnie na onej ziemi gospodarzył, dochód by my dzielili na poly. I umyśliłem sobie, że człowiekiem tym mógłby być waść, panie Bendoński.

Jur milczał, propozycja zaskoczyła go niespodziewanie i w pierwszej chwili ucieszyła bezmiernie, gospodarkę miłował i znał się na niej, tyle lat wyręczając ojca, ciągnął go urok ziemi i boru nieodparcie, ale wychowany, w przesadnej dla swego klejnotu estymie, Jur Bendoński nagle, w rozradowaniu swoim, przypomniał sobie, iż jego przyszły chlebowdawca, to nie pan klejnotny, jeno mieszcza- nin i kupiec i zawahał się.

Herman Helt widział, jak młodą twarz rozpalili rumieńce i ironiczny uśmiech drgnął mu na wargach.

— No? Waści służba rękodajnego dworzanina u Opalińskiego milsza, niżli u mnie chleb szczerze po połowie dzielony?

— Nie... jeno...

— Bądź waść szczery, taki, za jakiegom cię zawdy miał i jakiegom polubił.

— Ojciec mi nakazał przede wszystkim pamiętać jako szlachcie klejnotny jestem i temu klejnotowi w niczym nie uwłaczać, nie wiem co by ojciec rzekł, gdyby się dowiedział, iżem do jegomości, co klejnotnym nie jest w obowiązek poszedł i dlatego, nie wiedziałem co rzec. Gospodarkę miłuję i pracę na roli też i gdyby nie ten szkopol, co mi do głowy zajechał.

Pan Helt się uśmiechnął.

— Powiedz mi waść, czy może praca uczciwa kalać? Czy nie kala raczej próżniactwo i takie obijanie się po pańskich dworach? Trzymanie się pańskiej klamki, służe-

nie panu w prywatach, często nawet dobru Ojczyzny na wspan. Jać waści za złe nie wezmę, podoba mi się nawet waści szczerota, ale namysł się. Mnie nie chodzi o Jura Bendońskiego herbu Nałęcz, dlatego że herbowny, mnie idzie o człowieka energicznego, prawego, uczciwego do gruntu, słowem o szlachcica w czynie, nie w herbie. A za takiego waści mam. Prawda, Ojczyźnie chce waść służyć w pierwszym rzędzie, Bóg dał, że mamy czas pokoju, a jakaż praca dla tej Ojczyzny pożyteczniejsza, jak to co ją bogaci, jak rękodziela, przemysł, praca na roli? Ziemia nas żywi, ziemia jako macierz tkliwa pierś nam podaje życiem wezbraną, niech człek pracy na roli poniecha a zginie on i pokolenie jego. Szabla życia nie daje, obronić go jeno może, życie tworzy błogosławieństwo Boga, rodność ziemi i praca człowieka, niech jedno z tych trzech skrewi a wszystko obróci się w perzynę. Wie waść co, przed latem majątności mojej nie obejmę, więc mamy czas i waść i ja. Niech waść wpierw u Opałńskich spróbuje, odpowie waści, ostaniesz a ja do ciebie pretensji żadnych mieć nie będę, każdy człek ma swój inny na ten świat pogląd. Nie odpowie, zgłosisz się waść do mnie. Zgoda?

— Zgoda.

— Jeno jedno waści rzec muszę, należy księdzu biskupowi powiedzieć, jako waść tymczasowo do niego na służbę idziesz, nota bene, o ile ci ją zaofiaruje.

— Nie idę jeszcze, jegomość pozwoli, że se to wszystko dokładnie rozmyślę. Pan ojciec mówił, że jak człowiek czego nie pewny, to najlepiej do Stołu Pańskiego przystą-

pić, do Mszy św. służyć a rozwiązanie sprawy samo się podsunie. Więc i ja, gdy mi ksiądz kanonik nareszcie wyjść pozwoli, za radą ojcowską pójdę.

— Pięknie, kto z Bogiem, toć i Bóg z nim. Jeszcze jedno, waść ma u mnie za sprzedane sobole grzywien 150, za inksze skóry wzięłem grzywien 50 i odesłałem, jako obiecałem, waści sanie z pieniędzmi, jednym z moich ludzi na Godne święta jeszcze.

— Dziękuję Jegomości z serca, właśnie się trapił, co ta rodzic powie, że tak długo ani pieniędzy, ani sani, jenom pytać nie śmiał.

— Przecz?

— Bom od jegomości tyle dobroci doświadczył, żem się już z moimi sprawami narzucać nie śmiał.

— Niechże waść pamięta, że na odwieczerz mamy zrękowiny, a waść się z młodymi ucieszy, potańcuje, poskacze, na wesołe myśli przyjdzie. — Raz jeszcze mówiąc to, uważnie pan Helt w twarz Jurowi spojrzał, ale chłopak uśmiechał się tak swobodnie, że ostatni cień podejrzenia zniknął z myśli kupca.

Baśka pokręciła coki i już.

Cudnąż była Baśka Heltówna w ów wieczór, w sukni złocistej barwy z cieniuchną koronkową kresą kołnierza, z wiankiem róż białych. Mateusz Ridt, rudawy blondyn, barczysty, rosły, ciężki, spoglądał na nią żarliwie, spoglądał z daleka i Jur Bendoński i myślał: pokusa, oczu od niej oderwać trudno, najurodziwsza ze wszystkich, diaboliczka. Bo

też i najurodziwszą była, poglądali na nią chłopcy z tęsknotą, dziewczęta z zazdrością, a ona zdała się mieć tylko oczy dla swego przyszłego męża i wszystkie uśmiechy dla niego.

Muzyka gra.

Rzempolą skrzypce, dmą flety, śmieją się dziewcząt urodne twarzyczki, migają tęczą barw szaty, mienia jako rosa o świtanu klejnoty, a w pierwszą parę tańczy Baśka Helówna i Mateusz Ridt.

Ile razy w tańcu jego ręka pulchna, piegowata, włosem rudawym porośnięta, dotykała jej ręki, wstrząsał nią dreszcz wstępu, ale śmiały się oczy, śmiały usta.

Jur przy Ofce usiadł, nie ciągnął go tan, słaby się jeszcze czuł i znudzony.

A przed muzyką Mateusz Ridt przystanął, podparł się w boki i zaśpiewał:

Mojas ty dziewczyno,
mojas ty jedyna
mojas ty moja,
nie dam cię nikomu,
powiodę do domu,
mojas ty moja!

Zaśmiała się Baśka i nagle, jej czarne, swawolne źrenice poszukały oczu Jura i utonęły w nich spojrzeniem, gdy śpiewała przed muzyką i ona z kolei:

Mam białe róże
we wianku,
Mam je dla ciebie,
kochanku
Samam je sadziła, sama podlewała
a sadząc, hodując, na ciebie czekała.

Poszli w tan, Mateusz Ridt rozpromieniony i dumny i ona roześmiana.

— Waćpanna tańczyła kiedy? — pytał Jur Ofki.

Ubrana bialo, ciemna dziewczynka wyglądała dziś wdzięczniej niż zwykle, wtulona w swój kącik słuchała przyśpiewków, muzyki i uśmiechała się dobrym, łagodnym uśmiechem rozradowanego dziecka. Teraz, na pytanie Jura, wstrząsnęła główką.

— Nie, ktoby mnie ta do tańcowania prosił.

— A jak ja poproszę?

Uśmiech zgasł, twarzyczka poblądła i taką białą się prawie stała jako i sukienka.

— Waść, ze mną? Dyć by się ludzie śmieli...

— Nie stoję o to co ludzie powiedzą, ani o ich chwałbę, ani o ich śmiech. Pójdzie waćpanna ze mną w tan, proszę.

— Kiedy nie wiem, czy waść nie dworuje sobie ze mnie, jako Baśka czasami.

— Ja? z ciebie Ofko, coś mi czasu choroby była jako siostra najlepsza, dyć by mnie Bóg pokarał.

— Przepraszam waćpana.

A w jej biednym sercu szalała radość:

Tańcz Ofko!

Pierwszy i ostatni raz w życiu, tańcz Ofko! Obejmie cię jego ramię, powiedzie, popłynie na falach muzyki w zaczarowany, śniorny kraj nieznanego szczęścia, tańcz Ofko!...

Wstała i wyciągnęła ku niemu ręce, ujął je w swoje smagłe, silne, życiem tętniące dłonie i powiodł w tan.

Hej jak muzyka gra.

Jak serce bije.

Młodość Ofko, życie!

A Jur Bendoński przed muzyką przystanął jako było we zwyczaju i zanucił.

Hej wesoło, hej wesoło,
zatańcuję sobie w koło.
Daj dziewczyno rękę daj,
graj muzyko, graj nam, graj!

A Ofka na śpiewkę odpowiedziała śpiewką.

Wyrosłam ja białą lilią
wyrosłam dziewczynką nieczyją.
Wicher leci,
mnie omija,
słońce świeci,
mnie omija,
Bom nieczyja! Bom nieczyja!

— Nie śpiewaj tak waćpanna — prosił miękko Jur, wiodąc ją w tan.

— Przecz?

— Boć tak czegoś na sercu żałośnię, gdy tak śpiewasz.

— Przecież teraz nie ominęła mnie uciecha. Teraz i ja cieszę się, śpiewam, tańczę, jako i inne dziewczęta w moim wieku. Wesoła dziś jestem, wesoła, dzięki dobremu sercu waćpana, co się ulitowało nad niedolą kaleki. Słoneczko mi zaświeciło, wicher w tan poniósł. Ale waść się zmęczył, ciężko dyszy, usiadźmy lepiej.

— Tak, słaby jeszcze jestem i tchu mi brak.

— Dziękuję waćpanu.

Uśmiech radosny rozpromienił, rozświetlił twarzyczkę ciemnej dziewczynki i uczynił ją prawie piękną.

Jaka szkoda, że te oczy nie widzą... — z zalem pomyślał Jur.

A stary pan Helt, wiodąc za nimi w tańcu oczyma, myślał toż samo, są rzeczy, których za bogactwa nie kupić, a gdy wnuczka śpiewała, zwilgotniały mu powieki, bo ją nadmiarę miłował.

ROZDZIAŁ XI.

Jako Jur konia zyskał i serc aż dwoje.

Jur, po Mszy świętej, do której służył księdzu kanonikowi Godziembie, zasiadł wraz z nim do śniadania. Pierwszy raz po chorobie wyszedł z domu, powietrze pachnące wiosną, dyszące światłem i wonią upoiło go, do nóg i głowy poszło, jako stare wino. Przepadły gdzieś w bezdeń niepamięci przygody przeżyte, zniknęło znużenie i zniechęcenie, życie w nim było znowu bujne, młode, nad wszystkim triumfujące życie.

A w izdebce księdza kanonika, mogło się zdawać człowiekowi, że w sercu wiosny siedzi, tak rozgwar radosny czyniły w klatkach trzymane ptaki, tak pachniały kwiaty, które ksiądz hodował z zamiłowaniem olbrzymim, rozwinęły mu się właśnie na oknie, aż z Holandii sprowadzone, hiacenty białe i lilowe i ich to woń przedziwna snuła się w przestrzeni, odurzała.

Gdy weszli, ptaki podniosły gwar radosny, jak gdyby witały staruszkę, gwizdały kosy, czyże, szpaki, wywodziły trele słowiki, gruchały cicho, radośnie gołębie, a wszystko to trzepotało się, biło skrzydłami, wyciągało dzioby przez szczeble klatek.

— Zaraz, zaraz jeno się rozbiore, to wam

śniadanie dam. Widzi waść jakie to wszystko, bractwo głodne, czekają na swój cukier, na sałatkę, na groszek i spokoju człowiekowi nie dają. Siadajże waść, cicho hołotko kochana, bo człek własnego głosu nie słyszy. No cóż, wiosenka pachnie? Życie cieszy? Serce czyste, po świętej spowiedzi, to i myśl jasna. A cichajcież rozpustniki, bo aż w uszach dzwoni.

Zajadał Jur polewkę piwną i chleb biały z apetytem jaki daje młodość, ksiądz musiał najpierw „dzieciskom“ dać śniadanie, „bo by człowiekowi głowę urwały“.

Więc u klatek cukier rozdzielał i śmiał się rozradowany, drażnił z ptakami, jak dziecko, podsuwając im palec zamiast cukru a one udawały, że dziobią, trzepotały skrzydełkami, doskakiwały niby też to z inpetem wielkim, by odskoczyć równie prędko. A gdy ksiądz mówił modlitwy, to ptaki przycichły nagle i zdawały się słuchać w skupieniu.

— Widzi waść, bezrozumne to, a słowa Bożego nauczyło się słuchać i cicho siedzi, je-no łacinę posłyszysz. Wie waść co, po posiłku pokażę waści moje szklarnie, we Włochach się nauczyłem ogrodnikować, ziola sobie rozmaite hoduję, kwiaty na ołtarz Najświętszej Panience, zobaczy waść, co to za cuda.

— Jakoż ksiądz kanonik wszystkie... do-
doła?

— Dyć braciszków mam, co mi pomagają, ziola sadzimy, zbieramy, rozsyłamy po wszystkich klasztorach, ludziom na ratunek, bo wie waść, tak to Pan Jezus zmyślnie urządził, że na każdą chorobę w roślinach lek dał.

— Proszę księdza kanonika — ukazał się w drzwiach biały czepek gospodyni — od imci

pana Wawelskiego do dziecka proszą a od imci pana Wojciecha Podróbskiego trzy razy posyłał do jegomości.

— I dopiero mi jejmość mówi?

— A no, żeby ksiądz, kanonik chociaż tyle spokoju miał co by zjadł.

Ale staruszek rozsierdzony był na serio.

— A tam kto wie co, jak trzy razy posyłowali, to i gwałt musi być. Waćpan daruje, bo życie ludzkie trza ratować, jejmość, kiedy się jejmość nauczy, by gadać zaraz.

Gospodyni, siostra księdza kanonika w panieńskim stanie dotąd żyjąca, ramionami ruszyła.

— Księdzu bratu to i zjeść nie dadzą, ludzie żadnego wyrozumienia nie mają, że i ksiądz ludzkie potrzeby ma, boć człowiek cielesny jest, jako inni. A tam pewno nie wielkiego, może jeno kto bez łąb zmacał jegomością, gdy w winiarni szklanica zabawiał, łąbno to może być, bo to szalawiła.

— Szalawiła, nie szalawiła, aleć zawsze człowiek, a bez zmacany szablą łąb, dusza chrześcijańska łąbno wyjść może, przez sakramentu. Niechże se tu waść trochę posiedzi a jak wrócę, pójdziemy do księdza biskupa, jako włożone.

Staruszek instrumenty zabrał, kawał nie-dojedzonego chleba w rękaw rewerendy wsunął i już go nie było. Panna Godziembianka ze stołu sprzątała, gadając bezustannie to do Jura, to do ptaków, to wreszcie do samej siebie.

Nic dziwnego, że ostała w panieńskim stanie, pomyślał Jur, dyć by człowieka do cna zagadała. Wyszła wreszcie i znowu tylko świegotały ptaki, ciesząc się słońcem, co im

zaglądało do klatek, a może i tymi kwiatami na oknie.

Jur usiadł sobie w słońcu, głowę o okno wsparł, wdychał woń hiacentów rozmaitych, a wokół niego ptaki czyniły taki rozgwar jako wiosna w borze.

Hej nie ma to jak rola, nie ma jak las!

Tęsknota mocarna, nad wszystko silniejsza, przejęła duszę chłopca. A no, już z pługami w pole idą a ziemia matka cieszy się i pachnie tą subtelną wonią budzącego się życia.

Hej! z pługiem w pole iść, szerokim gestem rzucać w ziemię rozmiętą siew, pieśni skowronka słuchać, a wieczorami rechotania żab.

Ziemiol! Ziemiol miłowana! Ziemiol rodna, błogosławiona, macierzy człowieka najlepsza.

I myślał Jur o propozycji pana Heltowej. Ciekawy był, co mu ksiądz biskup do powiedzenia ma, po co go wzywa. Wąsowiec odwiedził go kilka razy w chorobie, ale na punkcie projektów dziwnie był wstrzemięźliwy. Ano, będzie co będzie, służby u Opalińskich nie weźmie, chyba tymczasowo, bo gdy pan Helt ową ziemię kupi, to mu i gospodarzyć będzie, tak se dziś w czasie służenia do mszy św. postanowił. Tyle mu dobrego zawdzięcza, tak ich wszystkich lubi, jakoby rodzinę własną, a Ofka, biedna ciemna Ofka i jej śpiewanie, jako siostra dla niego serdeczna i miła.

Słońce gorzało, powietrze pachniało, upijało Jura swoją wiosenną mocą, kiwnął się raz, drugi, usiłował się przezwyciężyć i nie mógł. Sen rozchodził mu się po kościach niemocą, kleił powieki. Zasnął.

Zastał go tak ksiądz kanonik, gdy wrócił.

— Cie, Cie! Jak to se śpi, nikiej noworodek. Jakoż go tu budzić kiej mu się tak smaczno zasnęło. Żal. Aleć ksiądz biskup czeka. Ano, hiacent mu pod nos podsunę, kichnie i rozbudzi się a miłe będzie mieć obudzenie.

I krotchwilny staruszek podsunął hiacent pod nos młodemu. Jur kichnął wprawdzie ale nie rozbudził się.

— To ci sen. Nie ma jak młodość, mnie obudzi jak mucha brzęczy a on, przy tym płasim wrzasku, śpi jak zabity. Kichnie i śpi dalej. Oj młodość, młodość... Ale ksiądz biskup czeka. He! Wstawajno waść!

Huknął mu nad uchem.

Jur się porwał.

— Daruje ksiądz kanonik, zdrzemnęło mi się trochę.

— Dyć widzę, wiósna upiła waści, nikiej wino, ale chodź waść chodź, bo księdzu biskupowi nie należy być czekać.

Zaszła im w sieniach drogę panna Godziembianka.

— No, cóż było?

— A no szparą we łbie od szklanicy, jako waćpanna ślusznie przypuszczała, zalepiłem jako ta mogłem.

— Widzi jegomość.

— Nie nie widzę, bo łącno mogło być gorzej.

— Jeszcze ta nieraz będzie ksiądz brat ten łeb lepił, diabłu na pociechę.

— Może się kiedy odmieni.

— Jak ostatnią parę wypuści.

Andrzej z Bnina Opaliński zajęty był od-
mawianiem pacierzy, gdy mu Wąsowicz oznaj-
mił księdza Godziembę i Jura Bendowskiego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chry-
stus.

— Na wieki, wieków Amen.

Szare oczy bystro, uważnie przesunęły się
po twarzy Jura, gdy mu się do ręki schylił.
Zdał mu się teraz jeszcze podobniejszy, gdy
czas zatarł w pamięci nieco rysy tamtej twa-
rzy, aleć nie było mu już dziś to podobień-
stwo takie bolesne, raczej miłe, jak gdyby
nagle na konterfekt zmarłego spojrział.

— Ciesz się mnie, że waści przy dobrym
zdrowiu widzę.

— Pierwszy go dziś raz na słoneczko Bo-
że wypuściłem — uśmiechnął się ksiądz Go-
dziemba. — A dość strachu miałem o niego,
bo mi się gwałtem na Bożą rolę wyprowa-
dzić chciał.

— Niechże ksiądz kanonik siada i waść
też, po chorobie to i dla młodego względu
mieć trzeba. Wezwałem waści do siebie, by
się dowiedzieć, co waść na przyszłość za-
mierza?

Jur oczy podniósł.

— Jegomość pan Helt, nosi się z zamię-
rem kupienia posiadłości ziemskiej i chce-
bym mu na niej gospodarzył, po połowie dzie-
ląc się dochodem.

— A waść?

— Z początku skrupuły miałem, bo pan
Helt mieszczaninem jest a ja...

Nie dokończył, przerwał mu śmiech księ-
dza biskupa, Andrzej z Bnina śmiał się uba-
wiony. — Och! Waść jako widzę w przesad-
nej estymie dla swego klejnotu chowany, ja-

ko większość naszej drobnej szlachty. Wię-
cej fummy, niż fortuny, jak mówi przysłowie.
Przypomnij waść sobie, nie zbyt dawne cza-
sy, jak Wierzynek, kupiec krakowski, mo-
narchów u siebie gościł i obdarzył a nikomu
przez myśl nie przeszło, że klejnotni z rąk
nieklejnotnego podarki biorą, że pomazańcy
z mieszczań przy jednym stole uczują. Je-
żeli w państwie duchowieństwu pierwsze miej-
sce się należy, bo dba swoją pracą o du-
szą narodu, drugie rycerstwu, bo to wiary
świętej i Ojczyzny krwią własną broni a w
czas pokoju uprawia ją w pocie czoła, toć
trzecie przynależy mieszczańcom, że tę Rze-
czypospolitą bogatą czynią i zasobną. Więc
jeżeli nieklejnotność pana Heltowa, to to wa-
ści szkopuł jedynie to się waść z nim nie licz.
No, ale nim pan Helt ową majątność kupi,
będzie waść w próżniactwie żył, objął się
po Poznaniu i duszę lenistwem psuł?

— Właśnie pan Helt mi radził, bym wa-
szą eminencję o jakowe miejsce tymczasowe
prosił.

— Konno, waść dobrze jeździ?

— Pan Wąsowicz zaświadczyć może.

— Prawda, przypominałeś, mówił mi Wą-
sowicz, jako poskromiłeś Effendiego. Ano,
jeżeli to waści odpowiada, mógłbyś u mnie
funkcję kuriera pełnić, z pisaniami moimi,
jeździć, mam kurierów kilku, ale się przyda
jeszcze jeden. Przypadnie ci służba do gu-
stu, a okażesz się sprawny to i ostaniesz, nie
przypadnie, to do jegomości pana Helta wró-
cisz. Mówił mi ksiądz kanonik, jako jesteś
człiek czystego serca i prawych zasad. No,
więc cóż?

— Dziękować jeno mogę waszej eminencji i z serca to czynię.

— No, no. Dość się waść silny czuje, by się jutro w drogę puścić?

— Zdrowy już jestem.

— To i dobrze. Dziś sprowadzi waść swoje manatki a Wąsowicz lokacją się zajmie. Konia własnego waść ma?

— Kupić miałem zamiar, ale że dziś dopiero mnie ksiądz kanonik na świat wypuścił, to i czasu jeszcze nie było.

Ksiądz biskup pochylił głowę, na wyrazistej twarzy odbiło się wahanie, wreszcie rozjaśnił ją błysk dobrotliwego uśmiechu.

— W długu u waści jeszcze jestem, za ona przysługę ostatnią, bratankowi mojemu oddaną. Effendiego, prócz świętej pamięci Jerzego i waści, nikt dotąd ujarzmić nie zdołał, niechże mu służy.

Po smagłej twarzy chłopaka uderzyła krew łuną.

Własny koń!

Taki koń!

Szczęśliwość głos mu odebrała, dusiła w gardle, pochylił się tylko do ręki księdza biskupa i ucałował ją gorąco, a szare, chłodne oczy Andrzeja z Bnina, straciły na chwilę swój obojętny wyraz, rozradowane cudzą radością.

— Jutro rano przede Mszą św., zgłosi się waść w kancelarii, listy i wskazówki ksiądz sekretarz waści wyda. No a teraz z Bogiem, panie Bendoński.

Jur wypadł rozpromieniony i omal nie przewrócił w bibliotece mistrza Andrzeja del Prato, co z rysunkiem grobowca na audyencję u księdza biskupa czekał.

— A cóż waść ludzi potracasz, jako człek pijany!

Rozsierdził się czupurny Włoch.

— Przepraszam waszmości, nie chcący to był ten karambol.

— Nie chcący można człowieka nawet zakatrupić.

— No, aleć waść żyje, bo jeno łokciem zaczepilem, a ten nie ze stali.

— Dość spiczasty, bo go pod ziobrem poczułem.

— Po chorobie jestem—zaśmiał się Jur.— Toć i schudłem.

Jur wybiegł a za nim wyszedł ksiądz kanonik, z uśmiechem patrzył, jak Jur w stronę stajni leciał i poszedł za nim. Effendi w swojej klatce spokojnie siano chrupał i owsa szukał, gdy Jur wpadł, głaskać go zaczął i pieścić.

— Mój, mój, mój!

Koń go snadź poznał, bo spokojnie znosił pieczyoty a nawet rżał cicho, jak gdyby zadowolony. A chłopak gorące policzki do aksamitu chrapał tulił.

Ksiądz kanonik o kratę się oparł.

— No to waści pan Jezus radość spuścił. Aleć ogon i grzywę trzeba mu obciąć, pański koń ogonem, grzywą ziemię zamiata, aleć szlachecki, jako i jego pan, w bezczynności żywota trawić nie może, trza ostrzyć.

Jur wpadł do domu pana Helta, a z nim, zdawało się, iż wpadło coś z tej wiosny i słońca, co dziś przesycalo świat.

U okna Ofka stare płótna na szarpie skubała, posyłała je potem Strutłowa do braci

szpitalnych, jako że tam zawsze zapotrzebowanie było, co chwila ktoś się zgłaszał, to z pałą przy szklenicy nadwyręzoną, to się na weseliskach pobito. U braci szpitalnych, każdy w takowej opresji się znajdujący, pomocy szukał.

Jur za owe rączki pracowite pochwycił i wyrzucał z siebie raczej, aniżeli mówił.

— Wie waćpanna nowinę?

— Skądże mam wiedzieć?

— Ksiądz biskup konia mi darował, araba, czystej krwi, cudo, nie konia! Tego, com na nim za truchłą kasztelanica jechał. Zobaczy waćpanna co to za koń.

— Ja?

— Ach prawda...

Cieniem padło na jego słoneczną, młodą radość wspomnienie o jej kalectwie i przegasiło ją. Czuł, że ta jego uciecha zwiększyłaby się jeszcze, gdyby ją mógł z nią podzielić, przed nią się na onym koniu pokazać.

— Waćpanna widziała kiedy konia?

Wstrząsnęła główką, usiłując daremnie wywołać obraz konia z zamglonych wspomnień wieku dzieciennego. Pamiętała słońce, niebo, kwiaty, zielen drzew, nawet niektóre fragmenty ogrodu i domu, pamiętała swoje kukły i twarz matki, konia w tych wspomnieniach nie było. Wiedziała tylko, że jego kopyta uderzają o bruk, bo ile razy dźwięk ten słyszała, uciekała pod osłonę domów, bo nauczono ją bać się konia.

— Dotknąć go można?

— Można... Chociaż Elfendiego, to nie bardzo, mnie a o mało co nie rzucił, gdy go pierwszy raz dosiadł, ale jak się trochę obłaskawi, to go kiedy przyprowadzą i wać-

panna go dotknie, skórę ma nikiel atlas, grzywę aż do ziemi, obetnę ją dzisiaj, szkoda. Mój koń, rozumie waćpanna, mój własny koń! I to taki, że gdyby go człek chciał kupić, to by może i za tysiąc grzywien nie dostał.

— I cóż ksiądz biskup z waćpanem mówił.

— Co mówił? Prawda! Dyć mi ten koń tak do głowy zajechał, że jeno o nim waćpannie prawie, najważniejszego zapomniawszy. Dziś jeszcze przenoszę się na kwaterę do księdza biskupa, a od jutra z listami będę jeździł.

Dziewczynka pobladła nagle, serce się jej ścisnęło smutkiem bezbrzeżnym, ot koniec snu...

Nie będą już siadywali wieczorami, gawędzili, nie będzie komu smakowitych zawiąńców wypiekać, ni pieśni śpiewać, dziadkowi, jeno dziadkowi, jako dawniej.

— To waść od nas precz idzie?

— Dyć nie na zawsze, wracać będę do Poznania zawsze, a tego dobrego com w domu dziada waćpanny zaznał, nigdy nie zapomnę. Zresztą do czasu to jeno ta służba, gdy dziad waćpanny ową posiadłość ziemską kupi, a co do mnie zamiaru nie zmieni, to mu na niej gospodarował będę, tak szczerze i pocziwie, jako bym i sobie samemu lepiej nie podolił.

Promienny uśmiech przesunął się po twarzy Ofki.

— Waść jeno na tymczasem do Opalińskich!

— Jeno tymczasem i nieraz się waćpannie

jeszcze o te piosenki naprzykrzę, co tak do serca idą.

— Och, takie tam moje piosenki...

— I anieli w niebie piękniej nie śpiewają — zapewnił gorąco.

— O jej Ofka, dyć gotowaś jeszcze i ty mieć zrękowiny! — W progu stała Baśka Heltowna, usta jej drżały, płonęły oczy.

Zazdrość i gniew rozszalały się w niej płomieniem, zazdrosną była o tę kalekę, o biedną niewidomą Ofkę, zazdrosną o to, że ręce Jura trzymały dłonie ciemnej dziewczyny, że jej zwierzał swoją radość, z nią dzielił się swoimi planami na przyszłość, a ona Baśka, od dnia owych zrękowin istnieć przestała dla niego.

O ile dla Ofki serdeczny był jak brat, o tyle Baśki unikał, z drogi jej schodził, lękał się jej, czy siebie samego, któż wie.

A teraz na ostry, drwiący głos Baśki, Ofka pobladła a ręce Jura nagle puściły jej dłonie. Spojrzał w twarz Baśki, w tę twarzyczkę rozpromienioną gniewem i rzucił spokojnie.

— A cóżby to i było dziwnego?

— Nic... jeno, żeby ją wać pewnikien nie dla niej i dla jej urody brał, jeno dla wiana.

— Uroda mija, dobroć zostaje, panno Barbaro, a ktoby Ofkę w małżeństwo pojął, mimo jej nieszczęścia, ten by ją dla onej dobroci wielkiej brał, a nie dla wiana.

Pochylił się i rękę Ofki do ust podniósł, a z jej biednych ociemniałych oczów stoczyły się dwie łzy.

A Baśkę nagle opuściła złość, na widok tych łez cichych, co płynęły z oczów siostry. Jezusie, toć to tak, jakabym ją wrzątkiem

oblała po raz drugi i zarzucając ręce na szyję siostry lkała:

— Ofko! Ofko!... Dyć ja nie chciałam bólu ci sprawić, nagle jestem, głupia, ale nie taka do gruntu zła... Ofko.

— Cicho, cicho, uspokój się Basieńko, toć przecie... nic... nic...

Jur milczał, patrzył jak przytulone do siebie płakały cicho, a przez rozwarte okno wpływała zalewa wiosennego słońca i zapach rozwitych bzów.

Wiosna...

Nie przeczuwał jednak, że w ten wiosenny dzień, dwa serca dziewczęce rozwijały się, rozkwitały w miłowaniu, w miłowaniu dla niego.

EX LIBRIS
WISŁOŁEK JÓZEF
OLĘNY

ROZDZIAŁ XII.

Kurier księdza biskupa.

Ku zachodowi się miało, gdy kurier księdza biskupa wjechał do Soboty. Miasteczko zdziwiło go swoim, jakgdyby obumarłym wyglądem. Mimo wczesnej pory, domy były pozamykane, jakgdyby nie wiosna światem szła, jeno zima jeszcze trzymała swoje lodowate władztwo. Gdy z uliczek na rynek wjechał, bezwiednie prawie wstrzymał Effendiego. Na rynku wbito trzy słupy a wiosenny wiatr chybotał ciałami trzech wisielców, straszne, sine twarze z wywalonymi językami, z oczyma w słup, ogarniała poświata gasnącego słońca powodzą blasków, zdawali się w niej żyć, cierpieć. Jur zauważył, że wiszącą w pośrodku postacią, młodego chłopca o ciemnej twarzy cygana, wstrząsa jeszcze czasem dreszcz, jeszcze palce wyciągały się i kurczyły, jakgdyby coś w przestrzeni rozgarniały, chwytaly, a wywrócone ku niebu oczy, wracały jeszcze czasem z pod czaszki i szukały, szukały, z jakąś trudną do opisania tęsknotą, a ból w nich był i życia pragnienie.

U pali straż sprawowało dwóch ludzi w barwach Opalińskich. Jur podjechał bliżej.

— Za co ich powiesili?

— Skradli w nocy świnie jegomości panu staroście Podkowińskiemu.

— I za to śmierć?

Starszy z dworzan ramionami wzruszył.

— Kto by ta takich włóczęgów żywił, czy po sądach się z nimi obijał, la takich konopie rośnie.

— Ten w środku żyw...

— Młody to i siłę ma, wisi już ze sześć godzin, z tamtych dawno dusza wyszła, a z tego jakoś nie może. Może, że jego baba tak desperowała, przeklinała, ot wszyscy mieszczenie w domach się zamkli, boć to i czarownica może.

— Gdzież ona?

— Przegnaliśmy ją harapami, aleć pewno nie daleko.

Jur bokiem ku wisielcowi spojrzał.

— Odjąć go!

— Tyż!

— Któż widział za jedną świnie, trzy ludzkie życia brać.

— Pańskie sumienie nie nasze. Jedź waść dalej, bo pan starosta Podkowiński, straszny to człek, mówię waści, z takim nie zadzierać.

Jur nie mógł patrzeć obojętnie na te ręce drgające, na te oczy straszne, zwrócił konia, krucicę z za pasa wyciągnął i nim strażnicy zdolali ochłonać, wypalił. Sznur strzałem przeciał i cygan, jak dojrzałe jabłko z szubienicy spadł, twarzą ku ziemi.

— Tumry!

Zatrzepotał się przestrzenia krzyk kobiety, gdzieś z za węgla domów leciał i skończył w łkanu.

— Cóż waść najlepszego uczynił?

— Dyć w starościńskie sądy się mieszać, to kryminał.

— Pójdzie waść z nami!

— Ani mi się śni. Widzieliście waszmościowie, jako strzelam, który się ku mnie zbliży, w łeb wypalę, nie żałując. Panu starościę się nie skrywam, na proboszczówkę jadę, kurier księdza biskupa jestem, będzie mnie chciał widzieć, to mnie najdzie, ale i ja szablę przy boku nie od parady noszę i krzywdy sobie nijakiej uczynić nie dam. Zrozumie-li waszmościowie.

Rynkiem przeleciała postać kobieca, w barwne chusty odziana, do leżącego przypadła, smagłe ręce powoli chwytały sznur. Piers cygana podniosła się głębszym oddechem, szkliste oczy wracały z pod powiek.

Dwaj strażnicy chcieli się rzucić na kobietę, by ją od wisielca odciągnąć, ale zatrzymał ich podniesiony głos Jura i krucica wymierzona do strzału.

— Ani się waż! trup ten co ją ruszy. — Do kobiety się zwrócił, patrząc jednak wciąż na dwóch strażników, stojących bezradnie. — Na konia mi go podaj, dasz rady?

— Czemu by nie.

Podniosła cygana z ziemi i wtedy dopiero Jur dojrzał, że kobieta była młoda i ładna a w jej czarnych, łzami nabiegłych oczach, gdy dźwigała wisielca, był bezmiar miłowania. Litość w nim wezbrała i zadowolenie z samego siebie, uratował komuś jego szczęście.

— Na proboszczówkę go powiozę. Kto on tobie, że go tak płaczesz?

— Mój chłop.

Effendi ruszył, jak wiatr, huknęły za nim dwa strzały oddane więcej dla zrobienia hałasu, niżeli w złym zamiarze.

Trzy życia za jedną świnię, może to nawet dworzanom pana starosty wydało się za wiele...

Sędziwój ze Soboty, kanonik poznański, właśnie na podwórzu probostwa zajęty był obcinaniem bzów w kwiecie stojących, gdy Jur ze swoim dziwnym towarzyszem wjechał w ogrodzenie. Przerzucony przez kulbakę, nieprzytomny cygan, zwisał jak rzecz jakaś martwa, tylko straszne, krwią nabiegłe oczy, mściwe, okrutne, błękały się wpół świadomym spojrzeniem.

— Niech będzie pochwalony pan nasz Jezus Chrystus.

Jur czapkę zdarł.

— Na wieki wieków Amen.

Spojrzenie proboszcza, gdy odpowiadał, ogarniało i konotowało sobie w duszy, rasowe piękno konia, skromny strój jeźdźcy i i obdartą postać przerzuconego przez kulbakę człowieka, z kawałkiem sznura u szyi. Krew go zaleje ani chybi, jak nie zginął od postronka, to oł krwi zginie.

— Waść kto i z czym do mnie?

— Jur Nałęcz Bendoński, kurier księdza biskupa Andrzeja z Bnina Opalińskiego.

Ksiądz Sędziwój rozjaśnił twarz uśmiechem.

— Powitać waści, czekam już nie wymawiając od roku. A ten człek co zacz, co u waćpanowego konia wisi jak w jasyr wzięty?

— Cygan, co go na rynku ludzie starościńscy powiesili.

— I waść go odciął?

— Odstrzelił.

— Po co, jak go wieszali, to pewno było i za co.

— Za kradzież jednej świni, trzech ludzi pan starosta obwiesić kazał.

— A waść się akuratnie nad tym jednym zlitował?

— Bo tamci dwaj już nie żyli.

— Cygany, to przecież nacja, co diabłu służy nie Panu Bogu, tyż się waść wybrał z litością. Zdejmże go waść z kulbaki, bo go krew zaleje, jak mu tak będzie głowa do ziemi dyndać. Dziś swinię, jutro krowę, płazem puścić, to się tak rozwyrzą, że pojutrze do konia się dobiorą. I cóż waść myśli z tym obwiesiem? He?

— Myślałem, że ksiądz kanonik...

— Ja, ani myślę, ostaw se go waść w lesie, to go tam swojaki najdą. Ja się do takich rzeczy nie mieszam. Magda — huknął w głąb sieni. — A przynies ta śliwownicy, duchem, bo temu obwiesiowi śmierć z oczu patrzy.

Jur z konia zeskoczył i stał zafrasowany, ksiądz spojrzał ku niemu bokiem.

— Prześpi się, nie mu nie będzie, takiego to ani kijem ani palką, mocne nasienie, nie ma co. Ale jeno patrzeć, jak się tu zwali pan starosta Podkowiński, a wtedy nie chciałbym być w skórze waści. Człek to wielce cholerycznego temperamentu, rycerz nie byle jaki, on tego waćpanowi płazem nie popuści.

Jur ramionami ruszył.

— Głowy mi nie zdejmie, bo by musiał swoją dać.

— Abo jeno pogłowne zapłacić, a na te sześćdziesiąt grzywien to go ta stać. Ukrył-

bym waści w bokówce albo jeszcze lepiej w kościele, tam się nie ośmieli.

— Kryminału żadnego nie zrobiłem, cóż się mam chować?

— Jak tam waść chce, ja dobrze radzę. — Ksiądz nad cyganem się pochylił, szczęki palcami nacisnął, zwarte kurczowo zęby popuściły, wlał śliwownicę i uśmiechnął się. Po ciele cygana przebiegł dreszcz, czarne oczy łypnęły, ziewnęły usta. — Aqua vitae, nie mu, nie zdechnie, jeżeli go nie powieszą znowu. Proszę waści dalej.

— Jeno konia do stajni odwiode, bo nikomu dostępu do siebie nie da.

— Piękny koń, pierwsza rasa, waść ciekawość daruje, nie kurierski to koń.

— Pan kasztelan Opaliński dla syna kupował a teraz mnie go ksiądz biskup darował.

— Hym...

Ksiądz kanonik nie bardzo jakoś wierzył.

— Felerny?

— Nie.

— Hym...

Tym razem „hym” było jeszcze więcej wątpliwością przesyczone, taki koń i przez felernu, coś w tym jest, ale co? Jur konia zabrał a torbę u boku wiszącą odpiął i pisanie doręczył.

Ksiądz kanonik wygodnie na ławie, przed gankiem usiadł i w sień huknął:

— Magda okulary!

Magda starowina krzepka i uśmiechnięta, wcale swemu imieniu kipiącemu jakowaś teżyzną życia, ujmy nie czyniąca, przybiegła i drobne, spracowane ręce wpierając w boki, spytała:

— A z tym proszę jegomości co?

— A no nie, skrzepnie to i pójdzie.

— Żeby tylko co na pamiątkę nie zabrał, z takimi to ta rozmaicie.

— A no.

Ksiądz okulary na wydatny nos założył, co zwiślał nad mięsistymi, wygolonymi wargami smętnie, jak dziób starej sowy.

Cygan zostawiony sam sobie, leżał w wiosennym błocie przed gankiem, dyszał ciężko, chrapliwie, sine usta otwierał, jak ryba wyrzucona na piasek nadbrzeżny. Z za płotu wyzierała kobieta, do dyli oparkanienia przywarła i patrzyła szeroko rozwartymi niespokojnymi oczyma, chłonąc każdy ruch, każde drgnienie powiek, odciętego od sznura cygana.

Nie śmiała wejść, nie miała odwagi iść, aż tam na próg proboszczówki, ona co w czasie egzekucji zachowywała się jak szalona, czółgała u nóg starościńskich, całowała jego żółte buty, przeklinała, ach, wzywała wszystkich nieszczęść i chorób, od cholery do zarazy morowej na dumnego panka i gapiących się sobocian, na wszystkich tych, co wylegli patrzeć się na mękę człowieka, na jej obłędny ból. Zwyciężyła o tyle, że pan starosta odjechał, a sobocianie zamknęli się po domach i nie śmieli nośa wyściubić w lekku, że ich zaczaruje. A ona miała i tę odwagę, że płonąca twarz tuliła do nóg wisielca i szeptała mu słowa miłowania, by śmierć zagłuszyć, ale w końcu przepędzono ją harapami. Teraz jednak nie miała odwagi... Gdy naprężenie chwil ostatnich minęło, czuła piekący ból uderzeń, które jej plecy rozdarły do krwi. I teraz nagle, gdy bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, zamarła w niej

energia, wyczerpana krzykiem, klątwami, biciem, przywarła do płotu skromna i cicha, żebraczo pokorna, ona co przed godziną byłaby się może porwała na samego pana starostę.

Zbudził ją z tego bezwładu ochrypły krzyk. To otoczony gronem swoich ludzi wtargnął pan starosta na proboszczowski podwórzec. Olbrzymi to był człek, o krótkiej szyi i włosach szpakowatych, jak szczoika do góry stojących, wylupiastych oczach i ustach zaciętych silną linią woli a może jeno bezgranicznego uporu.

— Bodać cię krew zalała! — życzyła mu w głębi duszy cyganka, idąc za nim ponurymi, mściwymi oczyma, które zabijały a raczej chciały zabić spojrzeniem. Przykucała za płotem i nagle smukłe jej palce podniosły ostry kamień, oplótły się w okół niego kurczowo i dzierżyły w pogotowiu... A pan starosta Podkowiński z bykowcem w jednej a szablą w drugiej ręce wpadł na podwórze rycząc, jak wół zraniony:

— Gdzie ten pies przeklęty, na bigos rozsiekam, pardonu nie dając. Przybłęda jako wyś, dworzanin, wycieruch pańskich przedpokojów, będzie mi tu w moje sądy starościńskie nos wściubiał? Człeka przeżę mnie na śmierć skazanego, dla swojego widzimisie uwalniał? Podkowiński sum! W kaszę sobie pluć nie pozwolę mopanku.—Dojrzał na podwórzu cygana.—O! a oto ten obwieś, cygan, świniokrad, brać go i na rynek.

Ksiądz Sędziwój list starannie złożył i teraz dopiero przemówił, usiłując przekrzyczeć rozsierzonego szlachcica.

— Miarkuj się jegomość, kościół zawdy

nienaruszalnym asylum jest i kto się do niego schroni, to, jakoby się na łono Pana Jezusowe schronił, choćby on żyd był aboli cygan.

— Podwórze proboszczowskie, toć nie kościół żaden! Brać go i na rynek!

Ale Jur właśnie ze stajni wyszedł i z krucicą gotową do strzału szedł ku ludziom starościńskim. Głuchy bunt w nim wrzał, liłość, gniew, czarne oczy gorzały, do krwi zacięły usta.

Pan Podkowiński runął ku niemu z bykowiecem podniesionym, czerwony, straszny.

— Tuś mi draniu, sędzio, pomocniku!

— Miarkuj się waść!

Pan Podkowiński spojrzał i nagle stało się coś niespodziewanego. spojrzawszy z bliska w młodą, groźną, śmiałą twarz Jura, pan starosta zachnął się w tył, harap wypuścił i wybaluszywszy oczy, zgiął się w pokłonie.

Kobieta za płotem, odgięła się w tył i kamień przygotowała do rzutu, ale ujrawszy pochyloną głowę starosty opuściła ręce, myśląc z uciechą wielką: krew go zalała, ani chybi.

Starościńscy ludzie spojrzeli po sobie, jak gdyby w lęku, czy się panu Podkowińskiemu co w mózgu z nagłej irytacji nie popsuło. Ksiądz Sędziwój, mimowiednie zaciękwiony, krok bliżej podszedł. A pan Podkowiński jękał się, zachłystując gniewem.

— Jaśnie wielmożny kasztelanie, we własnej osobie, tysiącrotnie o przebaczenie proszę, któż mógł pomyśleć, że to wasza do stojność.

Jur się spostrzegł, przypomniało mu się podobieństwo i uśmiech na ustach drgnął.

— Przywidziało się waści.

— Miałem szczęście widzieć jaśnie wielmożnego kasztelanica łońskiego roku, gdy z księdzem biskupem na łowach u nas gościł i zapamiętałem sobie szlachetną personę.

— Jak waść zapamiętał...

— Trudno nie pamiętać tak szlachetnego oblicza.

— Kurier jestem księdza biskupa Andrzeja z Bnina Opalińskiego, a waść się w personie pomylił. Cygana odstrzeliłem, bo mi go było żal, młody, wisiał tak długo. A za jedną świnię, trzy żywoty ludzkie brać, toć o pomstę do Boga woła.

— Swinia była karmna i warta ze dwie grzywny — sumitował się starosta. — Rozmaite bywają fantazje pańskie, ale co wiem, to wiem, że w osobie kuriera, mam szczęście jaśnie wielmożnego kasztelanica witąć.

— A no to mnie witaj — pomyślał Jur i nie zważając już na starostę ku proboszczówce szedł. Przy cyganie się zatrzymał, jego młody głos drgnął akcentem prośby.

— Puść go waść, karę odebrał większą, niż zasłużył. Przez tyle godzin śmierci w oczy patrzeć, toć gorzej od śmierci samej.

— Jaśnie wielmożnego kasztelanica słowo, toć dla mnie rozkaz. Zabieraj się stąd obwiesiu jeden... niech ci moją krzywdę Bóg odpuści.

Cygan siadł, jego błędne oczy zatrzymały się na czerwonej twarzy starosty.

— A jegomości niech Bóg, mojej, nie odpuści...

Język mu się jeszcze w ustach obracał z trudem i słowa padały ciężko, jak kamienie.

Starosta z czerwonego stał się fioletowy.

bezwiednie prawie za pasem bykowca szukał, ale bykowiec został wedle stajni, w błocie podwórza, więc jeno wąsa szarpał i dłał się złością.

— Na miły Bóg krew mnie zaleje, bez to podle cygańskie nasienie. Żeby nie łaskawość wielmożnego kasztelanica, dyndałbyś ty czarci synu.

Przez pachółków starościńskich przewinęła się kobieta, smagła jej ręka opłotła dłoń cygana.

— Chodź Tumry.

Spojrzał ku niej i nagle z jego gorących ponurych, nienawistnych oczu, wytrysnęły dwie łzy, stoczyły się po twarzy obrzękłej na szczecinę brody. A kobieta głowę objęła, tę głowę śmierci przeznaczoną, zagładzie wydartą i tuląc ją do piersi namiętnie, podniosła ku Jurowi oczy miłowaniem wielkim świetliste.

— Niech ci Bóg nagrodzi.

Przed jej gestem nakazującym, rozstąpili się pachółkowie, niosła go prawie więcej, niżeli wiodła i był w tej parze oberwańców majestat miłowania, tak wielki, że nawet w serca pachółków starościńskich wkradło się coś, jak litość.

Jeno w panu staroście litości nie było, krwią nabiegłe oczy odprowadzały parę, wymykającą mu się z pod ręki do onego lasu, co otuli swoją ciszą, swoją młoda, radosną zielenią ich miłowanie, ich radość z odzyskanego żywota.

Ksiądz Sędziwój w niepewności był, zali kurier księdza biskupa, to naprawdę Jerzy Opaliński. Rasowy, drogi koń mówił za tym, że się pan starosta nie pomylił w personie.

wielcy panowie różne miewają fantazje... Hym... ksiądz kanonik wygolony podbródek tarł i w końcu kazał Magdzie zabić indyka.

A pan Podkowiński sumitował się dalej, połykał złość i rozpływał się w uprzejmościach, usiłując Jura namówić, by doń w gościnę zajechał.

— Jutro, gdy pod dachem księdza kanonika odpocznę trochę.

Pozbył się go wreszcie Bendoński.

A gdy w obszernej jadalni, dębem wykładanej, zasiadł z księdzem Sędziwojem do wieczerzy, do onego indyka z pyszną zawieszistą polewą, co na królewski stół mógł iść, ów utkwil w nim oczy pytając:

— Zali naprawdę w osobie kuriera, bratanka księdza biskupa podejmuje?

— Bratanka księdza biskupa, gości już podziemie w kościele świętej Marii Magdaleny, jako go Bóg miłościwy do siebie powołał jeszcze łośńskiego roku, na św. Łucję. Imci pan starosta pomylił się w personie, jako, że i podobny jestem do nieboszczyka kasztelanica wielce, a wyprowadzić go z błędu trudno było, bo byłby cygana powiesił a mnie w zapalczywości swojej łącno rozsiekał. A tak nieboszczyk nas salwował w opresji. Pyszny ten ptak, co to takiego jest?

— Jendor...

Westchnął ksiądz kanonik, boć chowany był na odpust, aleć, że człek był dobry, to i pomyślał: jedz zdrowo, łącno mogło być inaczej, dobrze, że się jeno na jendorze skończyło.

— No, a jakoż jutro?

— Ksiądz kanonik będzie tak dobry i od

powiedz dzisiaj napisze, a jutro w Sobocie, po kurierze księdza biskupa śladu nie będzie.

— To i dobrze, wielce mi waść miłą przywiózł wiadomość, rok temu jeszcze pozwałem do sądu konsystorskiego mistrza Augustinusa piktora z Poznania, co mi z kościoła stare obrazy do reperacji wziął i kanyś sprzedał, czy zatracił, dość, że na wszelkie moje urgensa odpowiadał milczeniem, a gdym sam do niego pojechał łońskiego roku, to ja przodkiem do izby wchodziłem, a on tyłkiem uciekał. Gadajże z takim, przecie sutanny nie podwinę i gonit za nim nie będę. Pijaczyna, pałę miodem zalewa, ale maluje cudnie. Otóż ksiądz biskup sprawę zbadał, obrazy u jakiegoś machabeja w zastaw dane wykupił i powiadamia mnie właśnie, iż sobie po nie każdego czasu posłać mogę. Uciecha to dla mnie nie mała, boć w kościele pusto było i ponuro, a i co se ludzie pomyśleć mogli, że ksiądz kanonik kanyś obrazy zbył. Po wieczery pisanie sporządzę i oddam je waści. A cóż ta waść wie nowego, de publicis?

— Chory leżałem to wiem nie wiele. To już chyba księdzu kanonikowi wiadomo, że królewicz Kazimierz przybył z Litwy i koronę nareszcie przyjąć raczył. Mówią, że pan to dobry, łagodny, w walki z sąsiady wdawał się nie będzie, jeno o ład wewnętrzny dbał.

— A prawda to, co tu u nas gadają, jako dla żydowinów granicę otworzył?

— Tak mówią, prześladowani w Niemczech do nas się chcą schronić, że majątki mają wielgie a państwu siła dobrego obiecują, więc im osiedlać wolno.

— O!

Ksiądz Sędziwój westchnął, po wyrazistej twarzy przesunął się cień.

— Nic dobrego z nimi nie przyjdzie, zobaczy waść. Ot, gdyby żydowinów nie było, nie byłby miał mój malarz kany obrazu w zastaw dać. Pająki to są, pająki, co głupie muchy w sieć łapią i krew z nich ssą a u nas głupich much dosyć, co w sieć polizą. Ot najmiłościwszy pan a... polazł. A no nie mnie sądzić, nie mnie. Widział waść kościół Bożego Ciała? Pod koniec się podobnoś ma budowa.

— Widziałem.

— A historię tego kościoła waść zna?

— Nie.

— Otóż żydowin jeden zakradł się nocą do kościoła ojców Dominikanów i trzy Hostie Przenajświętsze ukradł i w ziemię zakopał, bez te nienawiść do wszystkiego, co Pana Jezusa naszego wyznaje. Należli je potem wiosną, w lat parę, trzy kwiaty na tym miejscu wyrosły, a gdy się kielichy rozwarły, to w każdym jako w puszcze, niepokalana bielą lśniła Hostia święta. I na tym miejscu, gdzie to odnaleziono, stawiać zaczęto kościół Bożego Ciała, a król w on czas panujący, ojciec naszego Kazimierza, Władysław Jagiełło, prześliczną monstrancję na te trzy Hostie znalezione nadesłał. Pod dach już ponoś teraz dochodzi budowa?

— Tak, pobijają już dach blachą mosiężną.

Cisza zaległa przy stole, ksiądz Sędziwój chmurnie w noc ciemną za oknami patrzył, Jur, znużony drogą, senny był, powieki mu się zamykały i z trudem tylko opanowywał znużenie, spostrzegł to wreszcie ksiądz kanonik.

— Waś widzę już żydy wozi i na oczy ledwo patrzy, oj ta młodzież dzisiejsza, byle co ją z nóg zwali. Wraz waści pościelą a ja pisanie wygotuję i do torby włożę.

— Ksiądz kanonik wybaczy, że go już dzisiaj pożegnam i za wszystko serdecznie podziękuję, aleć jutro do dnia, chciałbym być w drodze.

— Z Bogiem, a niech waś drugi raz sercu gadać nie pozwoli i głowy nie naraża. Diabłu waś jeno zratował kamrata, a siebie o mało co nie zaprzepaścił. A niech waś tyż radę dobrą przyjmie i gdyby kiedy jeszcze w życiu, imci pana starostę Podkowińskiego zdybał, to w nogi. Człek to straszny i zemściłby swoją pomyłkę w personie nie byle jako.

Ale Jur, zasypiając, z przyjemnością myślał, iż tam gdzieś w mrocznej głębi bukowego boru, dwoje ludzi raduje się szczęściem odzyskanym. Zaszyli się pewno w lasy, unieśli w jego zieloną głębinę swoją miłość młodą.

Miłość...

Chłopakowi zamajaczyły w pamięci świeciste oczy cyganki, pełne szczęścia i łez.

Miłość.

I dziwne, nie przyśniła mu się Zośka smukła, jędrna, lasem pachnąca, ni Baśka niosąca w fałdach szaty wszystkie wonie wschodu, a w czarnych oczach płomień, jeno Ofki ręka biała, co mu na czole tyle razy spoczywała w czas choroby i taki spokój od niej płynął i taka cisza.

O szarym świtanu jeszcze Jur Bendoński opuścił Sobotę, na rynku wisiały jeszcze ciała dwóch włóczęgów, stercząc ku niebu roz-srebrzonemu świtem, jak dwa pełne grozy wykrzykniki. Jur się przeżegnał i przeleciał koło nich galopem.

Las go ogarniał, cały skąpany w mgle, mroczny, rozszeptany poszumem gałęzi, które wicher północny, ziabem przejmujący, chybotął. Róższepiała się dusza lasu, rozjęczała skargą żalosną w wichury poświście, każde drzewo zdawało się gadkę jakowąś snuć. A od łąk dobiegało przeciągłe nawoływanie czajek:

Ki-wit! Ki-wit!

Tuż nad Jurem, tak nisko, iż niemal w łocie muskały konia skrzydłami, unosiły się czajki gromadą, krążyły mu nad głową, nie-spokojne, natarczywe, rzucając swoje pytające, natrętne, żalosne:

Ki-wit!

Pewno kanyś w trawach guiezda mają i jaja w nich, myślał Jur i bronią.

A czajki odlatywały w srebrzystą mgłę, by wrócić zaraz.

Ki-wit!

Koń szedł po trawie podlesnej łąki i rzał cicho, przyjemność mu może sprawiała dotknięcie rośnych traw, a w Jurze budził się myśliwiec.

Ot, choćby w tę kupę czajek gruchnął z krucicy, możeby mu dały wreszcie spokój z wrzaskiem żalośliwym.

Z pod konia nagle szarak się zerwał i w kilku potężnych susach w gąszczu traw zniknął.

— Do ciebie strzelał nie będę. myślał Jur, twój czas swobody, teraz czas ochrony, ciesz się i ty życiem i wiosną.

Życiem...

Hej jak pachną trawy, młoda, bujną zielenią, jak nawołują ptaki radosne, jaką pełnię życia niesie przedzierając się przez młode liście, wiosenne słońce!

Życie...

Oczy chłopaka płoną, nieznane tęsknoty w duszy się budzą.

Życie...

ROZDZIAŁ XIII.

Pożoga.

— Rebe...

Przygasłe oczy podniosły się z nad księgi i patrzyły chwilę w twarz młodego żyda, pół przytomnym spojrzeniem, wracającym gdzieś z dalekiej krainy snów duszy człowieczej, wreszcie rozświecił je błysk pełnej świadomości.

— Ty Efraimie...

Młodzieniec głową skinął i smukłą rękę na kartach księgi położył.

— Rebe; po północy już, czas spocząć.

— Zostaw mnie, Efraimie, ja, czuwając śpię a śpiąc czuwam. Ja już od życia coraz dalej, chociaż jeszcze żyję, ja już cień mojego dawnego ja...

Starcza głowa, kiwająca się bezwolnie na żyłastej szyi w mdłym rozbłysku oliwnej lampki, wyglądała jak wid, śnieżna broda spadała na czarny atlas kabatu, woskowo żółte ręce spoczywały nieruchomo na skórzanych oparciach gdańskiego fotelu i jego oczy ukryte głęboko w oczodołach, niesamowitym świeciły blaskiem. Rebe Aron ben Akiba ze słynnego rodu cudotwórców i sam cudotwórca, obeznany ze wszystkimi arkanami wiedzy tajemnej, dochodził już wieku stu lat, gdy z

niemieckiej ziemi do Polski się schronił. Trudy podróży podkopały do reszty organizm i Rebe gasł, jako gaśnie lampa, gdy jej zabraknie oliwy.

Rebe jasnowidzem był, rozwinął się w nim ten rzadki dar przyrody w starszym wieku dopiero, oczy jego przybierały wtedy wyraz martwy i przenikający zarazem, utkwione w jeden punkt, zdawały się one jedne skupiać całą żywotną siłę organizmu, powieki cofały się wtedy tak silnie w głąb czaszki, że wróciwszy do przytomności i normalnego życia, Rebe, musiał je nieraz palcami wyciągać. Nie miewał ben Akiba przyszłości dalekiej, zaziemskich zjaw, widywał jeno wypadki, które nadejść miały na kilka dni przed ich przyjściem, a poza ludźmi, którzy umrzeć mieli, widywał światło i siła tego światła pozwalala mu odgadywać, jak rychło śmierć nadejść miała.

I teraz, nagle, starcza jego twarz przerażeniem pobladła, bo poza smukłą, pełną życia i tężyzny młodzieńczej postacią swego sekretarza, dojrzał owe blado-zielonkawe niesamowite promienie. Wydawało mu się, że wydzielając się z sylwetki młodego żyda, przesycają całą izbę tym światłem dziwnym, spokojnym, cichym, światłem śmierci, która nadchodzi.

— Rebe, oprzyj się na mnie i chodź spacerować. Już dawno północ otrąbili z wieży.

— Efraim, czy ty bardzo życie miłujesz?

Po smagłej twarzy młodego żyda przesunął się uśmiech.

— Miłuję je Rebe. W domu żonę mam dobrą, urodną, dzieci zdrowe, błogosławi do-

nowi mojemu Pan, niech pochwalone będzie imię Jego.

— Teraz i przez wieki. Śpią już teraz twoje dzieci Efraimie?

— Śpią.

— Dawno już nie widziałem śpiących dzieci, jeszcze gdy moje własne... dawno, dawno przed dziesiątkami lat, teraz wszystko z tamtej strony, a na tym brzegu ja sam pozostałem, sam, jako ten palec. Zaprowadź mnie do twoich dzieci, Efraimie.

— Pójdź Rebe. Jeno lampę wezmę, bo na schodach ciemno i u nich też, bo śpią już.

Ciężko oparła się starcza ręka na młodzieńczym ramieniu, w ciszy nocnej szłapały pantofle po dyłach podłogi.

— Z progu zobaczę. Dziękuję ci Efraimie, nie wiem dlaczego, chciałbym zobaczyć życie nowe, bujne życie, które się zaczyna. Może dlatego, że we mnie ono dogasa, może. — Nie dokończył, spojrzenie jego przesunęło się z litością wielką po towarzyszu.

Cicho młody żyd rozwarł drzwi alkierza, lampę podniósł wysoko, zdziwiło go, że Rebe zachnął się nagle w tył i drżącą, woskowo żółtą ręką w dłoń mu się wpil.

Przed nimi, w bogato urządzonej komnacie spała rodzina Efraima. W bezładzie kolorowych, jedwabnych poduszek rysowała się młoda, śliczna główka kobieca o ustach rozchylonych w uśmiechu. Ramię od marmuru bielsze garnęło ku sobie, we śnie nawet, tkliwym ruchem macierzyńskiego miłowania, kręta główkę niemowlęcia, jego różany policzek i usteczka poruszające się przez sen przywarły do obnażonej piersi matczynej. Po drugiej stronie kobiety spał dwuletni chłopak

czek, trzymając w tłustych łapinach konika wystruganego z drzewa.

Z uśmiechem bezmiernego miłowania patrzył na tych swoich Efraim, z grozą, graniczącą z obłędem ben Akiba.

Efraim widział sen i jego piękno.

Ben Akiba jednak widział śmierć.

Zielonawe, niesamowite światło i tu pełzało po jedwabiu pościeli, promieniowało z ciał, przesycało ciemność.

— Co ze mną? Co?

Ben Akiba oczy ręką przysłonił, ręką co drżała, jak suchy liść na wichurze.

— Biedak, zmogły go wspomnienia — pomyślał ze współczuciem młody żyd.

— Biedak, jego szczęście jutra nie przeżyje — myślał starzec i dwie łzy wymknęły się mu z pod powiek. I dlaczego oni, oni młodzi, silni, zdrowi, życiu tak bardzo jeszcze przynależni, a nie ja, co tu od lat już jestem, jako cień zbłąkany z tamtego brzegu.

Dlaczego nie ja, o Jahwe!

— Chodźmy.

Młody żyd jeszcze raz obrócił się w progu i wdzięczny obraz śpiących ogarnął spojrzeniem, cichutko zamknęły się drzwi i po dylach podłogi znów powlokły się, ciężko szłapiąc pantoflami, wychudłe nogi starego żyda.

— Idź spocząć Rebe — prosił młody żyd.

— Nie jestem senny, modlić się będę, ty wróć do twoich Efraimie, zostań z nimi, człowiek, nigdy nie wie, skąd grom uderzy.

Młody żyd pobladł, oczy pociemniały wzruszeniem i głos się rwał z piersi łękiem ochrypły.

— Zali widziałeś co Rebe?

— Nic...

— Zali moim co grozi?

— To, co każdemu z nas zawsze grozi Efraimie, nic więcej. Stary już jestem, ciężar tej starości czuję coraz bardziej, widzący jestem, a jednak nic nie wiem, nic! Nic, mój rozum gubi się w dociekaniach, mój ludzki, ograniczony, nieudolny rozum. Idź do twoich Efraimie.

— Rebe.

— Modlić się będę i ty się módl.

Ręka jego ogarnęła dłoń młodego żyda, głos do szeptu spadł.

— Coś idzie, coś niewiadomego. Coś czego nie znam... Idź spać Efraimie, do twoich idź.

Efraim odszedł równie cicho jak przyszedł, jeno teraz niósł i on w sercu trwogę nieznaną.

Rebe stary jest, bardzo stary i majaczy.

Drzwi się zamknęły, zniknęło zielonkawe, mdłe, spokojne światło. Ben Akiba ciężko w gdańskim fotelu usiadł, na skórzanej poręczy oparł woskowo żółte dłonie, pochylił głowę: modlił się.

Za oknami wicher wiosenny się rozhulał, szarpał okiennicę zamkniętą, chybotął płomieniem lampy, wdzierając się w głąb izbicy jakąś niedostrzegalną szparą.

A starcowi się zdawało, że to ktoś w okiennicę puka, głosy jakieś nawołują, coś idzie, cicho, łagodnie na powieki dłonie mu kładzie, a powieki ciężkie się stają snem.

Snem?

Nos się nagle zaostrzył, wgłębiła silnie linia ust, pierś podniosła nagle wysoko, szukając tchu i wtedy jedna z rąk, oderwała się

od poręczy fotelu, kurczowym chwytem palców wpiła się w sukno pokrywające stół.

Lampa drgnęła, zachwiała się, obaliła...

Strumień oliwy popłynął po księgach, wielką plamą wsiąknął w adziamski kobierzec, a w ślad za tym strumieniem pobiegł płomień. Liznął krwawym jęzorem grzbiety świętej księgi, dotknął sukna, spłynął na kobierzec, pochwycił jedwabny kaftan trupa i rozszalał się pożogą.

W mgnieniu oka ogień ogarnął pergamiны, kobierce, przerzucił się na drzwi, wpadł w sień, pochwycił w swoje mocarne szpony schody drewniane, wpełznął do alkierza i rzucił chmurę gryzącego dymu i złote, migotliwe węże płomieni pełzały sycząc, chłoneły obicie ścian, drzewo belek, pochwyciły pościel i złoto-rude włosy Racheli, rozsypane falą...

Jeden Elraim się zbudził, spał jeszcze lekko, niespokojnie, zerwał się, gdy go już dym dusił i parzyły płomienie. Porwał się, by rozszerzonymi śmiertelną grozą oczyma dojrzeć śmierć nadchodzącą w pożodze i runąć.

A płomień szalał, buchnął na zewnątrz, przelał się w ulicę, przez przeżarte, zwęglone do cna okiennice, przez dach, przez ściany rozpadające się nagle w gruz.

Płomień buchnął, złote języki liznęły sąsiedni dach, fontanną iskier, słupem dymu strzeliły ku niebu, szarzącemu pierwszym świtanem, grzający swąd zgłuszył woń bzów i traw rośnych.

A wtedy właśnie Jur Bendoński jechał przez bramę Wroniecką, przez mroczne pierwszym świtem uliczki Poznania i dojrzał owe płomienie lizające dachy.

Jezus, Maryja!

Effendi, ściśnięty kolanami leciał jak wiatr, ostro dzwonił bruk pod kopytami konia i echo budził w ciszy nocnej, a Jur do najbliższego kościoła OO. Dominikanów dopadł, z konia zeskoczył i przywiązał go do odrzwi, zadzwonił, raz, drugi, ręką machnął, jak kot po murze się spisał, jednym uderzeniem pięści szybę wybił i przez gotyckie okno do dzwonnicy się wślizgnął, w kilku skokach na górze był i szarpnął sznury.

Nagle, w szary mrok wstającego ranka, w ciszę sennego miasta, runęła straszna, bezharmonijna, krzykowi grozy podobna, muzyka dzwonów.

Krzyk dzwonów wdzierał się do domostw i budził, budził, budził. Tuby stróżów nocnych łączyły z nimi swój jęk żałosliwy. A burzliwemu kołataniu dzwonów od Dominikanów zawtórowały dzwony u św. Magdaleny i u Katarzynek, odpowiadały jakgdyby płaczem bolesnym, dogłębnym u św. Gotarda, u św. Wojciecha, u św. Jana, na Śródcie, u Najśw. Panny Maryi.

Jurowi ręce mdlały, szalały tętna, ale myśli o tym, że śpiącemu miastu ratunek niesie, dodawała, mnożyła mu siły i dopiero gdy jego wezwaniu odpowiedział chór żałosliwych innych dzwonów, gdy powietrze drgało od ich szarpiącej nerwy, wdzierającej się w mózg, rozgłośniej muzyki, Jur sznur puścił, spoczone czoło rękawem otarł i o ścianę się oparł. Zdawało mu się, że w mózgu jęczą mu dzwony, że ich serca biją w jego sercu, co łopotalo się w piersi równie niespokojnie.

Nagle w zmroku wyłoniła się przed nim postać braciszka od Dominikanów.

— Waść dzwonił?

— Juści ja.

— Anieli chyba waści posłali, dyć cała żydowska dzielnica w ogniu. Jezu, Jezu, co to będzie. Dzięki waści ludzie się rozbudzili, może się co zratować da, a chociaż z żywotem uciec. Wichura taka...

Braciszek za drgające jeszcze sznury ujął.

— A którądy waść wlaź?

— A bez okno.

I znowu dominikańskie dzwony, tym razem wprawna poruszane ręką, złączyły swój spiżowy głos z melodią innych.

A Jur do okna dopadł i spojrzał w dół.

Żydowska dzielnica w ogniu stała, wicher oszalały niósł płomień i dym, jedno morze płomienia i dymu.

Ku Dominikanom wicher gna, lada chwila i ich ogarnie, rąbią ściany obornika, aby się od płonącej dzielnicy odgradzić pustą przestrzenią ale tam, z tego morza ognia raz wraz wzlatują płonące gonty, wirują wichrem porwane, i niosą zarzewie ognia dalej.

Ludzie lecą, wrzeszczą, w pół ubrani, jedni uciekają z płomienia, żywym pochodniom podobni, padają, gasną, drudzy pomoc niosą, wodę podają, zarzucają na palących się mokre płachty. Krzyk, krzyk, straszny, z głębi trzew wyrwany, bólu, męki pełny.

W oczach czerwono od ognia, czy od własnej szalejącej jeszcze wysiłkiem krwi.

-- Effendi! — przypomniał sobie Jur i po ciemnych schodach zbiegł w dół. Effendi rżał niespokojnie i gryzł wędzidło, bo dym snuł się przestrzenią i dławiał.

Gdzież teraz?

Rynek bezpieczny, wiatrów przeciwną stro-

nę, ku wałom ogień gna, do księcia biskupa zatem.

Na podwórzu biskupiego pałacu ruch wrzał, zaprzęgano konie, ładowano beczki i co koń wyskoczy pędzono przez bramę Chwaliszewską po wodę do Warty. Mimo szarzejącego ledwo ranka, wszystko już było na nogach, czerwony odbłysek pożaru o szyby bił. Ksiądz sekretarz drżącymi rękami torbę z listami odebrał a na zapytanie Jura, co ma robić teraz, za okno wskazał:

— Pomagać, jako waść może i umie. Niestety Pan Bóg dopuścił, ale gdybyśmy na nie patrzyli z założonymi rękoma, z nieszczęścia byłaby rozpacz. Ksiądz biskup zaraz pojedzie do świętej Magdaleny Mszę świętą odprawować, by Bóg miłosierny nieszczęście odwrócić raczył.

Jur na kozioł zaprzęzonego właśnie wozu wskoczył i do Warty po wodę pojechał.

Dzień cały i noc cała zesła na ratowaniu, zdawało się wieczorem, że ogień przygasa, wiatr ustał, płomień przycisnął się jak gdyby znużony, wyczerpany walką z wodą i ludźmi.

Bramy biskupiego pałacu rozwarły szeroko, ze stajen wyprowadzono konie, wszędzie w sieniach, w stajniach, w oborach spało bezdomne żydostwo, przygarnięte chrześcijańską litością księdza biskupa. Rozdawano chleb, opatrywano poparzonych. Andrzej z Bnina chodził wśród pogorzalców, pocieszał płaczących, z jego dumnej twarzy patrycjusza zniknął kamienny spokój, dla każdego miał dobre słowo, dla każdego braterską życzliwość.

— Kościół Dominikanów w ogniu! — krzyknął ktoś.

Oczy księdza biskupa pobiegły w dal, ku wieżom dominikańskim, ze wszystkich okien buchał dym i płomień.

Tak miłował te mroczne mury wczesnego gotyku a oto rozpadną się w gruz. Żal ścisnął mu serce. Aleć spojrzał z kłoci na ludzi płaczących: Kościół odbudować można, ale tym tu ich umarłych nikt nie powróci.

Oto młoda żydówka do ziemi przypadła, wgrzyzła się w nią w żałosci wielkiej, tłumiąc jęk.

Pochylił się nad nią:

— Nie rozpaczaj, wszyscy tu jeno wędrowcami jesteśmy i wszyscy spotkamy się kiedyś. Bóg jest nad nami i miłosierdzie Jego czuwa.

Z jej gardła, dławionego rozpaczą, krzyk biegł ochryply:

— Nie ma Boga, gdyby był On i miłosierdzie Jego: przecz zabrałby mi dziatki a mnie ostawił? Przecz? A mój Salamon, małżonek mój! Może też jeno trup a ja żywie, po co?

— Może, by się za nich modlić, może, by twoją modlitwą ich dusze oczyścić, zresztą śmierć jest przeznaczeniem wszystkich nas, wcześniej czy później, zawdy przyjść musi.

A ona w obłędzie rozpaczy, krzyczała:

— Nie ma Boga!

Ale i ona umilkła nagle przejęta grozą, bo powietrzem wstrząsnął jęk jakiś straszny, niesamowity, urwany jęk, który zdawał się płynąć z piersi olbrzyma.

To dzwony u Dominikanów urwały się z przepalonych sznurów i runęły...

To ich serca spiżowe raz ostatni jęknęły nad ludzką niedolą.

Raz ostatni Poznaniowi dzwoniły na trwogę.

I było coś w tym jęku dzwonów, co lękiem wdarło się w serca, ludzkim piersiom jak gdyby nagle zbrakło głosu, urwał się lament żydów zdławiony grozą i w nagłej ciszy słychać było jeno daleki pogłos szalejącego pożaru.

I w ciszy zadźwięczał łagodny, doniosły głos księdza biskupa.

— Bóg jest! Jemu oddajcie swoją nędzę, wasz ból. On jeden pociechę wam zesłać może i ukojenie! On jeden! Módlcie się, miasto płakać. Módlcie się, miasto narzekać.

Zagłuszył go histeryczny głos młodej żydówki:

— Nie ma Boga!

Oburzono się w krąg niej.

— Cicho! siedź!

— Nie bluźnij!

— Nie ty jedna.

— Każdy z nas coś, lule! kogoś stracił, nie bluźnij, bo Bóg karze bluźnicztwo.

A ksiądz biskup pochylił się nad nią i i czarnych włosów dotknął jej włoską dłonią.

— Uspokój się biedaczko. Bóg jest, jeno ty go nie znasz, duszo zbłąkana. Módl się, a ukojenie wstąpi w twoje serce, bo miłosierdzie Boże czuwa i przebacza.

I poszedł dalej nieść łagodne słowa miłowania bliźniego, ale od czasu do czasu spoglądał ku wieżom dominikańskim, jako się powoli w gruz rozpadały.

Nad ranem wichur się zerwał od nowa, zimny wichur i w jednej chwili rozjarzył

EX LIBRIS
WISZOLEK JÓZEF
OLPINY

przypalającą pogorzel, w mgnieniu zniweczył tylogodzinne wysiłki ludzkie i falę ognia przetrzucił w kierunku śródmieścia.

Buchnęły na nowo płomienie, rzuciły się na domy najbliższe, do rana ogarnęły całą połąć Nowego Rynku, wicher dał, roznosił zarzewie, zdało się, że cały Poznań pójdzie z dymem.

U świętej Marii Magdaleny, jak co rano, ksiądz Godziemba wyszedł ze Mszą świętą, kościół zapelniony pogorzalcami; ci co stracili mienie, a jeno żywot zratowali, przyszli szukać ukojenia, przyszli niewiasty pomocy zebrać u tronu Najwyższego.

Na chórze, jako zwykle zjawiała się Ofka, jako zwykle jej cudny głos pociechę niósł zrozpaczonemu, ukojenie, wiarę wąpiącym. Dziś cudniej, jako zwykle śpiewała Ofka, bo serce jej pełne było litości dla bliźnich niedoli, pełne gorącego błagania o miłosierdzie. Doma nikt nie wiedział, że mimo szerzącego się pożaru do kościoła jako zwykle pobięła, wszyscy byli zajęci pakowaniem towaru, cenniejszych rzeczy, o nią nikt się nie troszczył, pomyślała sobie, ja jeno modlić się mogę, jeno w ten sposób ratunek nieść, więc poszła. Zagraj, którego jej Jur ostawił, bo nawykła chodzić, trzymając go za powrozek, napierał się lecieć za nią, więc go w izbie zamknęła.

Zadzwiećczał dzwonek na podniesienie, a nawę przepelniał jeden szloch, dogłębny, wstrząsający, szloch błagania:

Nagle ktoś rzucił:

— Nowy Rynek w ogniu!

— Jezu! Jezu! Jezu!

Szloch przeszedł w krzyk. Starcze ręce

księdza Godziemby drżały, gdy wznosił kielich, z pogodnych zawsze, błękitnych ócz płynęły łzy.

— Jezu! Jezu!

Błagał i on całą duszą.

O szyby uderzył krwawy rozbłysk.

— Goreje..

I nagle krzyk:

— Ratuń się, kto może!

Fala ludzka zmieszała się, stłoczyła, runęła ku wyjściu popychając się, tłocząc, tratując. Służący do Mszy świętej wyrostek, pociągnął księdza Godziembę za ornat.

— Nowy rynek goreje...

Niewidomą z chóru sprowadź i sam się ratuj, ja Mszy świętej dokończę.

Ksiądz staruszek do ołtarza się zwrócił, całą duszę kładąc w modlitwę, a na chórze śpiewała Ofka, jeno organy wtórować przestały, bo organista dawno już chór porzucił. Chłopak chciał spełnić polecenie księdza, aleć tłum go ogarnął, porwał, uniósł sam nie wiedział jak i kiedy znalazł się poza obrębem kościoła.

Ofka słyszała wprawdzie gwar i krzyki, ale słyszała też dobiegający od ołtarza spokojny głos księdza Godziemby i śpiewała, jako zwykle. Po przez opustoszałą nawę odpowiadały sobie te dwa głosy, staryszka księdza i ociemniałej dziewczyny, uzupełniały się, biegły w dal, ku niebu, prośby pełne, gorące. Nagle urwała Ofka pieśń, bo rozległ się brzęk szyb, co popękały w gorącu i rozprysnęły się na kamiennej posadzce w tysiące odłamków, a w ślad za tym runął przez okna gryzący śwąd, dławiący głos dym.

Przerażona, przechylona przez poręcz, na-

sluchiwała trwożliwie w głąb owej nawy, co zdawała się jakgdyby wymarła, serce jej było niepokojem, zwiększającym się z każdą chwilą.

Ksiądz Godziemba skończył Mszę świętą. Przez okno dym walił i zasnuwał wewnątrz coraz większą mgławicą.

Starcze dłonie kapłana zabrały puszkę z komunikantami, szedł w mgławicy dymu, ze złotem monstrancji w podniesionych rękach, całą duszą pogrążony w modlitwie, ratował Pana Jezusa z zagrożonej świątyni.

Jeszcze kilka kroków...

Dym dławi... dławi...

Przed oczyma wirują krwawe koła.

Jezu... Jezu...

Czy też chłopak sprowadził Ofkę, przeniknęło mu w myśli, więc ostatkiem sił zawołał głosem wielkim, co echem w pustym zadzwonił kościele.

— Ofko! Ofko! Ozwij się Ofko!

Echo jeno zadzwoniło żałośliwie:

— Ofko!

Może chłopak ją sprowadził, może sama zesza, przy końcu Mszy świętej nie słyszał już jej głosu, więc opuścił gorejącą już świątynię, wynosząc Pana Jezusa.

Niewidoma dziewczynka, zrozumiaławszy grożące niebezpieczeństwo, pragnęła zejść z chóru, знаła tam przecież każdy zakręt schodów, tyle razy przebywała tę drogę, gryzący dym walący przez okna ogarnął ją i otoczył i doszedłszy połowy schodów zamiast na lewo, zwróciła się na prawo, drżące ręce szukały gorączkowo, niespokojnie poręczy schodów i oślizgiwały się po gładkiej ścianie.

Kamień, gładki, śliski, zimny.

Ach przecież schodziła tędy tyle razy.

Zbłądziła...

Lęk ją ogarniał, straszny, przejmujący lęk, zdawało się jej, że z ciemni wyciąga się ku niej tysiące rąk, za gardło chwyta i dławi.

Słyszała nawoływanie księdza Godziemby, chciała odpowiedzieć, nie mogła, usta otwierały się, nie mogąc przepuścić głosu, ręce coraz niespokojniej osuwały się po gładkiej powierzchni kamieni, szukały, szukały...

I nagle przez tę śmiertelną drogę, przez cały smutek i grozę kalectwa, przesunęła się myśl:

— Oto ci koniec Ofko. Zbłądziłam i drogi odnaleźć nie zdołam, chociaż może jest tu gdzieś o kilka kroków ode mnie, to wyjdźcie zbawcze.

Więc osunęła się na kolana i zaczęła się modlić całą głębią swego czystego serca, całą potęgą swej gorącej wiary, oddawała Bogu życie, oddawała się bez protestu Jego świętej woli. I cisza się w niej stała.

Z żalem pomyślała o dziadku, o Jurze, jak pogląda człowiek odjeżdżający w nieznany, daleki kraj, na swoich ostawionych, na tamtym brzegu. A gorąc stawał się coraz bardziej dławiący, słowa modlitwy rwały się na drżących ustach.

I znów w mierzchnącej świadomości przesunęła się myśl:

— Z ciemności, w światło idziesz Ofko, tam wszyscy widzą.

Już w niej nie ma lęku, jeno radość, radość.

— — — — —
Jur, nadjechał z wodą z Warty, gdy mu ktoś rzucił:

— Na nowy rynek waćpan jedź, święta Magdalena w ogniu.

— Jezu!

Przypomniat sobie, iż na Mszy świętej porannej zawdy śpiewała Ofka i coś mu mówiło, podświadome przeczucie jakieś, że ona tam jest, wyjścia znaleźć nie może i ratunku czeka, czeka na próżno. A przez gotyckie okna Marii Magdaleny walił ogień i dym, bo płonęły już w środku wiązania dachu.

— Ofka, słodka, dobra, biedna, ociemniała Ofka.

Jur opończę zrzucił, w beczce z wodą ją zanurzył, w tej chwili dojrzał, jak z wnętrza wychodził ksiądz Godziemba, w podniesionych dłoniach niosąc Pana Jezusa. Staruszek błogosławił na prawo i lewo i szedł wśród dymu i jęczącego ludu ku Staremu rynkowi.

Jur drogę mu zabiegł.

— Ofka?!

— Wołałem, nie odpowiedziała.

— Była na chórze?

— Była.

Jur cały owinięty w silnie nawodnioną opończę jeno oczy miał wolne i wpadł do kościoła. Schody drewniane na chór wiodące, już płomienie lizały, czarno było od dymu, zapierało dech...

W połowie schodów potknął się na leżącej postaci, porwał ją w ramiona, zawrócił, cała dusza jedną modlitwą była, jednym kor-nem błaganiem.

— Chryste ratuj! Chryste zmiłuj się...

Dopadł bramy, ktoś zarzucił na nich mokre płótno, czyjeś ręce uniosły ich oboje.

Do życia! do życia!

Ratowano omdloną Ofkę, skorzystał z te-

go Jur, by przepaść w tłumie, nie chciał narzucać nowej wdzięczności panu Heltowi a przy tem i jego trudy waliły z nóg, czuł, że runąć musi byle gdzie i wyspać się. Szedł więc w stronę swojej kwatery w biskupim pałacu.

Wiatr przycichł.

Zdawało się, iż gdy ksiądz Godziemba, pana Jezusa z płonącego kościoła wyniósł, huragan, jak pies skarcony położył mu się do nóg. Zawyło jeszcze żałośliwie raz, drugi, rzuciło ku niebu słup dymu, ognia, skier, i nagle ucięło wszystko, jak nagle się roz-pętało.

Lunał deszcz.

Lunał fala.

Czarne chmurzyska nadciągnęły z północy i rzuciły na płonące miasto strumienie wody.

— Ach! — odetchnął z głębi piersi Jur, wchodząc do swojej izdebki — jak się na łóżko zwalę, dyć będę spał, spał!

Po szybach deszcz się zsuwał ulewą.

— Dzięki ci Boże!

W domu Heltów, Strutziłowa na czele sług, pakowała do tobołów rzeczy co cenniejsze, zaprzężone konie czekały przed domem, nie było co zwlekać, lada chwila pożar mógł ogarnąć i Stary Rynek. Pan Helt z Plaitemem uwijali się wraz z pacholkami i służbą, znosząc towar do piwnic, by go jako tako przed pożarem zabezpieczyć. O dziewczętach nikt nie pomyślał, Baśka u okna się kuliła niewyspana, splakana, niespokojna, o Ofce myśleli wszyscy, że się modli w swojej bokówce, nikomu przez myśl nie przeszło,

że poszła jako co rano, śpiewać do świętej Marii Magdaleny. Każdy zresztą swojej roboty patrzył i starał się wykonać ją jak najśpieszniej.

I gdy pan Helt, przystanawszy na chwilę, dojrzał buchającą ogniem i dymem wieżę świętej Magdaleny, ze smutkiem rzekł:

— Jak Bóg się nie zlituje i nieszczęścia nie odwróci, wszystko z dymem pójdzie.

Tego nie przypuszczał nawet, że w tym płonącym kościele jego wnuczka zmaga się ze śmiercią.

A gdy w chwilę później, ktoś przelatując rynkiem, zawołał:

— Waszą Ofkę zratowali od świętej Magdaleny, wiodą ją tu — to pan Helt pierwszy raz w życiu odczuł ciężar starości, bo zesłał tak bardzo, że mu Plaiten poskoczył na pomoc.

ROZDZIAŁ XIV.

Odwrotna strona medalu.

— Dyc wstawaj, waść, cały dzień i całą noc spałeś, jak zabity, dyc czas wstać i zjeść co.

Jur rozespiane oczy utkwili w twarzy pana Wąsowicza i z trudem zbierał rozpieczęte myśli. płątały mu się w głowie wypadki ostatnich dni, jak senne przeżycia, przeszłości już należące i już teraźniejszością zatarte.

Pożoga, Ofka, deszcz...

— Goreje jeszcze?

— Lało bez cały dzień i bez całą noc, taką ulewę Pan Jezus spuścił jakby Poznaniowi ku ocaleniu. Hej, żeby nie ten deszcz, przy tej wichurze, wszystko mogło łącno z dymem pójść. Wyspał się waść?

— Jak król!

Jur się przeciągnął i syknął z bólu.

— A waści co?

— Nic, jeno mnie płomień po plecach poparzył i piecze.

Zaśmiał się Wąsowicz:

— To się waść i naprawdę wyspał jak król, bo jak król się obudzi, to już jakowaś troska u węzłowia stoi i piecze. Wygląda waść, jak diabeł jakowy, czarny cały od dymu i sadzy, narobi się waść nim to zlizie.

Wygasło, wypaliło się, jak pogorzel ostygnie, trza w niej szukać za resztkami ludzkimi, by ich pogrześć przystojnie. Roboty jest moc, sam ksiądz biskup nie próżnuje i nam próżnować nie da. A w dodatku żydostwo nieporządku narobiło, że niech ręka Boska broni trza było wpuszczać do nas to tałatajstwo, chodzą, szwargocą, handlują, robią już na nędzy interes a z nieszczęścia pie-niędzy.

Jur się już porwał, hajdawery wdział, mył a było co i myć, bo jako wróciwszy, od ognia, od sadzy czarny, na łóżko runął, tak i spał, w kilku miejscach skórę miał oparzoną i wzdeptą, piekło go teraz dotkliwie, jakgdyby ogień się pod nią wkraśl. Pan Wąsowicz na łóżku przysiadł i wasa kręcił.

— A waść gdzie się tak poparzył? Na plecach skóra na dłoń zlazła a w portkach dziura, że goliznę nieprzyzwoitą widać.

— Dziura mówi waść?!

— I jaka. Do księdza Godziemby skoczę i oleju lnianego przyniosę.

— I, głupstwo, liznęło mnie, bom w bliskości był, niech się waść nie fatyguje, nie ma co... Gorzej, że hajdawery się rozlatują i kabat nie lepszy, a nowiutkie wszystko było.

Jur, zafrasowany, badał stan swoich pluderków, wyjść w nich nie sposób było, wyciągnął więc ze skrzynki igłę, nawłókl nic tak długą, że mu ledwo ręki do wyciągnięcia starczyło i zabrał się do łatania. Nieporęcznie mu to szło, nic się płatała, rwała co chwila, robiły się na niej węzły, do rozplątnia trudne. A igła, ta maluśka podła igła, wymykała się co chwila z palców, uciekała na podłogę, wlażyła do szpar i przekorna jak każda niewiasta, kazała się szukać.

Pan Wąsowicz na te zmagania z igłą patrzył ubawiony, bo Jurowi czarna czupryna na czoło opadła, usta wydały i wyglądał śmiesznie nad oną robotą. A tu właśnie węzeł się zrobił i ani rusz go rozplatać, ani tą igłą, co jak żywa wciąż się z palców wyslizguje, ani zębami.

— Jezusie ratuj! — stęknął Jur — boć do wieczora ścibał będę. Łatwiej 10 głów ściąć, niżeli jedne hajdawery zaszyć a tu akuratnie w nieprzystojnym miejscu się rozdarło.

— Dajże waść, do księdza Godziemby skoczę, oleju przyniosę a imci panna Godziembianka w mig łatę przywali. A ma waść stare jakowe?

— Jak te kupilem, to stare zostawiłem do reparacji, a że to podle Dominikanów było, to i zgorzały pewnikiem.

— To i przepadły.

— Żeby choć ta igła większa była i nie taka śliska a to takie misterne, że ani nie wiedzieć, jak ją chwycić, bez półczy od końca, zawždy ucieka. Aleć czy się imci panna Godziembianka nie pogniewa o te hajdawery dziurawe?

— Niewiasta jest szczerą, serca dobrego, to jak jej waści niedolę opowiem, pewnikiem się zlituje i waści z opresji wybawi Aleć nowe trza kupić, nie ma co. A ma waść na nie?

— Mam, za sobole od pana Helta dostałem, część jenom wydał na oporządzenie jakie takie, resztę mam.

— Wiem, wiem, grosiwo waść za pazuchą ciśnie i ani ociupinki do Maćka Kostery nie zanieś na miodok, kompanii z nikim waść nie trzyma, źle to.

— Ot, pójdzie teraz na kabat i hajdawę-

ry, a jakbym był przepuścił w kompanii, to czym byłbym teraz goliznę nakrył?

— To by znowu kompania z pomocą przyszła.

— Z pomocą to się ta ludzie nie bardzo kwapia.

— Kanyż to waść tej mądrości nabył?

— Dyć ojcowia to mądrość, nie moja.

Pan Wąsowicz ściągnięte na nowo hajdawery i kabat zabrał a Jur, nie chcąc Pana Boga nagością obrażać, do łóżka wlaźł. Spać mu się już nie chciało, patrzył jak za oknami drobny deszcz siepił z jednostajnie szarego nieba. Jeść mu się chciało, dzień ku południowi się miał a wyposzczony żołądek kruczył a kruczył. Aż się szczęki ścisnęły a ślina napływała do ust.

Ej skopowiny kawałek!

Ze smutkiem myślał o dziurach w kabcie, nowiuśkie to wszystko było, pierwszy raz na sobie miał i ot, zmarniło się... Albo i buty, takie śliczne buty, co na rok mogły wystarczyć bez mała, a skóra na nich opalona i spękana. A na plecach tyż.

I to ja już głupstwo, piecze bo piecze, jakbyś świczkę przyłożył, aleć skóra na plecach narośnie a na butach nie.

Głupstwo, inni więcej stracili.

Byle jeno pan Wąsowicz przyszedł i coś do zjedzenia przyniósł, bo aż mgli od głodu, a na samą myśl o chlebie, skurecz przełyk ścisła a żołądek aż boli.

Na koniu się wytrzymał całą noc, całą noc wodę woził i ledwo skibkę suchego chleba przełknąć zdołał, a wodą z Warty popić, a potem znowu czasu nie było ani nawet o jadle pomyśleć, a cóż dopiero jeść. Ogień prze-

rzucił się na Nowy Rynek i człowiek jeno o drugich myślał, a o sobie docna zapomniał, pragnął jeno siły podwoić, potroić, by jak najwięcej dobrego uczynić, jak najwięcej onej wody zbawczej dowieść, a potem zapłoneła Maria Magdalena. Jur oczy przymknął, bo teraz, gdy mu się przypomniało wszystko, na samą myśl, że Ofka, dobra, słodka Ofka mogła zgorzeć, spazm żalu serce schwycił i oczy zwilgotniały.

Tyż baba ze mnie, dyć jej nie!

Zerwał się i na łóżku siadł, bo mu się zdało, że Wąsowicz wraca, aleć tylko korytarzem ktoś przeszedł, mimo drzwi.

A żołądek kruczył.

Jur marzył, marzył o kromce chleba, o kawału wędzonego boczk, o mendlu jaj gotowanych na twardo.

Nareszcie Wąsowicz się ukazał z hajdawerami przez ramię przerzuconymi, z chlebem, wędliną nałożonym, w rękę, z flaszką z olejem lnianym i bandażami pod pachą.

— O jako mnie obładowali.

— Co za chleb! co za chleb! W życiu takowego nie jadłem — rozkoszował się Jur zatapiając ostre, białe zęby — specjał nie chleb!

— A to waść głodny!

— No, jak wilk!

— Braciszek od księży Dominikanów, mówił księdzu Godziembie, jako waść na dzwonicę wylazł i pierwszy we dzwony uderzył. Prawdać to?

— Ano prawda. Ledwo mi bramę Wrońnicką otworzyli i do Poznania wjechał, a tu widzę płomień się z jednego z domów wydobywa i dachy liże, a tu wichura... Jezus! Co za wichura jakby się całe piekło w tany

puściło. Jezusie, pomyślałem, dzwonów dopaść i budzić. Kościół OO. Dominikanów najbliższy był, wspiałem się po murze, szybem wygniottł kabatem, na dzwonnicy się wdrapał, no i we dzwony. Czasu nie było do stracenia, bo wichur okrutnie wyprawiał harce i każda chwila mogła życia ludzkie kosztować.

Wąsowicz się uśmiechnął i kręcąc wąsa dorzucił:

— A wie waśc mówią takoz, że i Ofkę Heltównę, od św. Magdaleny waśc zratował.

Jur się zaczerwienił. Ale przyznać się, to panu Heltowi nową wdzięczność narzucić i po co?

Dobrzy dla niego byli, jakoż miał nie pośpieszyć w potrzebie?

Ciemne brwi zbiegły się, tworząc nad osadą nosa nierówną linię, gdy głową wstrząsnął niechętnie.

— To ta już gadają po próżnemu.

— Kiedy ksiądz Godziemba mówił, że waśc go o Ofkę rozpytywał, a potem w stronę kościoła gnał.

— Nic nie wiem, może to kto inny był, ja wodę z Warty wozil, przewidziało się księdzu kanonikowi.

— Hym...

Wąsowicz, flaszkę z olejem na stole postawił i płótna kawałek zamaczał.

— Pokaż no waśc te plecy. Grzecznie ci przypiekło, nie ma co, skóra zlazła do żywego.

— Narośnie, nic to...

Ale zęby ściał, bo gdy Wąsowicz olejem smarował, to mu się zdało, że wszystkie gwiazdy zobaczył w dzień jasny. Liźnie, ani

człowiek wie kiedy i taką pamiątkę piekącą ostawi, że no.

— Rękę waśc tyż poparzył.

— Ociupkę.

— Wie waśc co, ostań waśc doma, owinę ci to jako umię, bo ksiądz Godziemba od braci szpitalnych jeszcze nie wrócił i leż se waśc.

— Tyż coś! ze ta trochę piecze, w pie-rzynie bym zaraz gnił, tu trza do roboty.

Kabat ci będzie doskwirał, na ręce skórę zdęło, nie dasz rady robić.

— Dyć na lewej jak zaczę robić, te i naj-prędzej zapomnę.

Ubrał się, ciekawy był na tę robotę nieznaną, a przy tym niepokój w duszy miał, jak tam Ofce...

Nie chciał Wąsowicza rozpytywać, ale niepokój w nim się rozszalał i z izby gnał.

Przypominała mu się miękka dłoń Ofki, gdy w chorobie leżał, ich rozmowy o zmroku, gdy ozdrowieńcem był, jej śpiew, i dusza się rwała do niej, dręczyła obawa, pragnął usłyszeć znowu jej cichy, łagodny głos, zobaczyć uśmiech na jej bladych usteczkach.

Siostra to była miłowana, przyjaciel serdeczny.

Nieraz nie wiemy jak bliskim jest nam ktoś i drogim, jeżeli nie przejdziemy przez obawę utraty go na zawsze. Obawa jest najlepszą miarą uczucia.

W domu pana Heltowym, Jur nabił się w sieniach na jejmość panią Agatę, szła taka zadumana, zapatrzona w niesioną na misie oskubaną kurę, że na pozdrowienie Jura:

— Niech będzie pochwalony, Pan nasz

Jezus Chrystus — zachnęła się w tył i omal miski z kurą nie wypuściła.

— Ach to waść. Od wczora tyle się człowiek strachu rozmaitego najadł, tyle przeżył, że się wszystkiego lęka. Biedni ludzie, biedni ludzie, tylachna ich przez dachu, przez przyodziewy. Właśnie pójdziemy z chlebem do pogorzalców, pójdzie waść może z nami, dźwigać pomoże. Jegomość pan Helt wino dać kazał a i mleka dla dzieci zabierzemy. Jegomość teraz do ratusza poszedł na radę a my doma zbieramy co ta możemy dla pogorzeli. A waszmości co w rękę?

— Sparzyłem, ale to ta nic. Słyszałem jeno, że Ofka w niebezpieczeństwie była i przyszedłem się dowiedzieć co z nią.

Chwyciła się za głowę pani Agata.

— Omal co nie zgorzała u świętej Magdaleny, aleć nie poparzyła się nawet. Mówili przecie, że to ją waść zratował.

— Ja? nie.

— Co ta ludzie zaraz naplotą, mówili, że waść. Jezusie, właśnie pościel pakowała do tobołów, bo już konie czekały, a tu ją niebożatko przywiedli, oj, myślałam, że mi serce pęknie, zawdy na nią niebogą nieszczęście. — A Zagraj waćpana jak się nie rzuci, jak ją lizać zacznie, a wyć żałośnie jak człowiek, to aż coś za gdykę chwytało. Przespała się, głowa ją jeno boli z czadu, aleć to ta nic, chrzanum już natarła, to se ta wacha, chrzan ściągnie. Chce waść do niej, w stołowym siedzi, a Zagraj z nią, a potem pójdzie waść z nami, pomoże, dobrze?

— Pomogę!

Jur w kilku skokach na górę był, ale pod

drzwiami się zatrzymał, tak dziwnie ciężkie stało mu się serce.

— Cie, cie, zdziwił się sam, jakbym bez pole gnał z innymi na wyprzódki.

Pocihutku otworzył drzwi, tak bezgłośnie, że nawet zawiasy nie jęknęły, a jednak Ofka odwróciła głowę i cała ku przodowi podana, słuchała. Do bladej zazwyczaj twarzy rzeczyki uderzył rumieniec, smukła ręka wpiła się w obrożę psa. A Zagraj miarowo uderzał ogonem i zęby szczyrzył przyjaźnie z za zaślinionych warg.

Jur przy drzwiach stał, w pierwszej chwili, gdy ujrzał ją przed sobą całą i zdrową, miał ochotę doskoczyć, za rękę ją pochwycić, przytulić... nie śmiał.

Więc jeno po długiej chwili, gdy ona rzuciła pytanie:

— Jest tu kto?

Odpowiedział prawie szeptem.

— To ja, Jur, przyszedłem zapytać o zdrowie waćpanny.

— O! to waść...

Wyciągnęła do niego ręce, podał jej swoje, wtedy dziewczeczka pobladła.

— Waści co w rękę, owinięta, boli?

— Sparzyłem się wczora, ale to ta nic, nie boli nawet.

Pochyliła główkę i podniosła ją zaraz.

— To waść mnie zratował, prawda?

Milczał.

— Dziękuję waści. Chociaż nie straszno mi było umierać, może byłabym z ciemni poszła w światło, tam pewno nie ma kalek ciemnych, nieszczęśliwych, tam pewno wszyscy widzą. W pierwszej chwili gdy zrozumiałam, że zbłądziłam, że do wyjścia nie

trafię, nie zdołam, ogarnął mnie taki lęk, a potem pomyślałam, że pójdę w światło i lęk zniknął. Zaczęłam się modlić, ogarnął mnie słodki bezwład, radosna jakaś niemoc snu i żal mi było potem, gdy wróciwszy do przytomności, zrozumiałam, że mnie znowu powrócono życiu. Tak mi tam było cicho, spokojnie, dobrze.

— Ale tu może drugim byłoby bez waćpanny gorzko i źle, a człowiek i o drugich myśleć powinien, nie tylko o sobie.

Było takie ciepło uczucia w jego głosie, głębokiego, szczerzego uczucia, że rumieniec rozpalil lica ciemnej dziewczynki.

— Dziękuję waćpanu...

Milczeli oboje, coś ich onieśmiało, ich, co zawsze gwarzyli ze sobą tak swobodnie, otwarcie, serdecznie. Dziewczynka głaskała sierść Zagraja.

— Czy waćpan siedzi? Prosić zapomniam.

— Siedzę...

— Strasznie waści wdzięczna jestem za Zagraja, przyzwyczało się do mnie psisko, a ja do niego. Śmielej mi chodzić, gdy się go za obrozę trzymam.

— Niech waćpannie służy.

Jur, pierwszy raz zwrócił uwagę na marmurową biel i cudny kształt tej ręki, co pieściła uszy Zagraja, pierwszy raz uważnie spojrział na skończenie piękną linię ramion i szyi odebrało mu to zwykłą swobodę, krępowało, onieśmiało.

Gdyby te nieruchome oczy życiem zabłysły...

Zerwał się.

— Pójdę już, pani Agata mówiła, że waćpannę głowa boli, a mnie też robota czeka.

— Jaka?

— Rumowisko mamy rozkopywać, niebożczykowskich ciał szukać, by ich pogrześć przystojnie. Niespokojny byłem, jak waćpannie i ucieszyłem się z serca, że zdrowa.

Zawahał się i dorzucił.

— Prosbę mam do waćpanny.

— No?

— Niechaj to, że ja waćpannę zratowałem, między nami ostanie, dziad waćpanny mógłby myśleć, że to dla wdzięczności jakowej zbrobiłem, a ja, dla tego jeno, że mi waćpanna zawždy była, jak ten przyjaciel serdeczny, najmiłszy.

Ręce jej ucałował porywczo, te białe smukłe, ręce, co tak bezradnie na poręczy gdańskiego fotela wsparcia szukały i wypadł z izby. Zapomniał do cna o obietnicy danej pani Strutzelowej, do dworzan księdza biskupa się przyłączył i pracował wśród dymiących jeszcze zgłiszczy.

Ofka zaś oczy dłońmi zatknęła i szepnęła wśród łez.

— Jezusie. Dyć jestem kaleka, ślepa, zlituj się i opamiętanie mu zeslij... Jemu i... mnie...

— — — — —
Na Ratuszu ksiądz biskup Andrzej z Bni-na Opaliński, zabrał głos.

Sławni rajcowie i szlachetni moi pa-nowie! Ciężko miasto nasze doświadczył Bóg, są sieroty i wdowy, mnóstwo ludzi bez dachu i zaopatrzenia, spłonęły dwie świątynie. Gdybyśmy się dziś żalości poddali i opuścili ręce, nieszczęście mogłoby łatwo przy-

brać rozmiar klęski. W nieszczęściu powinniśmy sobie przypomnieć, owo przykazanie najpiękniejsze, pozostawione nam przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, abyśmy się społecznie miłowali, bracia nasi w niedoli. Nas oszczędził pożar, dobytek nam został i majątności, ich, w godzin kilka, z zasobnych mieszczan, pożoga zmieniła w nędzarzy. Otwórzcie domy wasze sierotom, przygarnijcie wdowy, pomóżcie w odbudowie pogorzalców, pomiędzy ofiarami pogorzeli są i innowiercy, ale Chrystus Pan w człowieku każdym każe nam widzieć jeno bliźniego, więc i dla tych obcych miejmy serca litosne i dłoń szczerą. Pamiętajmy na słowa Chrystusa „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych maluczkich, mnieście uczynili”. Niech niewiasty wasze przejrzą skrzynie i sepety, przyniosą przyodziewę, bo są tacy, co jeno w gieźlach albo li nago z domu uciekli przed pożogą. Ręk nie zakładaj, z pomocą spieszyć, pracę dawać i pieniądze, dzielić się po bratersku. Boć pomyślicie, snadno mogło być, iż gdyby wiatr był zmienił kierunek i my moglibyśmy być tymi, co pomocy czekają. Niech was Bóg miłosierny natchnie miłosierdziem i błogostawia ofiarom waszym i wam.

Amen.

Najstarszy wiekiem, kupiec i radny Ignacy Naramowski, podniósł się i chyląc głowę, przemówił.

— Kupiectwo poznańskie miłuje ten gród i dobro jego leży mu na sercu, jako własne. Każdy z nas chętnie ofiaruje część mienia ku odbudowie mieszkańców dotkniętych pożogą i ku odbudowie świątyń Pańskich, co padły

ofiara płomieni. Cechy ofiarują pracę i da Bóg, mimo nieszczęścia, jakie nawiedziło, nie będzie bezdomnych ku zimie i nędzarzy pośród nas. Mówię to i myślę, że mówię po myśli wszystkich. Od siebie dodaję, że jedną z sierot, chłopca, czy dziewczynę, przysparzę za swoje, wychowam po bożemu i rodzicieli, w każdej zastąpię potrzebę.

— Wiwat! Niech żyje ksiądz biskup! Wiwat! Naramowski!

— Z serca nam waść wyjął odpowiedź.

— Ja także donia przytułek ofiaruję sierotom nieszczęsnym.

Otoczono kołem księdza biskupa. Ksiądz sekretarz ledwo wpisywać zdążył ofiary i obietnice. Zdawało się, że nagle pękły tamy i wylało się po za brzegi wielkie morze miłosierdzia i litości, by ugasić niedolę, jako wpierv deszcz pożar ugasił.

Jeden drugiego pragnął prześcignąć w ofiarności, a Andrzej z Bnina patrząc na te twarze wzruszone, słuchając wykrzykników, sam odczuł pod powiekami wilgoć łez.

Sypnęły się datki na odbudowę.

Andrzej z Bnina myślą ogarniał pogorzel Świętej Magdaleny.

W popiół pewno zamienił pożar zwłoki miłowanego bratanka, był tam, jadąc na ratusz, ściany lada chwila groziły zupełnym zwaleniem, wewnątrz przedstawiało jeden stos niedopałonych belek, spękanych marmurów, w gruz rozspanych ołtarzy.

Dźwignąć, do dawnej chwały przywrócić, chociażby mienia całego ofiarą.

Więc rzucił idąc za tokiem swoich myśli, spokojnie i cicho:

— A ja wam mili moi, własnym sumptem, z gruzów podźwignę Świętą Magdalene.

Ksiądz biskup z ratusza wracał, zastąpili mu w sieniach drogę wysłannicy żydowskiej gminy wyznaniowej, przychodzili podziękować za przytułek, jaki znaleźli, za dobroć, za serce.

Ksiądz biskup słuchał, po dumnej twarzy patrycjusza przesunął się uśmiech, gdy gorąco zapewniał o wdzięczności przedstawiciel gminy.

— Bądźcie jeno o tyle wdzięczni, by krzywdy nie czynić krajowi, który was przyjął, miastu, które was przygarnęło. W niedoli, Poznań, jako macierz był dla was obcych, patrzcież, byście marnotrawnymi nie byli synami. My, dajem nie dla wdzięczności waszej, jeno, spełniając przykazanie Pana naszego Jezusa Chrystusa. Z rady wracam, pomoc otrzymacie taką samą, jak i ogniem poszkodowani mieszkańcy wyznania rzymsko-katolickiego.

Skinął im głową i przeszedł mimo.

Żydzi stali, chwilę szepcząc coś między sobą, wreszcie jeden z nich rzucił:

— Wszystko jedno w czyim imieniu dają, byle dali, a jak dla wdzięczności tego nie czynią, to i lepiej.

ROZDZIAŁ XV.

Powrót.

Ku wieczorowi się miało, ciepły czerwcowy dzień gasnąc, dyszał woniami kwiatów, rozparami łąk, kadzielnicowymi dymami ziół, przyśpieszał bicie serca. Dreszcz rozkoszy ziemię prężył, gdy oślizgiwały się po niej ostatnie promienie słońca.

W domu pana Heltowym siedzieli wszyscy w zagajniku. Mateusz Ridt z panem Heltem w kości grał i miód z cynowego dzbana sączył, a jego piegowata gęba nabierała zwoła koloru miedzianej tarczy. Dziewczęta siedziały na darniowej ławeczce, w chłodniczku osadzonym groszkiem pachnącym i słuchały, jako im Jur opowiadał o swoich kurierskich przygodach. Gdy konia dosiadł i z listami jechał, to wolny się czuł, swobodny, radosny, jako ptak z klatki na słońce puszczone, ale życie dworskie w niczym nie odpowiadało jego naturze. Za mało było w nim pracy, za wiele zawiści, plotek, wzajemnego użerania, fałszywej bigoterii. Dwór księcia biskupa, jak każdy wielkopański, miał chmarę ludzi służebnych, przyczepionych jak kleszcz do barana, pasożytujących na jego skórze. Po pożarze żelazny wysilek księcia biskupa, zmusił tych wszystkich darmozjadów do wy-

datnej pracy, potem jednak zwolna rozprzegło się znowu wszystko, wróciło do starego porządku, a raczej bezładu. Znowu poza służbą zabijano dzień piciem, grą w kości, małymi ułarczkami, co się przy szklanicy kończyły. Służba dla Jura, gdy z listami nie jeździł, zaczynała się i kończyła na wnoszeniu tacy z nalewkami w porze obiadu i wieczery, poza tym czas miał wolny. Usiłowano go z początku wciągnąć do gry w kości, namówić do zabawy w winiarniach, ale Jur wymówił się słowem ojcu danym. Śmiano się z niego, przezywano dziewczuchą, dworowano na potęgę. Z początku gniewało go to, ale potem zobojętniał. Wiekować tu przecież nie będę — myślał. Pan Helt miał od lipca objąć w posiadanie dworzyszczę w borach i Jur dnie leżył z tęsknotą.

Jednego mu jeno było żal, owych wieczorów, spędzanych u pana Helta, owych gawęd serdecznych, śpiewań Ofki i barwnych opowiadań starca, tej atmosfery rodzinnego domu, która go tu ogarniała. Baśka Heltówna podbródek na dłoni wsparła, słuchała, a jej czarne płomienne oczy usiłowały zmusić Jura, by w nie patrzył. On jednak rozmyślnie tych oczu uroczych unikał, co płonęły nad nim jako dwie gwiazdy z nieba nagle spadły.

Groszki pachniały, woniał gdzieś z grędy tymian i lawenda, czar czerwcowego wieczoru duszę motał, w półsen marzenia.

— Ofka zaśpiewaj no co. Ciemno już w kości grać, a ty Basiuła miodu nam przynieś, pusty już dzban.

— Samaś jako miód.

Zaśmiał się Mateusz Ridt, usiłując przy-

chwycić dziewczynę i niemieckim obyczajem, w pół objąć, wymknęła mu się, oczy rozbłyły gniewem.

— Jeszczem nie waćpana.

— Mojaś obiecana.

— Aleć jeszcze nie ślubowana!

— Dziad zezwolił, by było weselisko na dożynki.

— Na dożynki!

Okrzyk zamął w westchnieniu. Już... już... tak rychło.

Uderzyła z całej siły w rękę, osiłując ją przytrzymać:

— Naści na zadatek rozkoszów!

Wypadła z zagajnika, w sieniach głowę w dłoniach ukryła i płakała.

Tak rychło, tak rychło a ona przecie, nie zdoła, nie zdoła.

— Basiu!

Jejmość pani Strutziłowa stała wedle niej i przygarnęła ją do swego pocziwego serca z macierzyńską troskliwością.

— Wie jejmość, w dożynki już ja... ja... ja...

— No?

— Kogo inkszego miłuję!

Wybuchnęła.

— Nie dziwota.

Przyznała pani Strutziłowa i chlipnęła do wtoru, jako, że jej miękkie serce współczuło każdej niedoli, a cóż dopiero miłosnej.

— I cóż będzie?

— Do Warty pójde albo co! — wybuchnęła dziewczyna.

— Basiu, miejże Boga w sercu!

— Do Warty pójde, zobaczy jejmość.

— O Jezu! Jezu! Opamiętaj się Basieńko,

la żadnego chłopca nie warto żywota tracić, ja ci to mówię, jakim Strutziłowa, nie warto!

— Jeden mnie chce, a drugiego ja nie chcę.

— Wie Basia co?

Jejmość pani Agata, nos wytarła z hałasem w róg fartucha i pulchny palec do góry podniosła.

— Pójdziemy do Katarzyny. Katarzyna pomoże, zanieśliemy jej co nie co, a poradzi. Bóg mnie natchnął, jak Katarzyna nie poradzi, to i sam diabeł nie dałby rady.

Heltówna lży otarła, czarne brwi się zbiegły, aż utworzyły prawie równą linię.

— Trza miodu zanieść. Bardzo znać, że beczka?

— Ciemnawo już to i nie bardzo widać.

— Niech się dzieje wola Boża.

— Z czym?

— Ano zaprowadzi jejmość mnie do Katarzyny.

Baśka dzban napelniła miodem, na tacy postawiła i myślała w duszy, truciznę bym ci tak z radością poniosła a nie miód. Ale wraz pomyślała: a za co? Za to, że mnie umiłował? Czy za tę gębę piegowatą i łapy włochate? Ech... Nieszczęście i już.

W ogród poszła.

Dobiegł ją śpiew:

Leci wietrzyk leci
niesie zapach pól,
radość w sercu nieci,
koi ludzki ból,
Leci wietrzyk leci,
gdzieś od Bożych bram,
od słońca, co świeci,
radość niesie nam,
Leci wietrzyk leci...

Ofka urwała, bo przerwał jej krzyk pana Heltowy:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

Starzec zerwał się i trzymając kurczowym zaciśnięciem garści róg stołu, patrzył rozszereżonymi przerażeniem oczyma na ludzką twarz, co się nagle z nad płotu wychyliła i patrzyła gorejącymi oczyma w ogród, w twarz pana Heltową.

— Ociec...

Zadźwięczał wykrzyknik i zamarł w łkaniu, głowa na ręce opadła, a człowiek u płotu, jakgdyby się zapadł, sam w sobie.

— Wilhelm!

Pan Helt podskoczył, jak młodzik płot przesadził i staniając się, postać nędzarza w ramiona pochwycił.

— Wilhelm!

Z rąk Baśki wypadł z brzękiem dzban, patrzyła, przeczuwając, nie rozumiejąc. Jak to, ten nędzarz, ledwo łachmanami okryty miałby być bogatego Helta jedyny syn, ich ojciec... Jezu!

Ofka z darniowej ławy się porwała, a nie widząc odczuła, z pobladłych usteczek wydarł się krzyk, radością nabrzmiały.

— Ociec!

A tamtych dwóch w uścisku się zwarło, nędzarz kolana pana Heltowe objął, wtulił w nie swoją twarz i lkał.

A pan Helt patrzył na tę głowę siwą, tak siwą, jak i jego własna i tulił ją do szalenie bijącego serca, tę głowę, co Bóg wie gdzie się tulała, Bóg wie gdzie się poniewierała.

— Pójdź Wilhelm, Bogu niechaj będą dzięki, iżśśś powrócił.

Wilhelm, przywarł ustami do stóp ojca.

łkanie, zamierające łkanie i znowu głos tamtego, dobry, łagodny, ojcowski:

— Wilhelm, pójdź do domu, pójdź...

— Tyle lat, tyle lat.

— Spójrz, tam za plotem, dziewczuszki twoje.

— Dziewuszki moje... — i pytanie rzucone szeptem, rozdygotanym szeptem trwogi śmiertelnej — a żona?

— Bóg ją już dawno, do swojej chwały powołał.

Piers nędzarza podniosła się, westchnieniem żalu, czy ulgi któż wie... Wstał i teraz już bez oporu, wgląd domu, za Hermanem Heltem szedł. Oczy jego niespokojnie tulały się od ściany do ściany, usta, żuły jakieś słowa niewymówione, co krtań dławili a przedostać się na zewnątrz nie śmiały. Uściskał dziewczęta, niepewnym spojrzeniem po nich powiódł, zdumiała go uroda Baški, przeraziło podobieństwo Ofki z matką, to jakby tamte usta witały go uśmiechem, tamte, dawno zamilkłe na wieki. Jur i Mateusz pożegnali się wraz, bo czuli, że zbędnymi są tu teraz. Herman Helt wnet dziewczęta spać wysłał i zostali wedwóch. Wilhelm, ze srebrnego pucharu miód pił a ręka mu drżała miód się rozchlapał po brodzie. Herman w milczeniu po izbicy chodził, przystawał, zdawało się, iż pytać chce i znów milczącą rozpoczynał wędrówkę. I słyszał było jeno brzęk much kręcących się w okół światła i ich dwóch przyspieszone wzruszeniem oddechy. Wreszcie Wilhelm rzucił szeptem:

— Wróciłem ojciec... nie sam...

— Z kim?

Odpowiedź załamała się w gardle i przedarła ochryplym wyznaniem.

— Przywiódłem ze sobą, syna...

— Herr Jezul!

— Wnuka ci przywiódłem... ojciec, on za moje winy cierpieć nie powinien, jako, że w nich udziału nie miał.

A w duszy Hermana Helta walczyła niechęć z zadowoleniem, wstyd, z radością, firma Helt i syn miała znowu następcę, miała dziedzica.

A obok snuła się spowiedź.

— W Turcji ją poznałem, panie ojciec, rozmiłowałem się w niej, urodna była, och jaka urodna i dla niej wyrzekłem się was, dziedzictwa mego, wiary...

— Wiary!

Wszystko pan Helt mógł darować, prócz tego.

Wilhelm twarz w dłoniach ukrył i ojciec widział jeno ową czuprynę, jako śnieg białą i owe ręce wychudłe na szkielet i te łzy co przez palce ciekły.

— Mów dalej, mów wszystko.

— Miłowałem ojciec, miłowałem nad miarę, postanowiłem zostać. Przeszedłem na mahometanizm, bo trudno mi było inaczej w Turcji azjatyckiej handlować. Doszedłem do poważania, firma moja znana była w Smyrnie szeroko i daleko. Zuleima powiła syna. Byłem szczęśliwy ojciec a przecież, tu, w sercu, ból został, została pamięć. Miłowałem syna, ale miłowałem i dziewczuszki moje, o których myślałem, że ich już nigdy w życiu nie zobaczę i miłowałem wiarę moją, której się wyrzekłem. A potem przyszło nieszczęście jedno za drugim. Zuleima umarła. Zapamiętany w bólu po niej, zaniedbałem interes, wy-

zyskano moje zaufanie, okradziono mnie. Dorabiać się na nowo, walczyć na nowo, gdy jej brakło, nie miałem odwagi, ni ochoty, zabrałem syna, resztki mienia. Zbudziła się w duszy przygłuszona latami tęsknota, zbudziła z olbrzymią mocą chęć pokuty, powrotu do wiary, ojczyzny, domu. Jam wierzył mimo odstępstwa mojego w Jedyne, Prawdziwego Boga, jam winę moją naprawić pragnął, oddać mu siebie i syna. Poszliśmy razem ja i on, wyrostek, czternastolatek, w podróż do Grobu świętego, do Jeruzalem. Ileśmy nędzy przeszli, biedy, przeciwności, ile razy śmierć zaglądała nam w oczy, Bóg jeden wie. Aleśmy szli ku wierze i ojczyźnie. Ja z tym pragnieniem, by tu, choćby pod progiem waszym żywota dokonać, ale synowi nazwisko dać i prawa przywrócić, on, z ciekawością młodości. W Polsce już wstąpiliśmy do Jasnogórskiego klasztoru, raz jeszcze duszę skruszyłem w spowiedzi szczerej, z żywota mojego błędów wszystkich, jako to teraz, przed wami uczyniłem, po raz trzeci, panie ojcze.

W izbie zalegało milczenie. Herman Helt stał wedle kominka z głęboką zmarszczką pośród siwych brwi.

A tamten, nagle na kolana się osunął i wyciągnął ku niemu ręce:

— Pan Bóg mi przez ręce kapłana swojego przebaczył, załi wy, panie ojcze, odmówicie przebaczenia!

— Przebaczyłem ci.

Odpowiedź padła głucho, do szeptu zniżył się głos.

— Oby ci tak przebaczył Bóg miłosierny i ona nieboszczka cnotliwa i miłująca, co

zeszła z tego świata w płakaniu za tobą. Gdzież twój syn?

— Ostawiłem go w oberży.

— Której?

— „Pod trzema wagami”.

— Wraz pacholika po niego poślę. Katoлик, że on?

— W Jeruzalemie, wiarę świętą przyjął.

— Wilhelm,

— Panie ojcze?

— Dobrze jednak iżeś powrócił, iżeś duszy własnej i synowskiej na zatracenie nie ostawił. Ciężko ci było, biedaku?

— Ciężko.

W głuchym łkaniu zerwały się słowa, głowa Wilhelma Helta spoczęła na piersi ojcowskiej.

ROZDZIAŁ XVI.

Wbrew woli.

— Jezusie, nie tak wartko, bo zadyszki dostanę, ledwo ci nadażyć mogę, miarkujże się.

— Daleko jeszcze?

— Jenó patrzeć, jak dach czerwony obaczysz.

— Pani Strutźlowa.

— Dyć nie tak warko, zlitowanie mnie nad moim wiekiem i tuszą, niewiasta ze mnie leciwa, a ciała mi Pan Jezus nie poskapił, zadyszka mnie zaraz bierze, a serce wali jak na odpust.

— Pani Strutźlowa, a jak to grzech.

— Co to za grzech, jakby bez takie grzechy miał święty Pieter apostoł do nieba nie wpuszczać, toć by wszystkie niewiasty przed wrotami niebieskimi ostały, bo każda ma coś takiego na sumieniu. Pamiętam, jak za mojego nieboszczyka, Panie świeć nad jego duszyczką pokorną, za mąż szłam, to tyż włos mu dałam posiekany w kołacz, by się ze mnie rozmiłował na potęgę, no i rozmiłował się.

— Rozmiłował?

— I jak.

— To i teraz możeby włos starczył?

— Kiedy, bo nieboszczyk się ku mnie i tak miał, a imci pan Bendoński, ku Basi się jakoś nie kwapi.

— A nie kwapi.

— A imci pan Mateusz Ridt, znowu się pali, jak łuczywo na wietrze, jednego trza, żeby przyciągło, drugiego odrzuciło. Katarzyna poradzi, zobaczy Basia.

— Jejmość, a może imci pana Mateusza samo odrzuci.

— Niby bez co?

— A no, bo jak pan ojciec wrócił i syna z sobą przywiódł, to on dziedziczyć będzie, a nam jenó spłaty przypadną, dyć my już nie takie bogaczki jako wprzód.

— I jemu się ta do Basi oczy świecą, jak nie przymierzając kotu do spyrki, on ta na pieniądz nie łakomy, zresztą tylachna majątków starczy na was wszystkich. A jakoż się Basi nowy brat zda?

Dziewczyna zwolniła kroku i pytanie wymięła pytaniem:

— A jejmości?

— Urodny, skromny, układny, do serca człowiekowi lgnie.

— Jejmość, a wiele on będzie mieć róków, osiemnaście?

— Widzi się, że tak, już mu grzeczny mech pod nosem puszcza.

— A matusia nasza zmarła dwanaście lat temu, jakoż to?

— Nie myśl no wiele Basiu. Pan Jezus brata ci spuścił, w ciepłych krajach, to wszystko rychłej rośnie, może i chłopak lat nie ma, a wybuchał nad miarę. Może twojego ojca fałszywa wieść doszła o zgonie matczynym i obabił się po raz drugi. Nie wam py-

tać i nie wam sądzić. Rzekł wam jegomość pan Helt starszy, że to wasz ojciec i wasz brat, toć i w porządku wszystko i nima sobie co głowy myśleniem psować.

— Mnie jeno dziwno.

— Owa, nie jedno w życiu dziwne. A ot chałupa Katarzyny, przylepiła się do miejskiego muru nikiel gniazdo, kołatka wisi, zastukaj Basiu.

Na trzykrotny stukot kołatki, drzwi się do wnętrza uchyliły i wyjrzała rozczochrana, siwa głowa staruchy, a jej oczy przejmującym spojrzaniem wpłyły się w urodną, pobladłą wzniesieniem twarzy dziewczyny.

— Waćpanna tak o świtanie, po lubczyku pewno, aleć na co lubczyku, gdy buzia taka urodziwa nad pojęcie, że za wszelakie czary starczy. A jejmość pani Agata, kuma serdeczna, pozwólcie bliżej, honor dla mnie nie lada, w domu was gościć.

Weszły obie do chaty pół mrocznej, w której pęki ziół suszyły się u sufitu, pachniało miętą, lawendą, macierzanką, w okienku kwitły jableczniki i woskowce, a mirty panoszyły się urodą.

— Siadajcież proszę.

Siwe oczy drwiąco patrzyły w dziewczynę, co rozglądawszy się po izbie ukradkiem, stała teraz blada, z oczyma jarzącymi, pełnymi niepokoju i oczekiwania, obszerna gadanina Strutzelowej przelewała się prawie nie słuchana.

— Więc jednego ma przyciągnąć a drugiego odrzucić? — Złośliwy półśmiech drgnął na starczych wargach, przypomniała się jej ehusta podarta zębami Zagraja i młodzieńcza twarz urodziwa nad miarę i pana Mateusza

Ridta piegowata gęba i zrękowiny. — Zaraz waćpannie zioła one ugotuję, jeno niech waćpanna pozór daje, a nie pomiesza.

Do malutkich gąsiorków nalała jakiegoś odwaru, a na ustach miała wciąż uśmiech złośliwy.

— Ten zielonkawy, to na miłość, a ten biały, to na pozbycie się kawalera.

Baśka flaszeczki szybko za gorsem ukryła, złotą sztukę wetknęła w starczą, łapczywie wyciągniętą dłoń i jak wichher leciała do domu, za nią stękając i narzekając dążyła Strutzelowa.

— — — — —
A stara Katarzyna w progu stała i śmiała się w głos.

EX LIBRIS
WSZOLEK JOZEF
OZEPIN

Z bijącym sercem nalewała Baśka miód do pucharków srebrnych, niosąc je dziś nalaną, a nie jako zwykle puste obok pełnego dzbaną. Z bijącym sercem, sączyła przezrzysty płyn do chłodniczka owsianego, który zazwyczaj pijał Jur w one parne wieczory czerwcowe. Bładła i płonęła na przemian, idąc w ogród, a czarne jej oczy nie podnosiły się od tacy. Nagle drgnęła, smagła ręką porwała jej po drodze pucharek z chłodniczką, a chłopięcy głos zadzwonił wesoło:

— La mnie siostrzyczko?

— Adam! Jezusie!

Baśka patrzyła z przerażeniem, jak młodzieńcze usta brata spijały jej miłosny eliksir. A on się skrzywił, pucharek stawiając na tacy:

— Dyc to nie miód.

Baśce mowę zaparło, złość i wzruszenie zatamowało głos, a taca trzęsła się w rękach.

— Na poprawiny, za twoje zdrowie siostrzyczko.

I nim Baśka zdążyła przeszkodzić, młodzieniaszek porwał za ów pucharek dla Mateusza Ridta przeznaczony i wychylił go do dna, a oczy mu się roześmiały weselem:

— Przedni!

Baśce łzy w oczach zalśniły, usta jej drżały, dławiono w gardle, dyć dzisiaj właśnie Jur ostatni raz u nich wieczerzał, jutro o świtanu jechać miał do Borów, by tam, w majątku pana Heltowym, gospodarkę objąć i przepadło! Przepadło!

— Ty niepocziwcze! Ty urwisie! Ty!

Zatchnęło ją.

Chłopak patrzył zdziwiony.

— O tę ociupinkę miodu się tak żłisz? Tyż! Dyć dzban masz pełny jeszcze, na tacy, co z tobą?

— Bodajesz pęk!

— Basiu!

Chłopak wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Żebyś ty wiedziała, jakaś ty teraz brzydka, o jej! Pokaż no się, zupełnie jak młoda wiedźma!

— Idź ty!

Odepchnęła go, tacę z miodem na stole w chłodniczkę postawiła z takim rozmachem, że miód chlapanął z kubków.

I patrząc na Jura, oczyma nagle pełnymi łez, rzuciła:

— A chłodniczek waćpanów, ten wisus, Adam, wypił.

— Niech mu będzie na zdrowie — zaśmiał się Jur, nie rozumiejąc ani gniewu, ani łez Basi i szedł dalej w ogród z Ofką, opowiadając jej jako się z księciem biskupem pożegnał i błogosławieństwo od niego otrzymał, wraz dobrze wyładowaną kieszą.

A Ofka chyląc głowę szepnęła:

— Pusto, tu będzie, przez waćpana, pusto...

— I mnie będzie pusto. Ofko, więcej jeszcze niżeli waćpanie, bo waćpanie ociec zostanie i dziad i brat świeżo zyskany i siostrzyca a mnie tam nikt nie powita, gdy zmęczony po pracy, do dom wrócę.

Głos się dziewczynce załamał a białe dłonie zacisnęły.

— Ach Ofko! Gdybym ja bogatym był!

Drgnęła i szeptem spłynęło pytanie:

— To, co?

— O ciebie bym jeno dziada i ojca prosił. O ciebie jedną! — wybuchnął.

Wstrząsnęła główką a łzy jej wytrysły z pod powiek.

— Dyciem ja kaleka, Jur.

— Patrzyłabyś moimi oczyma.

— Kaleką jestem, kaleką, do szczęścia nie mam praw. Szczęście i miłowanie, to jeno w udziale zdrowym przypaść powinno — myślała Ofka, usiłując przezwyciężyć oną słodcz bezkresną, co serce zalewała falą. Broniła się przed czarem tego głosu kochanego, przed własnego miłowania potęgą.

— Dziad jestem — myślał Jur i wszyscy by rzekli, jako Baśka wtedy, iżem ją dla winy jej wziął, by się bez trudu żoninym dobrem utućzyć.

Ach, niechby myśleli co chcieli, wstawał

w nim bunt, byle mi ją jeno dali, na życie całe. Siostrzyczkę moją białą, gołąbkę umiłowaną, dziewczynkę moją. Nie wiana pragnę, nie dostatków, Bóg mi świadkiem, jeno tej towarzyszki serdecznej, co zawdy zrozumieć, zawdy sercem ogrzać, pocieszyć potrafi. Dyć bym ją brał jako jest, przez wiana i przez dostatków. Chleb bym dla niej i dla siebie zawdy zdobył, bo młody jestem i silny i pracy mi nie strach.

— Ofka...

— Co?

— A gdybym rodziciela o ciebie prosił.

— Cicho... cicho...

— Ofko, siostrzyczko, Ofko, miłowana.

— O Jezu, o Jezu!

— Pomyśl, mieszkalibyśmy sobie kanyś w borze, zdala od ludzi, żyli dla siebie i dla Boga. Ty, moimi oczyma na świat byś patrzyła, ja twoimi w niebo.

— Przestań... Jur.

— Ofko...

— Za rok, jak waść w postanowieniu swoim wytrwa, jak waść niewiasty innej nie pojmie, jak... — głos się w łkaniu załamał.

— Przecz aż za rok? Gdybym urodę twoją miłował jeno, snadnie mogłabyś wątpić, zali ci wytrwam, aleć ja duszę w tobie umiłowalem Ofko, dobroć twoją, łagodność serca. A gdy się w niewieście duszę umiłuje Ofko, nie krasę, to już tego miłowania człek nie zapomni. W grób ono z nim idzie i za grób. Rok w sercu afektu nie odmieni, bo go i wiek nie odmieni, więc przecz z życia sobie wymazywać rok szczęścia?

Milczała. Szli teraz wąską ścieżyną wśród kwitnących róż, mrok się snuł w okół gasną-

cego dnia, pachniały kwiaty, na ratuszu stróż nocny otrąbił godzinę.

Na Ave Maryja uderzyły dzwony, leciał ich głos, kędyś ku temu błękitowi mierzchnącemu, przed Boży tron.

Przyklekli więc na piasku ścieżyny, od-mawiając anielskie pozdrowienie.

A Jur, patrząc na oną główkę złotą, war-koczami ciężką, kornie schyloną, na oną twar-zyczkę rozmodloną, wzruszeniem pobladł, ślubował sobie w duchu, jako miłowaniem swoim wielkim otoczy ją, powiedzie przez życie, jak brat dobry, jak mąż miłujący i tkliwy.

I w ucisk silny zagarnął te dłonie modli-tewnie splecione.

— Na życie całe.

W chłodniczku tymczasem Baśka usiąść musiała, bo ją Mateusz Ridt zatrzymał siłą swoich garści potężnych.

— Dyć uciekasz ode mnie Basiu, jeno miód mi zostawiając na pociechę a ja na miód nie łakomy, mam go doma dość.

Została więc i siedziała przy nim nadąsa-na i chmurna, wodząc oczyma za tamtymi, co się po ścieżkach blakali, jak cienie.

Wilhelm Helt opowiadał o swojej piel-grzymce do grobu Chrystusowego, nagle prze-rwał mu opowiadanie cichy jęk, to Adam obydwoma rękami za brzuch się ułapił, bladł i czerwieniał na przemian.

— Co ci to Adam?

— Rzucił się ku synowi Wilhelm.

— A bo ja wiem, jakby mi kto piłą kisz-ki krajał.

— Możesz się agrestu zielonego najadł?

— Nie panie ojczy.

Jego śliczne, czarne oczy zasły łzami, zęby ściał, brodę na kolanach wsparł i tak trwał.

Baśka się porwała, otoczyła go ramionami.

— Pójdź Adam, do Strutźlowej, jałowcówki ci da, pójdź braciszku.

Lęk w niej dygotał, obłędny lęk. A jak się Katarzyna omyliła i jakiego zielska trującego dała. A jak one dwa płyny razem zmieszane trucizną są...

O Jezus...

— I tak cię nagle wzięło?

Stary pan Helt też się nad wnukiem pochylał z niepokojem.

— Jenom on miód i kisiel, co Baśka, niosła, wypił, wnet mnie zaczęły boleści brać. O jej!

— Pójdź Adam połóż się, Strutźłowa okład robi, wódki ci da — namawiała Baśka, a lzy, lzy rzesiste płynęły po ślicznej twarzyczce.

— Jezusie, dyć to przeze mnie, pewno się w nim one dwa leki pomieszały, kłóci się w nim miłowanie, z niechęcią i rozpiera biedaka. I przypomniło się jej własne życzenie „Bodajęś pękł” a nuż... Co robić, co? Przez nią tak cierpi, przez jej głupotę, przez jej zadawanie się z nieczystą siłą, przez jej nieczne praktyki. Prowadziła brata do domu, ale się jej wyrwał w połowie drogi i w krzewach i kędyś się zawieruszył, więc poleciała do Strutźłowej, w ramiona się jej rzuciła, do potężnej piersi przylgnęła:

— Jejmość nieszczęście! nieszczęście!

Przeraziła się pani Agata:

— Co zaczęła?

— Adam wypił i miód i chłodniczek — za-

niosła się płaczem wielkim — i brzuch go boli, dyć się to pewnikiem w nim kłóci.

— Cichajże Basiu, jałowcówki mu damy, okład z grzanej kaszy zrobimy, nie la niego było przeznaczone, to się ta i uspokoi.

— A jak zemrze — łkała Baśka.

— Nie zemrze, Katarzyna nic takiego nie mogła dać, co by w żywot ludzki godziło, bo śmierć byłaby za to i dla niej. Jeno się one dwa specyfiki zgodzić nie mogą w jednym brzuchu i w tym sęk.

A Adam nadszedł właśnie, zielony jak śliwka nieźrała, jęczący, aleć mu już zelżało trochę.

— Czego Baśka lamentujesz?

— Żal mi cię.

— El a możesz ta co miodu domieszała, boć po nim się zaczęło i teraz sumienie cię rusza.

— Hale domieszała! Widzicie go smarkatego — zabrała głos pani Agata. — To u was, w Turcji może, co do miodu mieszają, nie u nas.

— Pij jałowcówkę, Adam, a głupstw nie pleć.

— A jak to cholera jakowaś?

— Jangrest, nie cholera, widziałam jakieś kole krzaków się plątał. Pij...

— Jakbym ogień połknął. O jej! — Zaczął się śmiać, bo mu kielich jałowcówki do głowy poszedł i zdało mu się nagle, że jejmość pani Agata ma dwa nosy, oba zadarte, oba otworami ku niebu zwrócone, co wielce pociesźnie wyglądało.

— O jejmość, dyć wam drugi tylniak wyrósł!

— Adam! Fyrniak, widzicie go, kanyś ty się gadania uczył, fyrniak.

— A od pana ojca i we stajni od chłopaków, cō z panem ojcem do nas przywędrowali... Jak Boga kocham, dwa nosy macie pani Strutziowa, spojrzycie we zwierciadło.

— Lepiej ci?

— Jak by kto w kieszki ognia nalał, tak grzeje.

— Połóż się i śpij.

— Już ci śpię, bo głowa mi chodzi, jak nie moja, na prawo i lewo.

— A no juści, od serca i od rozumu go wzięło. Oj Basiu, szkoda, że się zmarniło, boć silne było. Pójdziemy chyba jeszcze raz do Katarzyny.

Ale Baśka Heltówna odwróciła się gniewnie.

— Nie chcę, dość się już strachu najadłam, jeszcze mi się serce uspokoić nie może. Widzi jejmość, jaki Adam zielony.

— Nic mu nie będzie.

A Adam zmożony miodem, wódką i bólem, chrapał na potęgę, zielony był jeszcze wprawdzie, ale miłosny napój starej Katarzyny mniej mu już po kiszkać kręcił, bo oddychał spokojniej. W odchylonych drzwiach ukazała się zaniepokojona twarz Wilhelma Helta:

— Jakoż mu ta?

— E nic, jangrestu się pewnikiem najadł, proszę jejmości a nie zwyczajny, to go i po brzuchu kręci. Aleć już popuściło, śpi a nie jęczy.

— Myśli jejmość, że to nic?

— Juści nic.

— A może po księdza Godziembę posłać?

— I kto by ta księdza fatygował do każdego bolibrzucha. Jałowcówka i przez niego poradzi. Niech jegomość jeno spojrzy, jako smaczno śpi.

— A czegoż Baśka płacze?

— Et, Baśkę głowa rozboleła, bo się o Adama zlekła.

— Dobrze ty dziecko.

Wilhelm przygarnął córkę a ona w ramionach ojca rozelkała się na dobre, czując jak bardzo nie zasłużyła na te pieszczoty.

ROZDZIAŁ XVII.

Na swoim.

Jur wstrzymał konia. Przed nim w poświacie gasnącego słońca, widniały słomą szyste, do ziemi przypadłe lepianki, zielenią mchów pokryte, grzybom przeolbrzymim podobne, falowały w rzeźkim powiewie wieczornego wiatru, dojrzewających zbóż łany, znaczył się ciemną, aż granatową linią bór, a jak wstęga ognia w poświacie zachodu, wiła się w dal Warta. Na wzgórzu, dwór modrzewiowy, lśnił oknami, w których słońce rozpalało płomień.

Zachwycone oczy Jura obejmowały niebo broczące porpurą na zachodzie, chmur zwały ciągnące od północy i błądy seledyn na wschodzie.

— Na wiatr się ma, atoli na burzę—przemknęło mu w myśli. A rzeźki wiatr kołysał zboża, ścielił mu je do nóg.

I nagle wstała w nim radość olbrzymia, upojna.

O to tu pracować będzie, tym łanom pszen-nym, chlebem ciężarnym należy jego przyszłość, tym borom tajemniczym, tej ziemi rodnej, miłowanej, ojczystej.

Z kulbaki zeskoczył, uklęknął, czapkę zdarł.

— Boże, dzięki ci czynię z serca pełnego

radości, iżśś mnie przywrócił tej pracy miłowanej, pracy na roli. Błogosław mojemu trudowi, o Chryste.

Pochylił się, gorącymi ustami do traw przylgnął, witał ziemię pocałunkiem, jak syn macierz wita miłowaną.

I ona go witała poszumem zbóż od ziarna ciężkich, wonią ziół, ożywiających w błogosławieństwie wieczornej rosy po spiekłym dniu, dalekim szeptem lasu i rzeki, zdawała się powtarzać mu z pieśczętą: mójżeś ty, mój.

Cisza w nim stawała, do tej w krag panującej, podobna. Radość w nim była, radość z istnienia, radość z czekającej pracy. Wdychał szeroko rozwartymi nozdrzami rozpar tych pól i łąk, rozpar letniego wieczoru, co jako kadzielnicę niewidzialną swoje dymy woni. Bogu-Twórcy śląc je w ofierze.

Zerwał się, bo posłyszał nadjeżdżające wozy. Jechały, wioząc sprzęt rozmaity, dywany, makaty, meble gdańskie, którymi pan Helt urządzić chciał wnętrze dworzyszcza. Dla Ofki...

Dla niego...

Raz pierwszy pomyślał, że siedziba to i przyszyłych dzieci jego.

Slugą tu miałeś być, a oto stałeś się panem.

Czyż nie wszystko jedno, wszystkoć tu moje, bo wszystko mi radość zsyła, wszystko pracy mojej czeka. Sluga, czy pan, upojniej nie mogą pachnąć łąki, ni cudniej niebo barwami grać.

Slugam ja Boży, jako każdy śmiertelny człek, własnością moją wszystko i nic.

Boży ja rab.

— Bory to już? — pytał pacholek, wychylając się z pierwszego wozu.

— Bory, a to dworzyszczę na wzgórzu, prawda? — zwrócił się do nadchodzącego chłopca, gazda to był siwy, rozrosły jako te buki w lesie, rosochaty, od wichru i słońca spalony na kolor miedzi. Szare, bystre oczy patrzyły z pod krzaczastych brwi, ciekawe a nieufne, zaciśnięte usta wolno, z namysłem cedziły słowa.

— Dyc Bory. — Czapkę zdjął, a wiatr rozwiał mu siwy włos.

— Niech będzie pochwalony. Pan nasz Jezus Chrystus.

— Na wieki, wieków. Amen.

— Waść, może nowy posiedziciel?

— U nowego posiedziciela, gospodarz.

— Młodzieńcze.

Uwaga padła podkreślona nie zbyt życzliwym spojrzeniem.

Jur je pochwyił.

— Wolelibyście starszego?

— Bo stateczność z wiekiem się para. A jejmość macie?

— Swobodny jestem.

— Ech...

Splunął. Jur się roześmiał, takie to splunięcie było wymowne.

— Nie w smak wam i to!

— Dyc kawaler we dworze, to w całej wsi niepokój, nie ta z tego dobrego nie będzie.

— Nie markoćcie się, na jesień jejmość będzie mieć dwór, bo mam już dziewczeczkę swoją.

— To i dobrze, nie będzie zgorszenia.

— I tak by nie było, człek człękowi nie równy, a młody młodemu, jeden pracy pa-

trzy, a drugi jeno za spódniczka goni. No jedźmy dalej. Bywajcie ojcie.

Wyciągnął dłoń, stary czarną rękę w polesukmany wytarł i silnym odpowiedział uśmiechem, a wśród brózd ciemnej twarzy uśmiech błysnął, jak błyskawica wśród chmur.

— Ludzkiście człek, niech wam Bóg szczęści na nowej sadybie.

— Bóg zapłać za dobre życzenie.

Effendi pognał, jak wiatr, przed dworem. Jur z konia zeskoczył spojrzeniem objął: szybki od słońca złote, bombiaste słupy, dach czerwony, cztery lipy w ogrodzie, niebosiężne, koronami złęczone i on widok rozległy, co mu się do stóp słał.

— Mój dom!

I w tej myśli zamknęła się cała tęsknota, cała pełń życiowej dążności tego zagonowego szlachcica, dla którego Bóg, dom i Ojczyzna, były to trzy świętości, trzy największe miłowania, trzy cele, skupiające wszystkie jego myśli, wszystkie dążenia, całego żywota pracę i trud.

A od północy chmury waliły czarne, ponure, rechoczące, dalekich gromów pogwarem, błyskające, błękitnymi krzyżami błyskawic. I nagle, zda się, ciemną się rozdarła i ręka jakowaś niewidzialna krzyż czyni w powietrzu, nad światła obrazem, a wszystko wtedy zastyga w bezruchu, nagłym oczekiwaniu, na grom, który kędyś uderzy.

Wicher leciał, gwał drzewa w sadzie, szarpał wyniosłymi lip koronami, rozbijał się o węgły domu. Wozy wtoczyły się pod dach

stodół, Jur Effendiego do stajni powiodł, gdy lunął deszcz strugą.

W izbie stołowej witała go para starych sług, rezydentów dwoje, co wraz z majątnością, nowemu panu przypadli w udziale. Para to była zabawna wielce, on małeńki, okrągły jak beczulka, o czupurnej, czerwonej twarzy, ona, wysoka, chuda, w olbrzymim czepcu białym i okolistym fartuchu, tyce chmielowej podobna.

Na stole stało już jedzenie smakowite, woniejące i butla miodu. Jur o mleko poprosił.

— A no mopanku, przypadliśmy oboje wielmożnemu panu Heltowi z inwentarzem, a jako, że ja, mopanku, się na gospodarce znam, a Martuchna gotuje, że palce lizać, tak kombinuje, że niegorszym jesteśmy, mopanku nabytkiem.

Kończył przemowę Ignacy Kopejko, jejmość wzdychała:

— Całe życie my tu gospodarzyli, całe życie służyli i teraz jako krowy i konie, ostawiono nas inwentarzem.

— Jaśnie oświecony pan podstarości mopanku, wziąć nas nie miał gdzie, to i delibrować nie ma nad czym. Nowy posiadzi-ciel chleba nam nie poskapi i kąta nie pożałuje, gdy nasze mopanku, zalety pozna. Kopejko perła, mówił zawsze pan podstarości, zjadły go sługi, miał tego talatajstwa rozmaitego przy sobie, żeby dziesięć wsi nie starczyło, a nie dwie. Grali mopanku, pili, a Kopejko jeden miał zapracować na to wszystko. A no i poszedł pan podstarości z całą kompanią z torbami. Tak, tak, na dworze chleba szukać, powiesić się tak u

czyjejs poły, jako u jego zawdy się wieszali kompanowie z pod ciemnej gwiazdy.

Jur zajał kurę pysznie przyrządzoną z apetytem wielkim, a widząc oczekujące spojrzenie staruszki, chwalił:

— Pyszna, sama się w ustach rozplywa, a co za podlewa!

Staruszka pokraśniała uciechą, a pan Kopejko palec do góry podniósł:

— O, Martuchna, Martuchna, to jest mopanku, mistrz!

Na dworze wicher wyprawiał harce, raz wraz huk gromów wstrząsnął domem do posad.

Człowiek je, myślał Jur, a tu mogłaby snadno śmierć zajrzeć w oczy. Mały staruszek przestał gadać, Martuchna niespokojnie patrzyła w okno, nie wytrzymała w końcu:

— Waść pozwoli, gromnicę przyniosę i w oknie poświęcę, bo straszno jakoś.

Zniknęła za drzwiami, wróciła po chwili ze świecą zapaloną w rękę i umieściła ją w oknie. Chybał światłem wiatr, wpadając przez okienne szpary, ale gorzało jasno i mniej straszną zdała się burza i błyskawic niesamowity blask mniej upiornie przez szyby wglądał.

Nagle huk pioruna rozległ się gdzieś tak blisko, że Jurowi sztuciec z ręki wypadł, a staruszkowie na kolana padli.

— Jezusie, mopanku, od ognia broń, kanyś blisko wyrznęło. Martuchno, a komin zamknięty?

— Zamknięty mój jegomość. Od ognia, głodu...

Szept litanii wstrząsnął drżącymi wargami. Nagle ktoś zaczął szarpać drzwiami, bić w

nie pięścią, aż zdawało się z zawiasów wylecać. Para staruszków ramionami się zwarła kurczowo, jakgdyby w lęku, że to śmierć dobija się po nich. Jur do drzwi skoczył.

— Kto zacz?

-- Ratuń wasć, piorun mi konie zabił u karocy pacholik tyż, nie wiem, zabit, czy żyw.

Jur drzwi otworzył i chwytając burkę, w progu stanął.

— Służę wasci. Daleko to?

— Ogłuszyło mnie, ociupkę głośnieję.

— Daleko to?!

— Wedle boru.

— To ja pójde takóż.

Ofiarował się też imci pan Kopejko, ale „Martuchna” zakomenderowała, jak wódz przed frontem:

— Ostaniesz.

— Kiej widzi jejmość tam pomocy potrzeba.

— Ostaniesz, stary już jesteś, ani mi się waż, mój jegomość.

— Ostań wasć — zaśmiał się Jur, pospieszając za nieznanym, Szli w milczeniu, wśród potoków deszczu, w oślepiającym ogniu błyskawic. Jur wprowadził łuczywo ze sobą wziął, ale mu je deszcz zagasił zaraz za progiem, brnęli więc po ociemku, a wicher gwizdał w pobok nich, zawodził, do twarzy się im rzucał jak głodny pies.

Od ziemi zapach szedł upojny.

— Powali zboża, ani chybi — myślał Jur, ze smętkiem wspominając owe łany żłate, wichrem rozkołysane, co mu się tak na powitanie kłoniły do stóp. Bóg wie co to z nimi, może ich połamało, w ziem wgniotło, mo-

że nieżrałe ściąć przyjdzie. A oto już हुआ nad nimi bór, straszną muzyką wichru i drzew, jęczały pnie, jak istoty jakieś żywe, zbolale, skarżące się rozpaczliwie. Czasem huk wstrząsnął borem, to któryś z leśnych olbrzymów padał pokonany, grzebiąc niebiosięzną koronę w piachu i tysiące drobnych istnień, pod swoim ciężarem.

— Zaraz tu, widzi wasć, jak się błysnie, to wasć dokładnie zobaczy, latarnia nie zgasła i świeci się u karocy. Widzi wasć?

Krzyczeli obaj a wicher im słowa porывał z ust, wpychał w gardła z powrotem.

Konie leżały martwe, pudło karocy było wywrócone na bok, zaryło się w piach, obok koni leżał człowiek. Jur latarnię odpiął i poświecił mu w twarz, czarna była, jak zwęglone drzewo.

— Dyć tu niema ratunku, wracajmy. Jak burza ustanie przyśle służbę, teraz nic tu po nas.

— Zaczekaj wasć.

Jegomość drżącymi rękami w pudle karocy szukał, snadź znalazł, co mu było potrzeba, bo odetchnął z ulgą, sepety jakowys wyjąwszy.

— Myślałem, że go lęk o człowieka gna, a on widać o pieniądze się markocił — myślał Jur.

Wracali śpieszniej jeszcze, jakgdyby śmierć ich gnała, co tamtych dosięgła.

Deszcz ustawał, przycichł i pogłos gromów grał gdzieś daleko już. Weszli w dom. Jur, przemokniętą burkę zrzucił i do nieznanego się zwrócił:

— Gość w dom. Bóg w dom, proszę rozgość się wasć.

Przemknęło mu w pamięci, że już widział kanyś te oczy błękitne, wypukłe, okrutne w wyrazie, tę apoplektyczną, krótką szyję.

Gdzie?

Tyle twarzy ludzkich przewinęło mu się przed oczyma w ostatnich kilku miesiącach, że wspomnieć nie mógł.

A tamten też w twarz swojego gospodarza spojrział ciekawie i cofnął się nagle, a wylupiające oczy przybrały wyraz zdziwienia.

— Kurier księcia biskupa, sobowtór kasztelanica, cygański adwokat... Piekło waści wypuło, czyś żywy człek?

Jur wiedział już, z kim ma do czynienia i ledwo dostrzegalny uśmiech na ustach mu drgnął:

— Domu tego gospodarz.

— Aboż może być trzech ludzi, tak sobie podobnych, iż ich rozeznac niepodobna. Diabelska sprawa.

— Domu tego gospodarz powiedziałem waści, co nie wyklucza, iżem z kurierem księcia biskupa, persona jedna.

Więc to przecie waść.

— Ja sam.

— Wie waść, że ślubowałem sobie, za on despekt, za on żart niewczesny, rozsiekąć waści przy pierwszej okazji.

Wypukłe oczy zaszyły blachmanem.

— Byłaby to w Polsce niepraktykowana odplata za gościnność. Jejmość pani Marto, wiecznę jakową. Miodu pan starosta pozwoli?

— I ja mam z waścią u jednego stołu siąść?

— Tak Bóg rozporządził panie starosto. Suponuję, lepiej ze mną przy stole, jako z takim, przy karocy, a snadno mogło być i tak.

— A no juści.—Pan starosta odsapnął. — Szczęście waść ma, że śmierć była nade mną i tak mi serce zmiękło, jak ona szmata na deszczu. Waść mnie w opresji zratował... ale jakoż ślubu nie dotrzymać? Podkowiński sum! — Słowo moje było dotąd jak mur.

— I mury się kruszą, panie starosto.

— Juści, ale co Bogu obiecane, to obiecane. Chyba by w niebie uciechy z wypełnienia onej obietnicy nie było, to grzechu nie będzie, jak się jej nie dotrzyma.

Pan starosta miód pił, wiecznę zajadał, ale od czasu do czasu oczy jego wybaluszone niepomiernie spoczywały na twarzy młodego gospodarza.

— Ślubowania nie dotrzymać, jakoż to? Jako?

I może więcej niżeli onego zabitego sługi, więcej nawet niżeli dwóch koni padłych, żał mu było, iż mu się ona pomsta z pod ręki „wypnęła”, bo twardą miał duszę pan starosta i twardą rękę, mózg zato, nie bardzo sprawny.

Gdy burza minęła, Jur, ze służbą pod las poszli, pan starosta iść nie mógł, bo mu fityga a raczej miód, nogi podciął. Został więc w izbie nad dzbanem i pozierając od czasu do czasu na odłożoną szablę, łeb krótko ostrzyżony pocierał dłonią i mruczał żałośliwie.

— Wypnęło się.

A Jur idąc spać, myślał chwilę o czarnej twarzy parobka śpiącego swój ostatni sen na słomie w stodole, o panu staroście, co w stółowej na łożu leżąc, gadał do ścian i krzesel.

jak do ludzi, kłął i wymyślał i przez chwilę nasunęła mu się myśl trwożna. Zły omen, trup w domu i wróg w domu, ledwom przestąpił prób.

Aleć przypomniał mu się z kolei śpiew Ofki, zdawało mu się, że jej łagodny głos powtarza mu w duszy pieśń, którą tak często śpiewała:

Ostoją twoją wielki Bóg.
Pod Jego pieczę, pozbadź trwóg.
— nie wejdzie złe w jej chaty próg.
gdy w duszy twojej mieszka Bóg.

Więc do pacierzy uklęknął, a przez otwarte okno wpływała woń nocy upojna, rzeźka woń świata omytego w burzy i gwiazd spokojny, migotliwy blask.

— Ojcie mój, Boże mój — modlił się z głębi serca Jur. — Błogosław pracy mojej, błogosław domowi mojemu, błogosław mojemu miłowaniu i tym, którzy tu po mnie przyjdą, o Boże!

I spokój ciszą wielką objął duszę człowieka, każda jego myśl do snu zdrowego kotłowała.

— Jakież jest? Jaki?

— Ma duże, szare, zdziwione oczy, tak ciekawie rozglądają się wokoło, ma takie małe, różowe uczteczka, taki śmieszny malusieńki nosek, jakby w środku buzi fasoli ziarno przylepił. Okropnie jest urodziwy.

— Mówiła babka, jako kolerycznego temperamentu będzie, bo czerwony na ten świat Boży przyszedł, a teraz jakowy jest?

Jur Bendoński patrzył w buzię niemowlęcia, które ostrożnie na rękach wyciągniętych trzymał, buzia to była pulchna, czerwona z

pomarańczowym odcieniem, przechodzącym u skroni w barwę cytryny, jako zwykle u niemowląt w pierwszych dniach życia.

— Teraz jest... lisowaty — określił wreszcie.

— Lisowaty...

Ofka nie mogła go sobie wyobrazić, smukłe jej palce daremnie błądziły po ciałku, odczuwały pulchność kształtu, nie mogły pochwycić jednak tego, co wdzięk dziecka tworzy największy, kolorytu i wyrazu.

— Jakież on jest?

Gdy go tuliła do piersi mlekiem wezbrałej, gdy czuła dotyk tych drobnych, gorących, nigdy nie sytych warg, usiłowała go sobie wyobrazić i nie mogła. Jego płacz, to ciche, bezradne kwilenie, nie mówiło jeszcze nic, nie przejawiała się przez niego dusza, którą odczuć i zrozumieć można.

Jakież on jest?

Biedna, młoda matka daremnie rozpytywała wszystkich, dojrzeć go nie mogła.

Ten rok, który minął, jakże radosny był, jakim królewskim darem nieba w jej biednym istnieniu, było to serce miłujące jej duszę. Sen to był, sen o raj.

A oto teraz największe szczęście kobiety, największy niebios i życia dar i ona wobec niego taka bezradna i biedna.

— Jur.

— Co Ofko?

— Daj mi go.

Wzięła go z rąk Jura ostrożnie, przygarnęła, czuła obok siebie ciepło tego dziecięcego ciała i łzy wezbrały jej pod powiekami i płynąć zaczęły jedna za drugą, bolesne, ciche, do wstrzymania trudne. A Jur pochylił

się ku niej i gładząc jasne, po poduszkach rozsypane warkocze, mówił miękko.

— Co ci to kochanie! Co ci to?

— E nic, tak sobie, słaba jeszcze jestem, to i maże się o byle co. I pan ociec pisał, jako Strużłowa przyjedzie? — Usiłowała odwrócić jego uwagę od onych łez co płynęły.

— Dziś, jutro tu będzie.

— I ostanie póki mały nie odrośnie?

— Ostanie.

— Bo... pomyśl, ja go przecież widzieć nie mogę.

— Głos się jej załamał.

— Malutka ty moja, przyjacielu serdeczny, Strużłowa ci go dopilnuje, jak swego. Nie martw się jeno. Zdrowiej, zdrowiej dla mnie, dla niego.

— Ja się nie martwię. Jur, jeno, jeno...

— Cicho malutka, cicho kochaniatko, ty moje serdeczne.

— Otarła łzy i uśmiechnęła się, przyciągając jego rękę do ust.

— O Jur! proszę mam do ciebie, proszę wielką.

— No malutka?

— Pan ociec tyle o Częstochowie opowiadał i ja pragnęłabym... pójdźmy tam Jur, jak z pół uprzątną... Pójdźmy Panu Bogu i Matce Najświętszej podziękować za ono dzieciątko maluskie, za to miłowanie nasze, za wszystko. A może, pan ociec mówił, wielu tam ludzi odzyskało zdrowie... może...

Nie mogła dokończyć, przytuliła głowę do ramienia, które ją obejmowało z miłością wielką i płakała cicho.

— Pójdziemy kochanie.

— Moc Boża wielka jest.

— Miłaś mi Ofko zawdy i miłszą już być nie możesz.

— Takbym go chciała zobaczyć.

— Moc Boża wielka jest i silną powinna być nasza wiara. Pójdziemy kochanie.

— Pani Agata zlażila z powózki a wyglądała jak grzyb jakowyś olbrzymi, tak w chusty była opakowana pomimo ciepłej pory roku i taki miała olbrzymi, biały czepek. Złażąc z bryczki rozglądała się już w okół z ciekawością wielką, policzyła kaczki trzepoczące się na stawku przed domem, dojrzała gęsi na łączce, spostrzegła starannie piaskiem wysypane ścieżyny i krzewy róż przed ganikiem.

Wcale... wcale...

Jur na powitanie wyszedł, w rękę tłustą ją pocałował i pomógł się do reszty wygramolić z bryki, spostrzegła, że się rozrósł i zmężniał.

— Gorąco. — Rozdziewając się z chusty, odfuknęła. — A kanyż Ofka?

— Zległa, syna nam Pan Jezus dał. Zdrowego, silnego syna.

— A to ci dobra nowina, powinszować waści, niechże się chowa zdrowo ojczyźnie i rodzicielom na pożytek i imieniowi przysporzy splendoru. No to się i spóźniłam, ale Baśka właśnie tyż, córkę im Pan Jezus dał, cała jak ojciec, biała i ruda, jeno piegów jescie nima, bo słońca nie widziała. Baśka mówię waści, jak odmieniona, tak jej to dziecko było potrzebne, taka radosna jest, jako od zamażpójścia nigdy nie bywała. Ale niech Bóg broni, żeby kto rzekł, że Marysia ruda, Marysia ma włoski nikiel słoneczko i już,

Pójdziemy do Ofki, jeno odsapnę. Strasznie mnie strzęsło, mówię waści, czuję, jak mi się wątroba odtłukła a każda kość osobno chodzi, Jezusie nie w moich leciach takowe podróże!

Po ścianach spojrzała, kobierczykami zdobnych, po izbie stołowej, pełnej słońca, lśniły w niej dyle sosnowej podłogi, meble były gdańskie z ciemnego dębu i odcinały się ostrą sylwetką od ścian białych. Na drzwiach obraz Bogarodzicy wisiał i czerwono płonęła lampka oliwna.

— Miluško macie. Jakoż Ofce biedusi gospodarowanie idzie?

— Lepiej jak niejednej co widzi, a dojrzyć się jej nie chce. Szczerze wdzięczny jestem jejmości, że przyjechała. Ofka na obcych spuścić się boi a sama praktyki nie ma.

— Nabędzie; przy pierwszym dziecku, to każdy jak tabaka w rogu, przy drugim to już lżej, a potem to i z zamkniętymi oczyma matka se poradzi, bo umie.

— Właśnie, a teraz jejmość jej pomoże.

— A no to się wi. Miałam swoich robaczków osiemnaścioro i wszystkie na Bożej roli... taki los. Uf, każ mi waść przynieść mlika kapkę, schlipnę i ochłodzę się trochę, bo topię się jak masło na patelni.

— Na co jejmość tyle chust ubrała?

— W drodze człowiek nigdy nie wie co może być, ostudzi się, deszcz nagły przyjdzie, burza atoli co. Zawszy lepiej dźwigać, jak ścigać. Czerwona twarz Strutzelowej świeciła się potem, zmęczona była naprawdę, z radością też ujrzała w progu surową twarz Marty, niosącej dzban mleka, chleb z masłem i pięknie pokrajane plastry wędzonki.

Dwie kobiety spojrzały na siebie nie zbyt przyjaźnie.

„Martuchna” w obawie, że owa jejmość, nos jej wszędzie wścił, patrzyła na panią Agatę nieufnie.

— W rękę jej przecież całować nie będę, nie jejmość ona żadna, jeno sługa zaufana, jako i ja — myślała Marta, ale, że miała na sumieniu trochę jaj i parę kwart masła, co zawdy jakoś zamiast do dworu wsiąkały w czworaki, więc w końcu cmoknęła Strutzelową w łapę, bo zawdy lepiej dobre mieć oko u jejmości. Pani Agata rozpromieniła się w miłym uśmiechu, z przyjemnością byłaby wystawiła i drugą rękę, jako, że strasznie lubiła wszelakie honory. Rozgadała się też zaraz o dawnych czasach, jako to Ofce zawdy była jako matka i popijając mleko, byłaby tak gwarzyła w nieskończoność, gdyby jej Jur nie był przypominał:

— Jejmość, a kiedyż pójdziemy ku Ofce?

— Zapomniałam do cna. A chodźmy, chodźmy.

Jur, który trochę niechętnie tej gadaniny słuchał, myśląc, iż jedna baba więcej hałasu narobić może, jak młyn w ruch puszczony, ulagodził się widząc, jako serdecznie przygarnęła Ofkę, a małego zaczęła husiać, schlebiać mu a śmiać się do niego, aż i na pulchnej, małej buzi uśmiech się ukazał.

— Ciel! Ciel! Toś spisała, chłop jak dąb, a jako się to już do niewiast śmieje, o ty zawalidrogo maciupęńki. A Baśka ma córkę, wiesz, bez to się spóźniłam, bo jakoż ją tak było ostawić, sama powiedz, w jednakowej byłyscie opresji. Cały imci pan Mateusz a twoje to cały dziad dobrodziej, cały jegomość

pan Helt. Takie oczy, taki nos, ho, ho, dziada konterfekt wielce udatny. Z imci pana Bendońskiego to jeno włosy czarne wziął i usta jego.

Zaśmiała się Ofka, czasu choroby pierwszy raz i uśmiechnął się Jur, uszczęśliwiony jej weselem.

— A Jur mówił, jako ma nos, jako ziarno fasoli.

— Hale! hale! Ziarno fasoli, tyż coś, będzie miał pana dziada nos z kostką wielką, rzymski, czy jak go ta zwią, gotycki nos.

— A Jur mówił...

— Co się ta imci pan Bendoński na dzieciach rozumie i na ich urodzie.

— Jur mówił, że lisowaty jest.

Oburzyła się pani Agata.

— Tyż, żeby tak ociec, dziecko rodzone posponował, jako krew z mlikiem, jako różyczka. Chłopak na schwał, mówię, ci, wazy z ośm funtów, jak dobra ćwiartka cielęciny. Miałas go na rękach?

— Miałam, ciężki bo jest.

— No a pulchny, jak tuczna gęś, a śmieje się, ślicznie się śmieje. Kazali cię wszyscy ucałować, pan dziad i pan ociec, Adam i Baśka a imci panu Bendońskiemu kazali rzec, żeby z miłą chęcią na polowanie się w jesieni wybrali.

— Dość zwierza w boru, na kaczki by przyjechali jesienią, na słomki, hej jest tego, z łukiem podchodzę.

— Kościół macie?

— O, do kościoła daleko, pół dnia końmi, aleć odprawiamy nabożeństwa u figury pod dworu, schodzi się co wieczora cała wieś, i

odmawiamy litanie, naród za Ofką pieśni nabożne śpiewa.

— A małego kto do chrztu świętego poniesie?

Uśmiechnęła się Ofka.

— A no któżby, jejmość pani Strutłowa z dziadem.

— Jezusie! ja? Z jegomością?

Dla dziewcząt była jako matka dobra, aleć taki honor, z samym Hermanem Heltem w kumy.

— Dyc to honor niezasłużony Ofko.

— Zawdy nam sierotom, jejmość była jako matka dobra, więc się jej ten honor z prawa należy.

— Ciel! ciel! W kumy z samym jegomością. Ofko, serce, jużes mi ta większej radości sprawić nie mogła. Bóg ci zapłać dziecko.

ROZDZIAŁ XVIII.

Zaraza.

Wiosną mieli iść Bendońscy w oną pielgrzymkę Bogu obiecaną, aleć roztopy były okrutne. Warta z brzegów wystąpiła, rozlała się szeroko i daleko, a gdy wreszcie opadła, to tyle ryb zostawiła po polach, tyle rozmaitej padliny, że choć ludzie z pługami szli i zaorywali on nawóz w ziem świętą, nie wiele to pomagało. żarne słońce majowe wydobywało rozpar z onych pól i włókl wiatr ku chałupom straszny odór rozkładem pochwyconego ścierva.

Wojtek od Padliców, pół głupi wyrostek, krowy pał w łęgach, na trawie leżał i na

fujarce grał, ku zachodowi się miało i wlokły się od rzeki mgły wieczorne, pełzały wśród krzewin, jak jakieś postacie pokraczne, chyłkiem skradające się ku chałupom, w on zachód złoty. Nagle chłopak dojrzał w owych mgłach postać wyraźniejszą, zdawała się snuć wśród mgły, przeciekać przez pnienie, chłopcu fujarka wypadła z ręki, niesamowity lęk włosy zjeżył.

Postać szła, płynęła nad murawą, prosto ku Wojtkowi i ku wsi. Chłopak widział krwawy lachman w jej ręce, mieniący się w zachodu poświacie.

— Zajrzę jej w twarz — pomyślał, bo była tuż i nagle ujrzał, że w tych białych chustach, co powietrzem się snuły, jak tuman mgły, twarzy nie było.

Zostawił krowy i jak opętany lękiem, ku chałupom gnał, zdawało mu się, że widmo płynie za nim, coraz bliżej, bliżej, niewidzialną ręką za kabat chwyta.

To Jur Bendoński za kołnierz go chwycił, w pół obłąkane oczy spojrzał.

— O jegomość.

— Gdzieś krowy ostawił?

— Hań nad rzeką.

— A ty gdzie?

— O Jezusie! Nigdzie, jeno za mną leciało coś, leciało od łęgów, człowiek nie człowiek, mgła nie mgła, coś straszego mój jegomość.

— Przywidziało ci się.

— Śmierć to była, mój jegomość, twarzy, to nie miało a szło, i machało krwawym strzępem ku wsi.

Z oczu chłopaka wyglądał taki śmiertelny lęk, dygotał cały i ociekał potem i coś z te-

go lęku opanowało i duszę Jura, otrząsał się.

— Idź do jejmości to ci miodu da, skrzepisz się, a potem idź do chałupy i legnij, choryś czy co.

— Na fujarcem grał, a tu naraz... Trzęsie mnie, strasznie mnie trzęsie, co to było, mój jegomość?

Jur ramionami ruszył.

— Mgła od rzeki ciągała, albo zdrzemnąłeś może.

Chłopak głowę w ramiona wtulił, jakby go jeszcze zaleciał chłód od tej dziwnej postaci płynącej.

— Nie mój jegomość...

— Powiem Grzeli, żeby do krów poszedł, a ty zlegnij.

Wojtek Padlica do chałupy poleciał i do drugiego rana zmarł, a sine plamy wystąpiły mu na twarz i ręce, straszny znak onej pani białej.

Zaraza morowa.

Biała pani o białej chuście.

Lęk padł na wieś, bo od przejścia onej martwicy, dnia nie było bez pogrzebu, ludzie padali, jak muchy, pochwycone zamrozem. Były chałupy, w których w ciągu kilku dni do cna wymarli mieszkańcy i stały teraz glucho, zabite deskami, martwe domy, martwych ludzi.

We dworze kadzono jałowcem rzucanym na rozrzarzone węgle, rozwieszała Strutzłowa w izbach chustki w occie maczane, żeby jeno powietrze jakoś odświeżyć. Wieczór, o słońca zachodzie zbierała się cała wieś pod krzyżem na wzgórk, śpiewano, modlono się

pod przewodnictwem Ofki, do białego rana nieraz.

Jur musiał użyć całej swojej wymowy, całej młodej energii, by ludzi do pracy zachęcić, padały im ręce pod nawalem nieszczęść, opadały bezwolnie.

Siać, sadzić?

Dla kogo?

Na co?

Zali wiem czy jutro nie na mnie kolej?

Zali będę jadł chleb z onego zboża co urośnie?

Zali wiem, czy jutro ziemia nie nasyci mi gęby, miasto chleba?

Zżywał się Jur.

— Alboż i bez zarazy człowiek wiekiedy jego ostatnia godzina nadejdzie? Jak żołnierzowi cofnąć się nie wolno, tak rolnikowi spoczywać. Bóg dopuścił nieszczęście, toć tym bardziej modlić się trza i pracować, by go przebłagać, bo praca też jest modlitwą, może najpiękniejszą. Może Bogu najmiłą. Prawdać jest, że może i nasze usta jutro zatknąć ziemia czarna, aleć czy jeno dla siebie pracuje człek? Czy jeno o sobie myśleć ma? O siebie dbać? Pracujmy z myślą o drugich, bo ze zmarnowanych godzin Bóg porachunku żąda. Trza sadzić, siać, dozwoli Bóg żyć, to sami zażyjemy plonów naszej pracy, wybije nasza ostatnia godzina, to będą mieli pożytek z naszej pracy ci, co po nas przyjdą a my weźmiemy z sobą poczucie spełnionego obowiązku.

Ponure oczy chłopów, rozjaśnił błysk:

— Juści.

— Dobrze mówią jegomość.

A w głosie Jura dźwięczał zapal, który porywa:

— Ziemia pracy czeka, czeka naszych rąk a wy co? Śmierci czekacie jak baby. Popatrzcie jako chwastami zarasta rola, nie boli was serce, że się tak marni? Nie wstyd, że wam?

— Juści, że wstyd.

— Roboty tyła z pochówkami.

— Ot dziś dwa pochówki już były, dziewczyna od Jagoniów i stary Jaglarz, znowu jedna chałupa wymarła do cna.

— Bóg o nas zapomniał.

— Jako i my zapomnieliśmy o pracy. Na modły przychodzicie prawda, aleć i pijecie na pochówkach, jakbyście rozum i siłę do cna zalać chcieli. A do człeka pijanego diabeł dostęp ma, z pochówku wracacie i na rozpustę idziecie.

A no mój jegomość, trza użyć chociaż na ostatek — burknął ktoś.

— Żeby diabłu duszę oddać, a nie Panu Bogu. Próżniactwo was żre, do pracy się wziąć, do pracy, ludzie.

— Dobrze ta jegomości gadać, bo Bogu dzięki, zaraza ominęła dwór, wszystkich macie jakoście mieli.

— A my...

Lament bab się podniósł, szloch rozpaczy bezsilnej i bezsilnością swoją strasznej.

— O Jezu! Jezu! Jezu!

— Ósmą chałupę my dzisiaj zabili deskami.

— U mnie dwoje leży.

— O Jezu! O Jezu! Jezu!

— Módlmy się kochani — zadzwonił jasny doniosły głos Ofki — a po modlitwie do

pracy idźcie, jako wam radzi małżonek mój, bo Bóg jest z tymi, którzy pracują, a jeżeli pracują z myślą o drugich, a nie o sobie, tym ci Bogu milsi.

I niosła się ku wieczornemu niebu pieśń, czasem szlochom czyimś przerwana.

„Boga Rodzica Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja
U Twego syna Hospodyna,
Matko zwołena, Maryja.
Z iści nam spuści nam.
Kirie elejson.
Twego syna Chrzciciela w zbożny czas.
Usłysz głosy napelnij myśli człowieka
Słysz modlitwę jeże Cię prosimy
Daj na świecie zbożny pobyt.
Po żywocie rajski przebyt
Kyrle eleison.

Gdy owego wieczoru wracali do dworu, mrok już oprzedł ścieżyny ogrodu, pachniały czeremchy w kwiecie stojące, snuła się woń upojna sadów wiśniowych a niebo błękitne, mierzchnące, sennie, gdzieś gdzie rozświecał migotliwy błysk gwiazd wschodzących. Słownik, w krzewinach bzu, uderzył w radosny potężny, rozgłosny życia hymn.

Jur otoczył ramieniem kibić żony.

— Ofko i pomyśleć, że tym precudnym światem śmierć kroczy.

— Miły mój, człowiek zawdy jest jako ten pielgrzym, wszystko tu jego i wszystko nie jego. Każda godzina ostatnią być może i z każdej zażądają od nas rachunku, aleć przede słońce ciemnej nie świeci, nie są mniej upojne. Ja nie widzę ni kwiatów, ni słońca, ni drzew, aleć i tak nie ma we mnie trwogi śmierci, boć to jeno przejście jest w żywot od naszego pełniejszy, doskonalszy, lepszy.

Dwa pochówki były dziś jeno, może się pan Jezus ulitował i zaraza wygasa, boć wczora jeszcze pięcioro od nas odeszło.

— Tak...

Jur myślał w duchu, iż szczęśliwą jest Ofka, że widzieć nie może, on tyle razy śmierć widział w ostatnich dniach, straszne sine twarze w pamięć mu się tak wryły, że ich zapomnieć nie mógł. Ze smutkiem myślał o onych chatach deskami zabitych, wymarłych, o polach zarastających chwastem, leżących odłogiem i cisza tej nocy gwiazdzistej, woń sadów, radosne pienia słowicze, zdały mu się wobec tamtego, kontrastem bolesnym.

Dlaczego śmierć idzie oną nocą gwiazdzistą, do miłowania, do radości stworzoną, czółga się może w woni tych sadów, w rozparach wieczoru, w mgłach od rzeki płynących.

— Posłuchajmy słowika, Jur.

Pociągnęła go Ofka na darniową ławeczkę, wśród w kwiecie stojących bzów, przylgnęli do siebie, słuchali.

Pieśń słowicza przelewała się ponad sadem kaskadą tonów czystych jak kryształ, pełna siły, życia, miłowania, leciała kędys w dal, w mrok nieba czy światło gwiazd, jak hymn radości wiecznie żywej, wiecznie potężnej.

Wiosna, życie.

Życiem wtórowały czeremchy i wiśnie kwietne, bzów rozkwitłych kiście, potężnym, młodym życiem.

Błogosławionym twórczym życiem.

I młode usta Jura przylgnęły do ust Ofki długim pocałunkiem. Śmierć, widmo jej, zbladło, rozpuściło się spłoszone pieniem słowika, czy kwiatów wonią.

Jedni odchodzą, przychodzą drudzy, ale życie zatriumfuje nad śmiercią, jako to zawsze czyni w naturze.

A może i śmierć jeno życiem jest?

A do dworu wsunęła się tymczasem jakaś obecność niewidzialna. Pani Agacie nagle ręce opadły, miarowym ruchem kołyszące niemowlę, braknęło tchu, zimnica ją zaczęła trząść.

Jezus, Maryja.

Położyła dziecko na poduszce i wysunęła się z izby. I trzeba przyznać pani Agacie, że nie myślała o sobie, nie lękała się śmierci dla siebie, choć wiedziała, że nadchodzi, bała się jeno o dziecko, o Ofkę, o Jura. Przyrosła do nich sercem, miłowała, jak dzieci własne.

Wysunęła się z izby i do okienka czworaka zastukała, wychyliła się przez nie „Martuchna”, a dojrawszy przed sobą zmienioną twarz Strutłowej, jęknęła cicho:

— O jejmość!

— Niech waćpani do dziecka idzie, a mnie do stodoły wiadro wody dajcie, bo pieć się chce. Jeno niech niki do mnie nie idzie, nie mówcie nikomu, że śmiercią człek i tak sam parać się musi. — Do stodoły się dowlokła i na słomę runęła, przytomność ją odbiegła, zdało się jej, że w kuchni stoi, a Baśka z Ofką ociupiny dwie w okół niej uganają, ona ciasto mięsi, a ciasto czarne, jako ziemia święta.

Otwiera coś drzwi od stodoły, otwiera ci chuśko, a serce w piersi zamiera.

— Jakoż wam jejmość?

Martuchna wiadro wody do ust spalonych nachyla.

— Po cóż tu waćpani?!

Gniewa się pani Agata.

Stare my obie, nie dziś to jutro koniec być musi, a jakoż was tak ostawić, przez pomocy.

Martuchna ma lzy w oczach a światło latarenki takie miłe, takie ciche, takie spokojne.

— Zarazę jejmość jeno rozniesie, jak mówię, że mnie trza ostawić, to i ostawić, nie jestem tu sama, co chwila ktoś zagląda, to dziewczuszki, to imci pan Helt, to mój nieboszczyczek mileńki. Idź waćpani z Bogiem, a gdzie oni?

— Nie im nie rzekłam, spać poszli.

— To i dobrze. idź jejmość tyż.

— Paciorki odmówi, gromnicę przyniesię.

— Idź jejmość, dobre masz serce i Bóg ci zapłać za nie ale idź, o dziecko się widzisz boję, o nich, o Jezu!

Wtuliła Strutłowa twarz w słomę i modliła się. Pani Marta w kąciку przysiadła i modliła się takż.

A czas szedł, szary blask świtu wdarł się przez drzwi stodoły.

Pani Agata zdziwiła się, bo ją senność jakowaś naszła, a żar przestał palić, skuliła się więc na słomie i zasnęła.

Wysoko już stało słońko, gdy pani Agata na słomie siadła, ziewnęła, oczy zaspane przetarła i zobaczyła Martuchnę drzemiacą w kąciку.

— Po kiego licha ta do stodoły wlaźła? Odeszło mnie jakoś, Bogu dzięki, aleć słońko już wysoko, a my se tu obie leniuchujemy, a Ofka biedusia ani wie co z nami. Marto,

wstawaj waćpani, ludziom trza śniadanko dać, bo w pole pójdą.

— O Jezu, jakoż jejmości?

— Popuściło. Do cna popuściło, i jeno mi jeszcze głowa łązi, jak nie moja. Przyńsieś mi ta waćpani polewki. Iżby tu nikt nie łązł, jakim Strutźlowa, żeby to sam imci pan Bendoński był albo Ofka, na dwór wyrzucę. Ja ta zarazy roznosić po świecie nie chcę. A waćpani tyż tu siedziała, nie wiedzieć po jakiego licha. Mówiłam ostawić mnie i już.

— A jakby się jejmości było zmarło?

— Do umierania ni jakiej pomocy nie trzeba, dusza sama drogę z ciała najdzie.

— Zdrowa już jest, bo się złości, pomyślała Martuchna i wysunęła się ze stodoły.

Był to ostatni wypadek zarazy w Borach, na jejmość panią Agatę patrzyli chłopci z większym jeszcze niżeli dotąd szacunkiem, sierdzista jejmość, zaraza, a bała się ją wziąć.

Morowa baba. Po sianokosach Bendońscy postanowili do Częstochowy wyruszyć piechotą, szli, więc i wielkich przygotowań nie było, trochę bielizny węzełek, chleb i kielbasa.

Strutźlowa z małym, żegnała ich w progu.

Ofka dziecię przytuliła.

— Może gdy wrócę, ujrzę cię najmilszy ty mój — myślała.

Raz jeszcze oglądnał się Jur na dom w porannym słońcu skąpany, na dziecka główkę złocistą.

Oby powrócić szczęśliwie.

Zagraj, szczekając radośnie leciał przodem.

ROZDZIAŁ XIX.

Dzieci Boże.

— Ofko.

Podniosła głowę a on łagodnie, dłońmi co od wruszenia drżały, okolił jej twarzyczkę:

— Wracać nam czas.

— Jur, po mszy świętej, dobrze Jur.

— Dobrze kochanie.

Tydzień już cały przebywali w Częstochowie, przynieśli Najświętszej Paniencie dwa swoje serca płonienne, czyste, wierzące, jako dwa skarby nieocenionej wartości. Co dnia przystępowali do Stołu Pańskiego, co dnia jednakową dusze ich płonęły tęsknotą, wiarą, nadzieją, jako dwa stosy ofiarne. Całe dnie spędzali w kościele. Śpiew Ofki przodował ludziom, płonał u stóp ołtarza i zapalał innych potęgą swojej wiary. Klękali zawsze w tym samym miejscu, po lewej stronie ołtarza i zawsze z tą samą nadzieją mówili sobie wieczorem, jutro może...

Aleć tydzień minął, obok Ofki młoda jakaś dziewczyna odrzuciła kule i łkając ze szczęścia o własnej mocy ku ołtarzowi szła, a w okół zerwał się przejmujący szloch ludu, dziękczyniącego. Dusza Ofki była wtedy jednym krzykiem błagania.

— O Matko Najświętsza ulituj się, ulituj— ale ciemność została ciemnością.

Potęga jej wiary nie zarysowała się jednak, jednakowo była ufna, dziecięcą, pokorną i żywą.

Tydzień.

Jur, ze smutkiem, myślał, że wracać trzeba, bo żniwa się zaczęły niedługo i chociaż powrotną drogę chciał odhyć końmi, to jednak trzeba mu na nią było liczyć więcej, niżeli tydzień czasu, a zboża zaczynały się już złocić, szumieć kłosami, ciężkimi od ziarna. I musiał wreszcie rzec: „wracać nam czas”.

Trudno — myślał bez goryczy, jeno ze smutkiem wielkim, możeśmy i nie byli godni cudu, może dusze nasze nie były dość czyste, serca dość proste, życie nie dość poczywe, modlitwa nie dość gorąca. I ostatkiem nadziei, co mu się już ledwo tliła w duszy, mówił sobie: Może jutro.

Gdybym ja, człowiek, na drodze mojej spotkał nędzarza, co po żebrach rękę wyciąga, to możebym go pierwszy raz nie zauważył, za drugim razem dostrzegłbym go jednak na pewno a gdybym go tak częściej spotykał na mojej drodze, toć rozruszyłbym się jego nędzą i opatrzył jałmużną, może i Bóg podobnie, może wytrwałość modlitwy ściągnie miłosierdzie.

Przerwała mu tok myśli Ofka, bo mu ramieniem szyję otoczyła.

— Juraś prośbę mam jeszcze do ciebie.

— Jaką kochanie?

— Widzisz, gdy tu szłam, zabrałam z sobą klejnoty rozmaite, po matce i po babkach dziedziczne i chciałabym, gdy będziemy od-

chodzić jutro, złożyć je w darze Paniencie Najświętszej i klasztorowi. Tak niedawno husyci ograbili klasztor, zakonników wymordowali, kościół zniszczyli, jeno Panienci Najświętszej zabrać nie dali rady, bo pójść od nas nie chciała i cudem na Jasną wróciła Górę. Ubożuchna Ona. Mateczka nasza, teraz i klasztor ubogi, umyśliłam więc sobie złożyć one kosztowności na ołtarzu, jeżeli pozwolisz Jur, bo tako ono Twoje, jako i moje. Obejrzyj je Jur i powiedz, zali mi wolno złożyć je jutro na ofiarę.

Rozwinęła węzelek, zachodzącego słońca blask załamał się tęczą, w klejnotach mieniły się kanaki z pereł, diamentów, manele, przecudnej włoskiej roboty, pierścienie lśniły jak krwi krople, rubiny, luzem leżące, fortuna była w tych kamieniach, mogąca tworzyć dostatni byt. Aleć ani przez chwilę Jurowi nie przyszła pokusa, by rzec: Schowaj to, może się dzieciom przydać albo i nam samym. Rękę żony do ust przycisnął:

— Twoje to jest i czyn jak chcesz.

Rozpromieniła się radością wielką, ale dwie łzy z pod powiek wypłynęły i na klejnotach rozblęły. Myślała, zabierając je z domu, że jełoży na ołtarzu w podziękowaniu za oczów światło przywrócone, a tymczasem, może ciemna odejdzie, ciemna jako przyszła.

Nic to...

Bóg doświadcza tych, których miłuje, niechaj się dzieje święta wola jego, nic to.

Przed mszą świętą złożyła Ofka na ołtarzu klejnoty i cofnęła się jako zwykle do swego kącika. Jur zatrzymał jej rękę w swo-

ich dłoniach, pragnął, by czuła przy sobie jego obecność.

Gdzieś z dali nadpłynął przejmujący dźwięk trąb i duszą wstrząsnął. Przyłączyły się rychło ciche, pieszczotliwe, kojące fletów tony, organów burza, księży śpiew.

Zerwał się szloch, dogłębny, z piersi zebranego ludu, uderzył dźwięk dzwonów srebrzyście.

— O Maryjo! Matko Boża, módl się za nami!

— O Maryjo! Matko miłościwa.

W powodzi światła i białych róż tonął ołtarz, snuła się przestrzenią ich woń upojna.

Zwolna rozsunały się zastony i ze złocistego tła wychyliła się ciemna twarz Matki Bożej z krwawą szramą od ciecia husyckiej szabli, zdawała się patrzeć w tłum rozmodlony, rozsłochany, miłosierdzia pełna i współczucia. Matka wszelkiej niedoli, Matka dzieci swoje miłująca.

— O Maryjo! Maryjo! Maryjo!

Krzyk tłumu, szloch, dźwięk dzwonków, organów burze i fletów ciche, słodki, tkliwy głos, jak obietnica.

O Maryjo!

Ofka nie modli się już słowami, cała jej duszy każda myśl jest jedną modlitwą, jednym krzykiem wiary bezbrzeżnej, ufności bezgranicznej modli się już nie o siebie, nie, modli się za wszystkich pomocy potrzebujących, wszystkich upośledzonych i biednych, a w okół modli się lud, z krzykiem, jękiem, szlochem.

O Maryjo!

Zdaje się Ofce, że na zimnych kamieniach posadzki ciało jej tylko klęczy a dusza kę-

dyś się zrywa, oddziela i idzie w blask, w światło, w przestrzeń niesiona falą tych tonów, łkaniem ludu, modlitwą własną i cudzą.

O Maryjo!

I patrzy nagle w blask, widzi baśń światła i twarz ciemną, słodką i promienną.

Senli to, czy jawa?

Wizja cudowna, co zniknie za chwilę?

A na jej twarzy bliskiej, drogiej, nigdy niewidzianej a takiej miłowanej, dwie krwawe blizny.

— Jezus! Maryja!

Szczęśliwość jakaś bezmierna przejmuje duszę Ofki, a z oczu płyną łzy.

Wizja, wizja cudowna.

Proś o co chcesz a otrzymasz.

Zdaje się Ofce, że to szepce fletów głos, organów śpiew.

Proś Ofko.

Więc błagała za cały lud.

— Wysłuchaj naszych modłów! Przybądź nam ku pomocy. O słodka o litościwa! o dobra Panno Maryjo!

Ciemna twarz w blasku światła rysuje się coraz wyraźniej, coraz czyściej.

Ofka widzi dzieciątko w ramionach Matki Bożej i myśl jej biegnie do własnego dziecięcia.

Spraw, bym go ujrzała.

Cisza, nagle cisza, jakgdyby serca w piersiach zamarły, ostry srebrny głos dzwonków. Podniesienie.

A wizja nie znika.

Wizja trwa.

I widzi Ofka dwie ręce wzniesione i biel opłatka w nich i widzi, jak ku posadzce kło-

nią się głowy korne, rozmodlone i nagle przedziera się w głąb jaźni świadomość:

Widzę!

Jezus! Maryja! Ja widzę!

Pragnęłaby wołać i nie może, głos uwięziony w krtani, zdławił go spazm szczęścia.

Widzę!

Szeroko rozwarte oczy chłoną blask świec, macierzyńsko dobrą twarz Matki Bożej, hostię, w rękach kapłana i róże zdobiące ołtarz, róże białe, widzę!

Ofce się zdaje, że jej serce pęknie z nadmiaru szczęścia.

— O Maryjo! O Matko Boża, o Maryjo!...

A ta ciemna, śmiała głowa, tuż obok niej tak kornie schylona to Jur, jej Jur!

— O Matko wielkiego miłosierdzia!

Znowu ostry, metaliczny głos dzwonka, kielich, wznoszące ręce kapłana i jej krzyk nagły, szczęśny, rozszlochany:

— Ja widzę! O Maryjo! Ja widzę!

Jur oderwał oczy od ołtarza i spojrzał w oczy żony, wpół przytomny wrażeniem, patrzyły w niego świetliste, promienne, pełne łez i szczęścia.

A w okół szloch szczęśny, dziękczynny, jakgdyby nie jej jednej przywrócono światło, jakgdyby nagle i ten lud przejrzał, jakgdyby i oni doświadczyli cudu.

I doświadczyli go, bo w każdej z tych dusz światło wiary błysnęło płomieniem.

EX LIBRIS

Koniec.

WISŁOŁEK JÓZEF

OLPINY

Nr 67 923

CZYTELNIA KSIĄŻEK

w Białymstoku

4100,-

Czeska-Maczyńska
Dziwaczne